

A woman in a pink top and blue skirt is walking away from the camera on a wet, reflective street. In the foreground, a broken umbrella with a red interior and a light-colored exterior lies on the ground. The scene is set in an urban environment with buildings in the background.

BEATA
KIECANA

STOSUNKI

MEGA PRZERYWANE

novae

Beata Kiecana

**Stosunki mega
przerywane**

NA NOWEJ DRODZE...

Znowu zaczynam nowe życie. Mam trzydzieści dwa lata. Ile jeszcze razy będę trzaskać za sobą drzwiami i mówić, że „nigdy więcej...”? Aż do skutku? Tyle że teraz już nie wierzę w miłość. Wierzę za to w siebie. I o tę wiarę jestem silniejsza. Wynajęłam mieszkanie, zarobiłam na czynsz i kaucję. Ja! Sama! Jeszcze tylko kilka dni i będę wolna od faceta, który nie był wart tego, bym dzieliła z nim łóżko i życie. Nie mogę uwierzyć, że kiedyś, zaledwie cztery lata temu, powierzyłam mu swoją macicę, mówiąc: „Kocham cię, chcę mieć z tobą dziecko”. Jeszcze tylko kilka dni i będę wolna.

Mieszkanie jest piękne. Co prawda to tylko trzydzieści dwa metry kwadratowe, ale od razu poczułam się jak u siebie. W dodatku w bloku obok mieszka Margo, moja przyjaciółka od serca. Zabawne, że nawet w myślach ją tak nazywam, mimo że znamy się tak krótko. Odkryłam to powinowactwo dusz, będąc w jej toalecie. Tam właśnie, siedząc na jej sedesie, zobaczyłam na półce powieść *Sołżenicyna Oddział chorych na raka*. Kto dziś czyta *Sołżenicyna*? No właśnie – ja i Margo. W domu miałam tę samą powieść, otwartą na tej samej stronie. To znak. Kiedy wynajęłam to mieszkanie i chciało mi się płakać z przerażenia, bo decyzja, że odchodzę od ojca mojego dziecka, zapadła, Margo przysłała mi

SMS-a, którego nigdy nie wykasuję: „Beti, nie denerwuj się, będzie dobrze, będę Ci pomagać. Ciesz się, że zaczynasz nowe życie”. Może gdyby nie ten SMS, wycofałabym się jeszcze. I tak już raz było blisko, kiedy pijąc z nią kawę, policzyłam swoje miesięczne wydatki. Pięć tysięcy jak nic na same opłaty. Nawet ona, która zawsze mówiła mi: „Dasz radę”, spuściła głowę i powiedziała:

- Kurwa, Beti, nie dasz rady!
- Dam! Muszę! – powiedziałam na przekór i chcąc nie chcąc, uwierzyłam we własne słowa.
- Masz jaja! – odpowiedziała. Cała Margo.

* * *

Naprawdę postanawiam zmienić wszystko. Krok pierwszy: prawo jazdy! Zaraz po tym, jak robię zabójczy dla mojego konta przelew za nowe mieszkanie, przelewam kasę za kurs. Będę jeździć! W wyobraźni już wiozę dziecko do przedszkola, potem jadę do pracy, parkuję, wysiadam, trzaskając drzwiami, z cudowną pewnością siebie spełnionej kobiety. Tylko ten mój instruktor jakiś dziwnie zakręcony. Wysyłam mu SMS-y, że chcę się umówić na jazdy, a on mi odpisuje: „Tak, tak, jutro podam Pani termin”. I tak przez kilka dni. W końcu o piątej rano dostaję SMS-a: „A dziś o której Pani może?”. Totalnie zamotany gość. I on nauczy mnie jeździć?

Ciekawe! A w ogóle to dlaczego, mieszkając na Targówku, robię kurs na Mokotowie? Ponoć niezbadane są wyroki boskie i jak widać, niektóre moje decyzje też...

* * *

Idę na jazdy. Błąkam się po placu i nie mogę znaleźć mojego instruktora. Dzwonię do niego i nagle się pojawia. W jednej dłoni trzyma komórkę, a drugą kładzie na piersi i kłania mi się. To coś nowego. Nikt nigdy nie ukłonił się na mój widok. Wspominałam już, że to dziwak? Do tego upał trzydzieści stopni, a ten w bluzie z długim rękawem. Zawzięcie tłumaczy mi, gdzie są światła, wycieraczki, gaz i hamulec. Kiwam głową mechanicznie, bo i tak nic nie zapamiętałam. Mój umysł jest odporny na technikę, wytwarza naturalne przeciwciała. Jakimś cudem jednak wyjeżdżam na miasto i jadę. To drugi w historii Cud nad Wisłą.

* * *

Sobota. Impreza u Margo. Jest stały skład: ja, Marta i Brygida. Od roku spotykamy się na tzw. winie. Dodam, że niejednym. Punkt wspólny: wszystkie mamy dzieci w wieku trzech lat, jednak poza tym coraz mniej nas łączy.

Bridget to szara myszka na urlopie wychowawczym, wiecznie bez makijażu, ubrana tak, żeby przypadkiem nikt się nie domyślił, że jest kobietą. Ma za to kochanego, czułego męża, który sypia z nią codziennie od szesnastu lat. Ja mam makijaż, ale nie mam męża. Nie mam nawet faceta, bo od dawna nie uważam Romka za kogoś takiego. Od trzech lat nawet się nie całujemy, nie mówiąc o reszcie. Za to zawsze mam szminkę na ustach, spódnicę i szpilki. Bridget i bez tego ma seks codziennie. I gdzie tu logika?

Z kolei Marta jest mężatką nieszczęśliwą, choć udaje, że wszystko jest OK. Ma makijaż i męża. Wszystko zatem powinno grać, a mimo to nie gra. Jej mąż ma pięćdziesiąt kilo nadwagi, czternaście lat więcej niż ona i jest bezrobotny, ale ponieważ kiedyś był dyrektorem, dyktuje nadal. Tyle tylko, że jego jedynym pracownikiem jest Marta – sprzątaczką, kucharką, opiekunką do dziecka. Nie sypiają ze sobą. Podejrzewam, że to dlatego, że ona śpi na piętrze, a on na parterze i po prostu przy swojej nadwadze nie może się na to piętro wdrapać. Nie ma tam miłości. Od roku namawiamy Martę, żeby rzuciła go w diabły, ale ona nie ma w sobie tyle siły i uparcie nazywa swoje nienormalne życie normalnością.

Margo za to ma makijaż i cudownego męża. Jest piękna i szczęśliwa. Kiedyś przyszedłem do niej o ósmej rano, a ona już miała pomalowane usta i sznur

perel na szyi. Wyglądała, jakby w tym spała albo jakby się już taka urodziła. Dopóki nie poznała mnie i Marty, myślała, że cały świat jest tak poukładany jak życie jej i jej męża. Zaskoczyłyśmy ją.

Zawsze siadamy na ustalonych miejscach – ja i Marta po jednej stronie stołu, Bridget i Margo po drugiej. Szczęśliwe kobiety kontra nieszczęśliwe. Ale dziś się spóźniłam i moje miejsce koło Marty jest już zajęte przez Margo. Siadam koło Bridget. Zmieniłam status czy co? Jakoś mi nieswojo. Zawsze było tak: ja narzekałam na Romka, Marta na swojego męża, a Bridget i Margo udzielały nam rad. Dziś gadka nam się nie klei. Ja nie mam już na co narzekać, skoro wykreśliłam Romka ze swojego życia, a Marta, porażona moją decyzją, w ogóle nic nie mówi. Zaczynam więc opowiadać o swoim instruktorsze:

– Dziewczyny, facet był dziwny, ale okazało się, że jest moją bratnią duszą. Odblokował mnie psychicznie. Już się nie boję jeździć. Sprawił, że uwierzyłam, że potrafię. Jeździmy po mieście, otwieramy okna, a przez szyby wydobywa się pozytywna energia i paruje, paruje... – gadam jak nakręcona, jak w ekstazie.

One patrzą na mnie przerażone. Milknę.

– Żonaty? – pytają.

– Tak, i to szczęśliwie – gasnę nagle.

– Dzieci?

– Pięcioletni syn – uzupełniam ich niedobór

wiedzy. – Ale o co wam chodzi? On mnie zupełnie nie pociąga fizycznie, nic z tych rzeczy.

Może dalej ciągnęłybyśmy ten wątek, ale przerywa nam telefon od męża Marty. Na dźwięk dzwonka podskakuje jak oparzona. Nagle zmienia jej się wyraz twarzy.

– Już dzwonię po taksówkę – mówi do słuchawki i dosłownie staje na baczność.

Pytamy, co się stało. Synek się obudził i płacze. Dziwimy się, że ojciec nie potrafi go uśpić. Dlaczego dzwoni do niej w środku imprezy? Przecież to jedyne jej wychodne w miesiącu, poza tym codziennie od siódmej do dwudziestej opiekuje się dzieckiem. Ten typ nigdy nawet nie zmienił swojemu synowi pieluchy! Marta wychodzi w pośpiechu z martwym wyrazem twarzy. W jej oczach widać pustkę i całkowite pogodzenie się z losem.

Pijemy dalej, ale bez emocji. Nie ma o czym gadać.

W końcu wracamy z Bridget na Karminową. Idziemy objęte, słowiki śpiewają... Świta. To jedna z moich ostatnich nocy tam, a ja co? Wracam o trzeciej nad ranem kompletnie pijana. W dodatku swoim wtargnięciem budzę teściową, która zaczyna latać po całym domu w poszukiwaniu źródła hałasu. A ja stoję na schodach przyciśnięta do ściany i modłę się, żebym nie spadła na parter. Jestem zalana. Totalnie... Kiwam się jednak na szpilkach, a moja teściowa

zbliża się schodek po schodku. Patrzy w moje zamglone oczy i pyta: „To ty?”. Tak, ja, w pełnej krasie...

* * *

Znowu jeżdżę. Zorientowałam się dziś, do czego służy sprzęgło. Eureka! Pan Andrzej chce ze mną jeździć codziennie. Pytam, skąd to tempo. A! Wysłałam mu kiedyś SMS-a z informacją, że muszę szybko zrobić kurs, dopóki moja córka jest u babci.

– Chcę pani po prostu pomóc – mówi.

– OK, powiem wprost – walę z grubej rury – to nie dziecko jest u babci, tylko obie mieszkamy jeszcze u mojej teściowej, która może się zająć Melą, gdy idę na jazdy. Pierwszego czerwca się wyprowadzamy, stąd pośpiech. Potem może być mi trudniej, bo będę sama.

Opowiadam mu o gehennie ostatnich lat. O tym, jak Romek mnie zdradził, kiedy byłam w ciąży, jak kłamał, że jest po rozwodzie, i nawet o takich bzdurach jak to, że farbował sobie włosy i szedł w zaparte, twierdząc, że to jego naturalny kolor, mimo wielkiej czarnej plamy, którą każdego ranka widziałam na poduszce. W kwestii wieku też musiał skłamać – mając czterdzieści siedem lat, przedstawił mi wersję czterdzieści pięć. Tak jakby to miało jakieś znaczenie, czy jest starszy ode mnie o siedemnaście

czy o dziewiętnaście lat. Przecież ja go kochałam. Zaakceptowałabym wszystko, gdyby tylko zdobył się na wyznanie jakiegokolwiek prawdy. Otwieram się przed tym instruktorem i opowiadam mu o wszystkich szczegółach. Nawet o tym, że przez trzy lata ja i Romek nie spaliśmy ze sobą. Oczy rozszerzają mu się ze zdumienia.

– I dosyć tego! – kończę swój wywód. – Mam trzydzieści dwa lata. Kiedy mam odejść? Za dziesięć lat? Teraz jeszcze mam szansę na coś innego. Teraz moje trzyletnie dziecko przyjmie to bez zbędnych pytań, a za dziesięć lat będzie cierpiało i miało do mnie pretensje. Trzynastolatki dają popalić. Pamiętam siebie z tamtych czasów.

– A co, jeśli pani sobie sama nie poradzi?

– Nie ma takiej opcji! – Odwracam się do niego z uśmiechem, a on hamuje za mnie, bo omal nie wjeżdżam pod tira.

– A w ogóle to nie gorąco panu w tym długim rękawie? – wypalam.

Odwraca wzrok i milczy. Może próbował sobie podciąć żyły? Pachnie tajemnicą...

– Na następnych jazdach opowiem panu o moim pierwszym narzeczonym – staram się zmienić temat.

– To był dopiero świr! A w ogóle to mówmy sobie po imieniu, dobrze?

– Dziękuję. Andrzej.

– Beata.

Wysiadam i czuję się dziwnie lekko.

* * *

Ostatnie dni na Karminowej. Teść, teściowa i ciotka teściowej milczą. Od dawna wiedzieli, że się wyprowadzam, ale im bliżej tego terminu, tym mniej słów wypowiadamy. Kochają mnie jak córkę i wiem, że choć popierają moją decyzję, to modlą się o to, by stało się coś, co sprawi, że zostanę. Ale nic się nie dzieje – Romek nie zmienia się nagle i nie kasuje mojego twardego dysku, żebym zapomniała o wszystkim. Nie ma już nic, na czym można by było cokolwiek budować. Milczeniem można zabić drugiego człowieka i Romek mnie zabił. Już nic nie czuję, nie jestem zdolna do miłości, do współczucia, do zrozumienia tego obcego człowieka, obok którego żyłam. Urodziłam mu cudowną córkę. Jest to jedyna nić między nami, jednak zbyt cienka, by mnie zatrzymać.

Wychodzę stamtąd z torbą w jednej ręce, a z dzieckiem w drugiej. Romek wraca właśnie z pracy. Mijamy się w furtce. Bez słowa... Koniec. Jest pierwszy czerwca. Dzień Dziecka.

* * *

Pierwsza noc w nowym domu. Myślałam, że

będziemy z Melą płakać przytulone do siebie, ale jest inaczej. Padamy na łóżko i śpimy jak zabite do rana.

Budzimy się, Mela patrzy w okno i mówi:

– Zobacz, mammo, słoneczko też wstało i świeci dla Meli.

Strasznie kocham to moje dziecko za filozoficzne podejście do życia.

Zabieramy się za mycie podłogi i luster. Mela biega z mopem i ciągle snuje jakieś refleksje:

– Jakie to mieszkanie jest ładne i nowe. Kupiłaś? To jest już Meli dom? A tata został w starym?

„Tak, tata jest stary, więc został w starym” – myślę sobie i chce mi się śmiać.

Będziemy tu szczęśliwe. Ulica Wyspowa... Wewnętrzny spokój i cisza. Dziedziniec otoczony białymi blokami, niebieskie dachy, a pośrodku plac zabaw. W porównaniu z Karminową... Karmin to jednak kolor bólu, a nie miłości.

* * *

Na parterze, w tej samej klatce co ja, mieszka Doris. Już kiedy oglądałam mieszkanie, coś mnie tknęło. Przecież ja już tu kiedyś byłam! Doris to moja klientka. Kiedyś zadzwoniła, że chce kupić szminkę, i pojechałam do niej. Wtedy okazało się, że jest samotną matką trzyletniego Jasia. Gdy weszłam, on słodko spał, a ona otulała go kołdrą. Pomyślałam

sobie, że skoro ona daje radę sama, to ja też mogę. Zadziwiły mnie jeszcze perfekcyjnie poukładane na stole poduszki, od największej do najmniejszej. Stwierdziłam, że osoba, która nie rzuca poduch zwyczajnie, na podłogę obok łóżka, musi mieć tak samo perfekcyjnie poukładane całe życie. Nie rozmawiałyśmy wtedy na osobiste tematy. Była tylko moją klientką, obcą osobą. Pomyślałam też, że jest piękna i smutna...

Po trzech dniach od przeprowadzki dzwonię do niej. Przychodzi z winem, no z trzema. Jasio jest u swojego ojca, a Mela – na Karminowej. Gadamy przez całą noc. I jest tak jak z Margo i ze mną. Znajdujemy tyle dziwnych stycznych punktów... Wyprowadziła się od ojca swojego dziecka pierwszego czerwca, tyle że dwa lata temu. Obie zafundowałyśmy dzieciom fajny prezent na Dzień Dziecka.

– Beti, ja jestem w szoku, że tu jesteś – mówi. – Kiedy pierwszy raz cię zobaczyłam, wtedy u mojej mamy, gdy robiłaś nam makijaż, byłaś taka szczęśliwa, pewna siebie. Opowiadałaś o Meli, o swoim mężu, o domu, gdzie mieszkacie. Wiesz, jak ja ci zazdrościłam?

– To była maska, którą nosiłam dla ludzi – tłumaczę. – Nie mój mąż, nie mój dom. Ale człowiek musi mieć złudzenia, żeby żyć. Ale to, że odnalazłyśmy się w jednym bloku, to szok!

– Ale jaki! – potwierdza.

Doris spędza połowę swojego czasu w sądzie. Ciągłe ma sprawy ze swoim byłym – to o mieszkanie, to o alimenty, teraz o opiekę nad dzieckiem. Jest wyczerpana tym wszystkim. Dziękuję Bogu za obojętność Romka wobec nas. On nawet nie pyta, gdzie Mela mieszka. A już o opiekę nad nią na pewno by się nie sądził. Jest na to zbyt wygodny. Teraz ma znów spokój i swoją jaskinię na wyłączność.

Patrzę na Doris, na jej szczupłą figurę, blond włosy, piękną twarz, i pytam:

– Jak to możliwe, że taka kobieta jak ty jest sama?

– Spójrz w lustro i zadaj sobie to samo pytanie – mówi.

Rano budzi mnie potworny kac. Ostatkiem sił idę do łazienki. Patrzę w lustro. Nie! To ja?

* * *

W poniedziałek odprowadzam Melę na Karminową. Mała przez całą drogę płacze.

– Nie chcę tam wracać, nie zostawiaj mnie! – zawodzi.

– Muszę, idę robić prawo jazdy.

Ta zapiera się w furtce i nie chce wejść. Teściowa nie wierzy własnym oczom, że Mela nie

biegnie w podskokach do domu, gdzie spędziła całe swoje życie. Sytuacja jest przykra i jakaś taka nierealna. Czy Mela czuła atmosferę tego domu? Czy wiedziała, że za każdym razem, kiedy kroiłam chleb lub sałatkę, miałam ochotę wbić nóż w plecy jej ojca? Bałam się nienawiści, jaką Romek we mnie wzbudzał. Uciekłam na Wyspawą przed własnymi czarnymi myślami i uporczywymi wizjami.

Idę na plac manewrowy. Wsiadam do samochodu i zadaję Andrzejowi bardzo ważne pytanie:

– Słuchaj, co ja mam zrobić jako pierwsze, jak wsiadam do samochodu? Oczywiście zaraz po poprawieniu makijażu!

– Ty jesteś wariatka! – śmieje się.

Rondo, na skrzyżowaniu w prawo, potem prosto. Opowiadam mu o Stefanie, mojej studenckiej miłości. Kochałam go tak bardzo, że nie przeszkadzało mi to, że on mnie nie kocha. Mojego uczucia starczało za dwoje. Po sześciu latach powiedział, że odchodzi... do mamy! I że jestem mu winna pięćset siedemdziesiąt złotych. Tyle się nazbierało, np. za myszkę do komputera, za którą on zapłacił. Zostawił mnie samą w Warszawie – w tym wielkim mieście, którego tak bardzo się bałam.

– Opowiadasz mi o takich mężczyznach, a ja nie miałem pojęcia, że oni istnieją – mówi Andrzej.

– Tak, tak, wy wszyscy jesteście zaszokowani na

początku takimi historiami. „Jak tak można” i w ogóle. A potem się okazuje, że jesteście tacy sami – wyrzucam z siebie bez tchu.

– No nie, ja taki nie jestem – oburza się i podaje mi swoją komórkę. – Zadzwoń do mojej żony i zapytaj. Ja naprawdę jestem dobrym facetem.

Idealny facet z idealną żoną, z idealnym życiem... Flaki z olejem, ot co! Zerkam na niego kątem oka. Jakie on może mieć wady?

– Podziwiam cię, wiesz? – zaczyna.

– O, dziękuję bardzo!

Obrzucam go wdzięcznym uśmiechem, a on znów hamuje za mnie, bo omal nie wjechałabym w jakieś porsche. I co ten w porsche tak się zdenerwował? Nie rozumiem.

– Moja mama jest od lat bita przez mojego ojca i nie odeszła. A teraz poznałem ciebie i widzę, że są silne kobiety.

– Żartujesz? – pytam głupio, bo zrobiło się bardzo poważnie.

– Kiedyś, po takim pobiciu, zabrałem ją do siebie i postanowiła się z nim rozwieść. A na drugi dzień martwiła się o to, co on zje na obiad. I wróciła, żeby mu rosół ugotować.

– Wiesz, maltretowanie psychiczne jest dla mnie gorsze niż fizyczne. Gdyby Romek mnie po prostu pobił, odeszłabym od razu, a tak, to zastanawiałam się trzy lata, o co chodzi.

A teraz to się właściwie zastanawiam, czy to jest nauka jazdy czy psychoterapia. I po co w ogóle jeździmy, skoro moglibyśmy usiąść i pogadać? Tylko stwarzamy niebezpieczeństwo na drogach. Taka refleksja mi przyszła do głowy, gdyż znów przejechałam na czerwonym świetle, a on nic nie zauważył. No nic, grunt, że do przodu!

– W prawo skreć.

Skrećam w lewo.

– Widzisz, już nawet wiem, które to prawo, a które lewo – zauważam z dumą. – I to wszystko dzięki tobie.

Andrzej się śmieje.

– A dlaczego ty się śmiejesz?

– Bo myślałem, że żartujesz.

– Jak to?

– Bo to było lewo, a nie prawo. Boże, kobieto!

– To mów, że w twoje prawo mam skrecić! – denerwuję się.

Wybuchamy śmiechem.

* * *

Niedziela. Margo zabiera mnie nad Świder. Rodzinna wyprawa nad wodę. Boże, jaka ja jej jestem wdzięczna! Jak ja dawno nie wyjeżdżałam!

Moja niedziela na Karminowej wyglądała zawsze tak samo. Cały dzień spędzałam w łóżku, w

Meli pokoju, żeby nie wchodzić w drogę Romkowi. Po całym tygodniu harówki nie miałam siły ruszać ani ręką, ani nogą. Poza tym nie mogłam znieść jego obecności w domu i to była moja ucieczka. Spałam jednak niespokojnie, czekając, aż nagle otworzą się drzwi i usłyszę warknięcie:

– A ta znowu się uwalila spać!

A potem trzaśnięcie drzwiami od pokoju Meli, potem trzaśnięcie drzwiami od lodówki, potem od łazienki i w końcu trzask sprężyn w jego łóżku, kiedy to on się uwaliał. Mela była w tym czasie na dole, u dziadków. Wieczorem budziłam się jeszcze bardziej wykończona niż przed pójściem spać i wychodziłam z Melą na spacer. Błąkałyśmy się po ulicach Zacisza do późnej nocy, czasem siedziałyśmy same na placu zabaw, gdzie Mela przy świetle księżyca lepiła babki z piasku. Wracałyśmy do domu, kiedy Romek już spał.

A teraz jest niedziela rano, a my z Melą, w strojach kąpielowych, jesteśmy gotowe na wyprawę. Jedziemy w składzie: Margo, jej mąż Sebastian, ich córka Basia, która wyglądałaby jak chłopiec, gdyby Margo nie wpinała jej we włosy różowych spinek, i brat Sebastiana – Borys, który przez ostatnie dwa lata był chłopakiem siostry Margo, a teraz się rozstali. I jeszcze pies, a właściwie suczka Saba.

Dawno nie widziałam Meli tak szczęśliwej. Woda jest po kolana. Pluskają się z Basią jak szalone.

A ja leżę na słońcu i czuję, że zaczynam żyć całą pełnią.

Borys zajmuje się Melą tak, jak nigdy nie zajmował się nią ojciec. Budują zamki z piasku, grają w piłkę, śmieją się. Sielanka. A ja po prostu odpływam w jakiś niebyt. Za dwa tygodnie ja, Margo i Bridget wyjeżdżamy na Mazury. Tyle że one z mężami i dziećmi, a ja sama z Melą. Nagle wpada mi do głowy szalony pomysł:

– Borys, jedź ze mną na te Mazury! Zajmiesz się Melą, a ja odpocznę.

Patrzy lekko zaskoczony, ale nie widzę totalnej negacji, mimo że propozycja jest nie na miejscu, bo widzimy się pierwszy raz w życiu. Nie jego kobieta, nie jego dziecko, a wspólny pokój na Mazurach.

– No nie wiem...

– To dowiedz się jak najszybciej, co? Bo muszę zrobić przelew za rezerwację.

Wracam do domu spalona słońcem. Siadam do komputera i przelewam część kasy za Mazury. Rano, kiedy razem z Margo wybieramy się do parku, nagle dzwoni jej komórka.

– Borys do ciebie – Podaje mi aparat.

– No i co tam? – pytam.

– Wiesz co? Jadę! Możesz robić przelew.

– Wczoraj już zrobiłam – mówię.

– Ale przecież wczoraj nie byłem zdecydowany – dziwi się.

– Ale nie powiedziałaś „nie” – Rozłączam się.

Po zabawie w parku odstawiam Melę na Karminową i pędzę na jazdy. Opowiadam Andrzejowi o wypadzie nad Świder, o Borysie, o tym, jak się bawił z Melą, no i o tym, że jedziemy na Mazury. Dziwne, ale nie podziela mojej radości, jakoś tak ucieka wzrokiem.

– O co chodzi? – pytam.

– A, taki dziś bezsensowny dzień – wzdycha.

– A co ja mówiłam? – ucinam. – Żadnego narzekania w tym samochodzie! Tylko pozytywna energia!

Śmiejemy się.

– A w ogóle to mam świetny pomysł. Bierz żonę i dziecko i jedźcie z nami na Mazury.

Sama jestem zaskoczona, że na to wpadłam. Pomysł jest rewelacyjny, ale Andrzej nie podziela mojego entuzjazmu.

– Ale o co ci chodzi? To taki rodzinny wyjazd, zaprzyjaźnilibyśmy się wszyscy. Ja już o tobie opowiadałam moim znajomym, już cię lubią – przekonuję go.

– Mamy już jakieś plany – bąka.

– Wiesz, że moja koleżanka Bridget jest ze swoim mężem od szesnastu lat i nie mieli jeszcze dnia bez seksu? – wypalam nagle, nie wiadomo po co.

Robi mi się zaraz głupio. Dlaczego poruszam z

tym w sumie obcym facetem temat seksu? On patrzy na mnie zagadkowo, a ja już wiem, że pewne tabu zostało przełamane.

– To zazdrozczę facetowi.

– No nie wiem, jeszcze nie widziałeś Bridget – śmieję się. – Ja tam nie wierzę, że ktoś może mieć na to codziennie ochotę. Chyba to raczej rutyna – mycie zębów, paciorek, siku i bzykanko. To dla mnie obrzydliwe. Ale może mam o tym spaczne pojęcie ze względu na trzyletni celibat.

– I przez te trzy lata nie miałaś ochoty?

– Nie, chyba się wypaliłam – mówię. – Chociaż nie, raz miałam ochotę. Zobaczyłam faceta w autobusie i po prostu jakby uderzył we mnie piorun. On spojrzał na mnie i chyba poczuł to samo. Autobus zahamował, wpadłam w jego objęcia, przytuliliśmy się do siebie i wysiadłam. A potem stałam na przystanku i nogi się pode mną uginały. To jedyna moja seksualna przygoda ostatnich lat. Pozostałe orgazmy przeżywałam wyłącznie na spotkaniach z klientkami. Jak babeczka kupowała kosmetyki za tysiąc złotych, to dochodziłam od razu.

– Ale ty masz ciężką tę pracę – zauważa, ale nie wiem, czy ma na myśli moje orgazmy czy co. – No bo idziesz na spotkanie i nie wiesz, czy sprzedasz czy nie sprzedasz. Możesz włożyć w to dużo pracy i nic nie zarobić.

– Andrzej! – wrzeszczę. – Co to za pesymizm?

Ja uważam, że jak daję z siebie tyle pozytywnej energii, pracuję, pracuję, pracuję, puszczam te wibracje w przestrzeń, no to ta para idzie w eter i musi w końcu spaść deszcz. Rozumiesz? Taką mam filozofię.

– Jesteś niesamowita – wzdycha. – Też kiedyś taki byłem. Nie było dla mnie rzeczy niemożliwych. Chodziłem na rozmowy kwalifikacyjne, mając pracę, żeby się przekonać, czy mnie przyjmą, a jak przyjmowali, to odmawiałem. Kobieto, wszystko mi się udawało. A teraz gdzieś po drodze to zgubiłem. Teraz mam same kłopoty. Jeden wspólnik mnie zostawił z długami, drugi popełnił samobójstwo. Proza życia.

– To popracujemy nad tym, żeby wrócił Andrzej sprzed lat. Ale moje zdanie jest takie, że kiedy wszystko nam się udaje i przychodzi łatwo, i myślimy o sobie, że jesteśmy wielkimi szczęściarzami, a co gorsza, zaczynamy wierzyć, że nam się to należy, Bóg grozi nam palcem i mówi: „No, no, no, to ja tu rozdaję karty”. I wtedy nagle wszystko się wali, ale właśnie w takiej chwili mamy utrzymać nasze pozytywne nastawienie. I to jest sztuka życia. Bycie optymistą nie oznacza, że człowiek nie ma zmartwień czy pecha. Optymista uśmiecha się mimo to, wyciąga wnioski i idzie dalej.

– A jak już nie ma się ochoty uśmiechać?

– To trzeba udawać. Człowieku, dasz radę!

Zobacz, jaki piękny dzień, zobacz, jaką masz fajną kursantkę.

Zaczynamy się śmiać.

– Ty, kursantka, ale patrz na ograniczenie prędkości, jak jedziesz, bo jak nie, to nasze życie, owszem, będzie wesołe, ale krótkie.

– Słuchaj, czy ty uważasz, że ja się nadaję na kierowcę? – pytam nagle.

– No jasne! Dziewczyno, ty więcej niż się nadajesz, ty jesteś stworzona do jazdy! Swoją drogą, dziwna sprawa – ty się nadajesz, a uważasz, że się nie nadajesz, a moja druga kursantka się nie nadaje, a uważa, że się nadaje. I z tą mam dopiero problem.

– Ha, ha!

– Mówię jej, że czerwone światło, a ta jedzie dalej. Powtarzam: „Czerwone!”, a ta, żebym do niej nie mówił w trakcie jazdy, bo to ją rozprasza. Każę jej patrzeć w lusterka, a ta, że nie, bo jak patrzy w lusterka, to jej się w głowie kręci.

– No nie! – padam ze śmiechu. – To niezłe jaja!

Stoimy na światłach i nagle obok nas zatrzymuje się toyota yaris.

– Zobacz, to moja żona i syn – mówi z dumą Andrzej.

Patrzę. W samochodzie siedzą ładna uśmiechnięta blondynka i pięcioletni chłopczyk. Machamy im. Oni nam też. Odjeżdżamy.

* * *

Dzwoni mama zapytać, jak sobie daję radę. Bardzo dobrze. Dzwoni siostra z Anglii zapytać, jak sobie daję radę. Super! Dzwoni ciotka z Zamościa. Myślałam, że też zapyta, ale nie. Ciotka Do to najstarsza siostra mojej mamy. Aparatka, że szok. Niedawno miała płomienny romans z pilotem w Madrycie, a teraz mi mówi, że właśnie uciekła z Rzymu od jakiegoś napalonego amanta. Zakochał się w niej i chciał się żenić. Szalencie! Ciotka stroni od małżeństwa, bo nie tak dawno trzeci raz się rozwiodła. Uciekła w nocy i do rana czekała na dworcu na busa do Polski. I oto wróciła. Siedzi teraz w domu i gryzie pazurki ze strachu, że ten amant ją odnajdzie.

– To pakuj się i przyjeżdżaj do mnie – mówię. – Nikt jeszcze nie zna mojego nowego adresu, więc będziesz bezpieczna.

– Jak to? To już nie mieszkasz z Romkiem? – dziwi się.

– Nie.

– Ty to masz ciężkie życie – wzdycha.

– Mam to pewnie po tobie – odcinam się.

– No co ty? Jak byłam w twoim wieku, to jeszcze żyłam spokojnie... Chociaż nie. Ile ty masz lat? Trzydzieści dwa? No to już byłam w trakcie drugiego rozwodu.

Ha, ha! Przygody ciotki Do... Zgubny wpływ portalu Sympatia.pl na życie pięćdziesięciosiedmioletniej kobiety.

* * *

Kolejna sesja terapeutyczna z Andrzejem, czyli nauka jazdy.

– Czy ty przez dziesięć lat małżeństwa nie miałaś żadnych przygód? – pytam, bo mam już po dziurki w nosie tego faceta bez wad.

– No nie – śmieje się. – Chociaż kilka kursantek pałało do mnie uczuciem. Jedna nawet powiedziała do mnie: „Ucieknijmy razem”.

– No i co? – zaciękawiam się.

– I nic. Powiedziałem, że kocham moją żonę i dziecko.

A jednak bez wad. Kurczę, z kim ja ten kurs robię?! Jeszcze uwierzę, że są na świecie idealni faceci, i zacznę o takim marzyć...

– Ale wiesz co? Moja żona ma taką koleżankę... Zawsze się kłócimy po tym, jak ona od nas wychodzi. Strasznie mi się podoba.

– A twoja żona wie, że tamta ci się podoba?

– Nie, no przecież mówię jej, że mi się wcale nie podoba.

– Ha, ha, ha! To dla mnie zbyt skomplikowane, ale dziękuję, że się tym ze mną podzieliłeś.

Jednak nie ma idealnych facetów!

* * *

Wieczorem siedzę w domu, staram się uśpić Melę i czekam na Margo, która ma mi kupić piwo. Dzwonię jeszcze tylko do Andrzeja, żeby dał mi numer do swojej żony, bo chcę ją umówić na spotkanie kosmetyczne. Zrobię jej makijaż i poznam bliżej tę idealną kobietę. Zobaczę, co ona ma takiego, czego ja nie mam, że ma męża i normalne życie, a ja nie mam nic. Andrzej zaraz oddzwania. Jest dziwnie wzburzony.

– Nie, nie dam ci numeru – mówi.

– Ale dlaczego? Co się stało?

– Pokłóciliśmy się.

– O co? Jestem w szoku.

– Pojechała teraz na konferencję dla nauczycielek, żeby opowiadać, ile to jedynek postawiła w tym roku. A dziś postawiła też jedną mi – z przedsiębiorczości. Za mało zarabiam i nie jestem w stanie zapewnić jej wakacji na odpowiednim poziomie.

No, no, rysa na idealnym związku. Coraz ciekawiej.

Przychodzą Margo i Doris. Pijemy piwko na balkonie.

Nagle przychodzi SMS. Andrzej: „Jakiej

słuchasz muzyki?”. Od razu odpisuję: „A co to, jakiś test?”. Pik, pik. „Może... Kąpię syna i myślę. Myślę, więc pytam. No więc?” „Nie słucham, za to czytam książki. Literatura rosyjska – uprzedzę kolejne pytanie. Zdałam?”

– Z kim tam piszesz? – pyta Margo.

– Z instruktorem nauki jazdy.

Patrzę na siebie z Doris porozumiewawczo.

– Daję wam jeszcze trzy lekcje i wylądujecie w łóżku – wydaje na mnie wyrok Margo.

– Czyś ty oszalała?! – Aż podskakuję z oburzenia. – Ten facet jest żonaty! Lubimy się tylko.

Piszę mu: „Czy piszesz do mnie, bo się pokłóciłeś z żoną? Czy pokłóciłeś się z żoną, bo chciałeś napisać do mnie?”. Pik, pik. „To straszne... nie wiem, co powiedzieć. Jak to nazwać? Wkręcasz mnie na megaintelektualne szczyty, pozytywne wibracje... Nic więcej nie powiem...” Odpisuję: „O, nie podobam ci się tak bardzo jak ta koleżanka twojej żony?”. Pik, pik. „Cholera, ale mnie wzięło! Nic więcej nie piszę... Albo zmienię Ci instruktora”.

Margo i Doris wychodzą, kręcąc wymownie głowami, a ja padam na łóżko i leżę na nim bezwładnie, gapiąc się w sufit. Co się ze mną dzieje? Nie mogę zasnąć. Do rana przewracam się z boku na bok i nie umiem nazwać swoich myśli. Rano jazdy. Jaką przybrać strategię? Udawać, że nic się nie stało? Wyśmiać okrutnie czy obrócić wszystko w żart?

* * *

Na placu trzęsę się tak, że wypalam na raz pięć papierosów. Podjeżdża. Wsiadam. Patrzymy na siebie jak zahipnotyzowani.

– I co my teraz zrobimy? – pytam bardzo poważnie.

– Beata, uspokój się, jeszcze nic nie jest przesądzone.

– Jest – mówię smutno.

– Masz rację. Jest.

– Już nic nie będzie tak samo w naszym życiu. Już nigdy.

– Jedźmy.

– Może ucieknijmy? – pytam i zaczynamy się histerycznie śmiać.

Jeździmy po mieście jak lunatycy. Na placu wysiadam. Mówimy sobie „cześć” i idę na przystanek.

– Beata! – krzyczy Andrzej.

– Tak? – Odwracam się z nadzieją.

– Zostawiłaś okulary w samochodzie.

Biorę je i bez zastanowienia całuję go w policzek. Patrzymy sobie w oczy, odwracam się i odchodzę.

* * *

Następnego dnia funkcjonuję na pograniczu snu i jawy. Nie mogę sobie znaleźć miejsca. Mela zajmuje się sobą, bo mama dziś „nie działa”. W końcu odwożę ją na Karminową i jadę z Bridget na zakupy do Lidla. Kupujemy foteliki, bo tanie i lekkie. Ja swój będę mogła instalować to u Margo w samochodzie, to u Bridget i w wielu innych samochodach, do których wsiądziemy, zanim kupimy sobie swój.

Nagle orientuję się, że Bridget od dłuższego czasu coś do mnie mówi. Teraz milknie i pewnie czeka na odpowiedź. Nie wiem, o co pytała, ale na wszelki wypadek odpowiadam: „Tak, tak”.

Pik, pik. SMS od Andrzeja: „Jeżdżę dziś z kursantami jak we śnie. Jeden właśnie zapytał, czy może jechać na czerwonym świetle. Ja mu na to: «Tak, tak». On pyta, czy na pewno, bo właśnie było czerwone. «Tak, tak» – przytaknąłem, a dopiero potem zorientowałem się, o co chodzi. Beata, ja odpowiadam za ludzi, a jestem wyłączony!”.

Po zakupach pędzę na jazdy, ale mało gadamy. Sesje terapeutyczne nie przyniosły spodziewanego efektu, więc może zarzucimy je na jakiś czas, zanim zrujnujemy sobie nawzajem życie. Mówię mu, że po jazdach jadę na zebranie do przedszkola, a potem na Mokotów, na spotkanie w firmie.

– To będziesz jeszcze wieczorem na Mokotowie?

– upewnia się Andrzej.

– Tak, a co?

– A o której kończysz?

– O osiemnastej.

– To może pojeździmy jeszcze wieczorem?

– OK.

Tak, pojeździmy. Właśnie umówiliśmy się na pójście krok dalej, ale raczej nie będzie to miało nic wspólnego z jazdami. Jak wyhamować? Czego ja chcę? Czy chcę tego faceta z żoną i dzieckiem? Nie potrafię powstrzymać tego, co się między nami dzieje, a przecież wystarczy powiedzieć „stop!”.

Zebranie w przedszkolu. Mela zaczyna od września. To najgorsze przedszkole na Targówku, ale wyjścia nie było. Nie dostała się nigdzie, bo wtedy jeszcze nie byłam samotną matką, a tylko te mają jakiegokolwiek szanse. Bridget jakimś cudem wyczała to miejsce i szybko dała mi znać. Natychmiast pojechałyśmy zapisać swoje pociechy. I tak oto Bartek i Mela złączą wspólną edukację w odrapanym budynku na Targówku Fabrycznym, gdzie oprócz przedszkola mieści się też ośrodek dla czeczeńskich uchodźców i zespół szkół zawodowych.

– Brakuje nam tu jeszcze tylko uniwersytetu i więzienia – żartuje dyrektorka przedszkola. – Wtedy już nasi uczniowie mogliby spędzić w tym budynku całe życie.

Nie wiem, czy to jest śmieszne, ale na wszelki

wypadek na mojej twarzy pojawia się coś na kształt uśmiechu.

Potem pędzę na Mokotów na spotkanie z klientką. Robię jej próbny makijaż ślubny, ale nie widzę entuzjazmu z jej strony. Nie wiem, co sobie wyobrażała. Mimo wrodzonego talentu i świetnych kosmetyków nie jestem cudotwórczynią ani chirurgiem plastycznym.

Wychodzę z firmy z dwiema wielkimi paczkami szminek i tuszów do rzęs. Andrzej już na mnie czeka. Biegnie, żeby mi pomóc. Wsiadam za kierownicę i ruszam przed siebie. Nawet nie pytam go, gdzie mam jechać. Po prostu jedziemy. Przejeżdżam Wisłę mostem Śląsko-Dąbrowskim. Nic nie mówimy. Zatrzymuję się pod odrapanym budynkiem.

– To jest przedszkole, do którego zapisałam córkę – mówię zrezygnowana. – A teraz zobaczymy, czy można stąd dojechać na skróty na Wyspawą.

Jadę jakąś dziwną ulicą, na której stoją z rzadka jakieś rozwalające się domy, i czuję instynktownie, że jadę dobrze, mimo że nie mam do tego żadnych podstaw.

– Czy to jeszcze Warszawa? – pyta Andrzej z czystej ciekawości.

– Oczywiście! – zapewniam.

Nagle miga nam przed oczami napis: „Ząbki”. Wybuchamy śmiechem.

– To wyjazd poza miasto w weekend mamy już

zaliczony! – stwierdzam.

Jeden skręt w lewo i już jesteśmy z powrotem w Warszawie. Łodygowa i w prawo Wyspowa.

– Tu mieszkam – mówię i pokazuję blok z niebieskim dachem.

Wchodzimy. Andrzej wnosi moje pudła. Idziemy jak na skazanie. Proponuję małą kawę. Po niej mamy wrócić na jazdy, taki jest plan. Ale już nie wracamy. Siedzimy na kanapie i patrzymy na siebie wygłodniałe. Każde głośno przełyka ślinę. Jak to było na tym szkoleniu „Sztuka negocjacji”, na którym byłam rok temu? „Ten, kto pierwszy złamie ciszę, przegrywa”.

– Boję się tego, co się między nami dzieje – przerywa ciszę Andrzej.

– Ja też.

Siedzimy i patrzymy, patrzymy i myślimy, myślimy i drżymy. W końcu, o jedenastej w nocy, Andrzej wychodzi. Pod drzwiami bierze moją dłoń i całuje ją, kolejny pocałunek jest w czoło.

– Pocałuj mnie tak normalnie, jak kobietę – proszę go.

Całuje.

– Przyjedź do mnie jutro.

– O osiemnastej – umawiamy się.

Teraz to ja przegrywam. On ma całą dobę na przemyślenie sprawy i dokonanie wyboru pomiędzy mną a rodziną. Mogę tylko czekać. Mózg mi mówi,

że on się już nie pojawi, a serce już tęskni i bardzo chce, by przyjechał.

Pik, pik. SMS: „Mam wybierać między byciem szczęśliwym a szczęśliwszym? Tobie łatwiej. Jesteś sobie sterem i okrętem”. Odpisuję: „Czy Ty wiesz, że widzieliśmy się dopiero 8 razy?”. „To jakieś szaleństwo...” „Co czujesz?” „Skrajnie. Od euforii po pogardę dla siebie. Szczęśliwy i przerażony. Istny kocioł w głowie i w sercu”.

* * *

Nie mogę spać.

Rano wzywam Margo na ratunek. Przybiega z piwem, swoją córką i psem. Siedzimy na balkonie, pijemy i palimy. Dzieciaki się drą, pies szczeka, ale my jesteśmy ponad tym. Tu się wazą ludzkie losy, trzeba coś zdecydować.

– Żonaty facet... – zaczyna Margo od rzeczy oczywistych.

– Powiedz mi coś, czego nie wiem...

– Chcesz rozbić rodzinę? Dobrze byś się z tym czuła?

– Nie...

– Tyle rzeczy cię ominie w tym związku. Będziecie się ukrywać, ty będziesz wiecznie czekać, zawsze będziesz na przegranej pozycji...

– Nie mogę tego powstrzymać, uwierz... A jak to

jest ten jedyny, a ja to przegapię? Boże, Margo, daj mi jeszcze fajkę!

Ona wypala trzy, a ja resztę z paczki.

– Kiedy rzucamy palenie? – rzuca moja koleżanka.

– Jak zajdziesz w ciążę – postanawiam.

Starają się o to dziecko od kilku miesięcy. Ostatnio jakby wzmogli wysiłki. Czyżby dni mojego beztroskiego, szalonego, relaksacyjnego i nerwicowego palenia były policzone?

* * *

Wielkimi krokami zbliża się godzina osiemnasta. Siedzę na balkonie i palę. On nie przyjedzie...

Wysłałam SMS: „Przyjedziesz?”. „A chcesz?” „Tak”. „A jak Cię skrzywdzę? A jak po wszystkim powiem, że wracam do żony? Będiesz wtedy cierpieć... Nie chcę”. „Mam motyle w brzuchu”. „To jakieś słonie, a nie motyle”. „Co zrobić z motylami, by nikt nie cierpiał i nie nienawidził?”

18.00. Nie ma go. 18.10. Nie, on nie przyjedzie. Zostawił mnie, zanim jeszcze mnie wziął. Taki mój los. 18.20. Piszę: „Jedziesz?”. Pik, pik. „Nie”. Po policzku powoli spływa mi jedna wielka łza. Pik, pik. „Nie jadę, ja już u Ciebie jestem”. Wychodzę na balkon i widzę go na dole. Serce mi wali. Już po mnie!

Siedzimy i gadamy, gadamy i siedzimy. Śmiejemy się i gadamy. Godziny mijają – nic się nie dzieje.

– Muszę już iść – mówi.

– Wiem...

I nagle w tym momencie rzucamy się na siebie, moja sukienka zdarta jednym ruchem ląduje na podłodze, stanik podziela jej losy. I tyle. Nagle koniec. On przestaje, ja się ubieram zawstydzona. Zostaję sama. Trzęsę się na całym ciele. Kładę się na łóżku i wdycham jego zapach. Pik, pik. „Przepraszam”. Odpowiadam: „Połowa mojego łóżka należy do Ciebie”.

Długo, długo później wychodzę zapalić. Mela śpi na Karminowej. Siedzę na balkonie, patrzę w niebo i marzę. Obudził moje ciało. A już myślałam, że ta część mnie umarła. Obudził moje serce. Mam stan przedzawałowy – tak wali i piecze. Czy ja to wszystko przeżyję?

* * *

Kolejny dzień. Margo.

– Ładnie wyglądasz – zagaja.

– Dziękuję – jestem skromna jak zawsze.

– Zawsze ładnie wyglądasz, ale dziś jakoś tak inaczej...

– Bo czuję, że żyję!

– Beti, pobaw się, ale nie wkłęczaj się w to. Ciesz się tym, co macie, ale błagam, nie zakochuj się w nim. Nie chcę, żebyś cierpiała.

– Nie wkłęczam się – zapewniam ją entuzjastycznie, bardziej niż tego sytuacja wymaga. – Cieszę się tym, Margo...

Sama w to nie wierzę. Padam jej w ramiona i bezgłośnie płaczę.

– Cokolwiek się zdarzy, będę przy tobie – mówi mi i mocno przytula do serca.

* * *

– Widziałaś jego żonę? – pyta Doris.

– Tak, raz na światłach...

– I jak? Ładna?

– Podobna do ciebie.

– O, to śliczna!

Śmiejemy się.

– Beti, to niesprawiedliwe, ja jestem sama od dwóch lat, a ty już znalazłaś miłość – Doris wyraźnie łapie doła.

* * *

Mela jest niegrzeczna. Spuściłam ją na chwilę z oczu, a ona już to wykorzystuje. Zaganiam ją na siłę do śniadania, a ta nie.

– Nie lubię kanapek! – Zaciną usta. – Chcę chipsy!

– Nie! – wrzeszczę. – Kto tu rządzi? Ja czy ty?

– Ty rządziłaś na Karminowej, a na Wyspowej rządzi Mela! – odcina się bezczelna trzylatka.

– Mela, ja cię proszę. – Mam łzy w oczach. – Błagam cię.

– Chcę chipsy! – jest twarda.

Wyciągam paczkę z szafki i rzucam jej na stół zrezygnowana. To jest wojna, którą przegrywam.

– Mamo... – zaczyna niewinnie.

– Tak?

– Nie lubię cię. Ale lubię chipsy i gumy bamby.

– Chyba mamby...

– No przecież mówię, że bamby.

– Mela, bo zaraz cię spakuję i wrócisz do ojca!

– Nie, mamo, już będę grzeczna – ryczy. – A jak mnie zdenerwujesz, to ty tam wrócisz. O!

Poddaję się. Kładę się na łóżku i gapię się w sufit. Małolata w tym czasie pochłania całe chipsy.

Pik, pik. SMS: „Myślę o Tobie cały czas. I o tym, jaki jestem, kim jestem i jakim prawem zawracam Ci w głowie... Niedługo mam dziesiątą rocznicę ślubu”. „Kochasz ją?” Pik, pik. „Jak wartościować, porównywać dwie miłości? Jedna – długa, sprawdzona, nigdy mnie nie zawiodła, a druga – świeża, szalona, energetyczna... Z której mam zrezygnować?” Pik, pik. „Boję się Twojego

ewentualnego zawodu, bólu, płaczu. Życie i tak wystarczająco waliło Cię po głowie”. Co mam odpisać? Co mam na to powiedzieć? Cierpiałam kiedyś, potem byłam jak głaz, a teraz znów czuję i marzę. Dzięki niemu... „Biorę to ryzyko na siebie”. Pik, pik. „Nie wiem, jak to zorganizujesz, żebyś była sama, ale jestem u Ciebie jutro o 7 rano”. „Czekam”.

MIESIĄC MIODOWY

Pierwszy raz widzę go nagiego. Szok! Przedramiona ma pokryte łuszczycą w jakimś dziwnym, zapalnym stanie. Na plecach blizny po już zagojonych ranach. Zaczynam wszystko rozumieć.

– Pytałaś kiedyś, czy mi gorąco w tej bluzie – zaczyna. – Teraz ci odpowiem: „Tak, gorąco, ale nie chcę, żeby ludzie na to patrzyli”.

– O Boże! Andrzej...

– To nie jest zaraźliwe...

– Ja się tego nie boję ani nie brzydę.

Tracę dziewictwo po raz drugi w życiu. Tak dawno tego nie robiłam, że boli jak za pierwszym razem. Ale tylko przez chwilę.

– Kobieto, gdyby nie to, że masz córkę, to naprawdę pomyślałbym, że...

– Nie wiem, czy to ma medyczne wytłumaczenie, ale sam widzisz...

– Widzę, mam na sobie twoją krew.

Jest dobry i czuły. Kładę głowę na jego piersi i odpływam. Nie mogę uwierzyć, że wpuściłam znów kogoś do swojego życia, że znów jestem w czyichś ramionach i że nie boję się tego, co jest, i tego, co będzie. Cokolwiek się stanie, teraz jest nasza chwila. Przerywa ją SMS od Margo: „Rzucasz palenie!”.

– Kto to? – pyta Andrzej.

– Margo jest w ciąży – mówię.

Spędzamy w łóżku kilka godzin. Nasze komórki dzwonią nieustannie – do Andrzeja pewnie kursanci, którzy chcą się umówić na jazdy, do mnie pewnie klientki, które chcą kupić krem pod oczy. My jesteśmy wyłączeni. Niech dzwonią. Dotykam jego twarzy, jego dłoni, jego włosów... Nagle patrzę na jego telefon i widzę, kto dzwoni – KASIA. Żona. On gdzieś tam ma drugie życie... Nie jest mój.

* * *

Margo.

– Słuchaj, czy ty się zastanawiałaś, dlaczego los cię tak doświadcza?

– Margo, to już chyba nie jest pytanie do mnie! – wkurzam się.

– A do kogo?

– Do losu... – mówię po prostu.

Margo zadziera głowę do góry i krzyczy w niebo: „Looooooooooooooooooooosieeeeeeeee!!!”.

Zero odpowiedzi. Cisza.

* * *

Pik, pik. „Zahipnotyzowałaś mnie. Jestem naćpany Tobą”. „Zrobię Ci dziś obiad, chcesz?” „Już jestem głodny... Ciebie”.

Od tygodnia nic nie jem, nie gotuję. Mela żywi

się na Karminowej, a ja to chyba żyję miłością. A tak naprawdę to mam lęk przed gotowaniem. Kiedyś gotowałam dla Romka różne przysmaki. Kurczę, nawet drożdżowe bułeczki z rodzynkami mu upiekłam! Włożyłam na początku w ten związek tyle serca... Nie, nie jestem w stanie gotować, nie jestem jeszcze psychicznie odblokowana pod tym kątem.

Idę do sklepu i postanawiam kupić trzy gotowe schabowe i surówkę. Co innego iść z facetem do łóżka, a co innego ugotować mu obiad! Co to to jeszcze nie! Przy kasie patrzę, a ja mam tylko dwa schabowe w koszyku. Gdzie jest mój trzeci kotlet?! Kasjerka nie wie. Wracam na garmażerkę.

– Gdzie jest mój trzeci kotlet?! – żądam wyjaśnień.

– Dałam pani dwa – bezczelnie odpowiada baba.
– Pomyślałam sobie, że po co pani tyle kotletów. Aż trzy?

No owszem, mieszkam tylko z Melą i te dwa by nam wystarczyły w normalnych okolicznościach, ale...

– Ale co to panią obchodzi?! – drę się i zabieram trzeciego kotleta, zanim ta się rozmyśli.

No obłąd!

* * *

Mela jest w szoku na widok Andrzeja.

– Mama, kto to jest ten pan? To tata Jasia?

O Boże, ona myśli, że to były facet Doris! Ostatnio mnie pytała, czy Jasio też nie ma taty, jak ona. I teraz nagle się odnalazł. U nas na obiedzie... Ha, ha!

Jemy. Potem odwozimy Mełę na Karminową i wracamy. Oficjalnie mam jazdy.

Strasznie, strasznie długo się całujemy.

– Gdyby nie to, że nie lubię wielkich słów... – zaczyna Andrzej.

– Wiem, wiem... ja ciebie też – mówię bez ogródek.

– Jeśli będziemy razem, to chcę mieć z tobą dziecko, musisz to wiedzieć – wypala z kolei Andrzej.

– Przestań! – Wzdrygam się. – Absolutnie nie!

– Dlaczego?

– Ja już jedno dziecko mam. Nieślubne. Zobacz, żywię je mambami – bambami i ciągle się zastanawiam, kto ma go popilnować, żebym mogła iść do pracy lub chociażby spotkać się z tobą.

– Ale ja się z tobą ożenię. Gdybym był wolny, to od piątku mieszkałbym z tobą, a za miesiąc byłabyś już moją żoną.

– Ale nie jesteś wolny! A ja nie jestem typem żony i dobrej matki!

Płaczę i opowiadam mu o bułkach drożdżowych. On wszystko rozumie.

– Mięsiłam to ciasto, przykrywałam ściereczką, żeby urosło, lepiłam te cholerne bułki! I zobacz, co z tego mam! Chciałam być dla niego żoną, wzorową gospodynią, a okazało się, że to jakiś psychol.

Andrzej mnie przytula.

– Już będzie dobrze. Już dobrze...

– Akurat!

Kochamy się jeszcze raz i jeszcze raz. W trakcie przypomina mi się ten świr Stefan – moja studencka miłość.

– Wiesz, on miał fajną teorię. Nazywam ją teorią chcenia i niechcenia.

– I właśnie teraz musisz mi o tym opowiedzieć?
– wzdycha Andrzej.

– Tak, bo potem zapomnę – nalegam.

– No skoro musisz, to przerywamy i opowiadaj.

– Miał teorię, że im bardziej jedna osoba chce z kimś być, tym bardziej ta druga nie chce. I na odwrót. I ja mu uwierzyłam...

– A teraz co sądzisz?

– Teraz... to cudowne chcieć tak bardzo i wiedzieć, że ty też tego chcesz.

– Tylko nie zaczynaj mi tu nie chcieć, żeby przetestować na mnie zasady tej teorii!

– Nie zacznę. Chyba się odblokowuję przy tobie. Zaczynam normalnieć. Dobrze mi.

Sielankę przerywa jedno zdanie Andrzeja, które wypowiada mrożącym krew w żyłach tonem.

– Beti, ja nie zdążyłem... no wiesz.

Nie! Krew mi odpływa z twarzy. Tylko nie to! Nie teraz! Liczymy dni mojego cyklu. Sam środek, cholera!

– Nie martw się tak, proszę cię. Sama mówiłaś, że nie ma sensu się martwić czymś, na co nie mamy wpływu. Poczekamy i zobaczymy. A póki co – bez stresu!

Bierze mój kalendarz i zaznacza kółeczkiem dzisiejszą datę. A ja dopisuję: „Jaś czy Małgosia?”

Piszę też SMS-a do Margo: „Jesteśmy ze sobą tak sprzężone, że chyba drugie dziecko też będziemy miały w tym samym czasie”.

* * *

Dni mijają cudownie i powoli, tylko noce są za krótkie. On zawsze musi wracać do domu, do niej...

– Zostań jeszcze chwilę... – błagam.

– Nie mogę...

– Proszę, jeszcze tylko moment...

Czasem udaje mi się go zatrzymać na dodatkowe pół godziny.

– Zostaniesz u mnie kiedyś na noc?

– Nie wiem, zawsze wracałem na noc do domu, przez dziesięć ostatnich lat.

– Obiecuj, że kiedyś zostaniesz.

– Beti, o jakim ty facecie marzysz? – zmienia

temat.

– O takim, który by mi robił śniadania – mówię bez zastanowienia. – Romek nigdy mi nie zrobił. Nawet jak mi już wody odeszły o siódmej rano i powiedziałam mu, że chyba rodzę, to w odpowiedzi usłyszałam, że przecież jeszcze dwa tygodnie do terminu i że on chce jajka na śniadanie. No i smażyłam te jajka, a wody spływały mi po udach na podłogę. Potem wyszedł do pracy.

Łzy spływają mi na szyję. Andrzej mnie przytula.

– Kochanie, to już przeszłość. Teraz będziesz szczęśliwa i bardzo kochana. Tak jak na to zasługujesz.

* * *

Jest piątek. Wybieramy się z Margo na zakupy z córkami, bo trzeba przecież kupić stroje kąpielowe na wyjazd na Mazury. Przy okazji kupuję sobie nową bieliznę. Dosyć już występowania przed Andrzejem w starych majtkach! Dzieciaki drą się w wózkach, a my jesteśmy skonane. Mela w końcu się wyrywa i lata po sklepie z sukienką z białej koronki w ręku.

– Kup mi to! – wrzeszczy – Mela to chce!

– Nie, nie! Nie kupię!

– Łaaaaaa!!!!

– Bo dostaniesz w dupę!

– Nie lubię mamuni! – ryczy na cały sklep.

– Dobra, kupię ci coś, tylko się nie drzyj!

Rozglądam się po sklepie i nie wiem, co mam zrobić. Może kupię jej różową szkatułkę, może choć szampon? Wpadam w panikę. Niech tylko już nie płacze. Serce mi się kurczy. W końcu Margo łapie mnie za ramiona i mocno potrząsa.

– Beti, kurwa, opamiętaj się!

Mela drze się:

– Siku!

Wybiegam z nią przed sklep. Kuca przed samymi drzwiami i zamiast siku robi wielką kupę. Teraz to dopiero jestem w szoku. Rozglądam się, czy nikt nie widzi, i zwiewam stamtąd czym prędzej, ciągnąc Melę za sobą. Pot leje mi się po plecach. Muszę kupić fajki.

W sklepie znów sadzamy córki w wózkach, a torby z zakupami wieszamy na wózkach. Gówniary przechylają się i wypadają z wózków, a nasze zakupy turlają się po podłodze. Dzieci leżą pomiędzy rozsypanymi bułkami, a zatroskana ekspedientka pyta:

– Dziewczynki, czy nic wam się nie stało?

Nie wytrzymuję i wydzieram się na babę:

– Nas niech się pani zapyta! Nas, a nie tych diabłów wcielonych!

Po tym ataku hysterii wracam przed sklep i pakuję kupę Meli do reklamówki. I tak z tym chodzę,

bo nie mogę znaleźć śmietnika.

– I po co nam to było? – pyta Margo.

– Ale co?

– No te dzieci.

– Ja przynajmniej mam tylko jedno, a ty zaraz będziesz miała dwoje.

– Kurwa, ja chyba zwariowałam!

Zawożę Mełę na Karminową i mówię, że odbiorę ją jutro... albo nigdy.

* * *

Wieczorem stoję na balkonie i czekam na Andrzeja. Widzę, jak wysiada, i już wiem, że dziś ze mną zostanie.

– Co powiedziałeś żonie?

– Że idę z chłopakami na wódkę.

– Uwierzyła?

– Tak, ona mi bezgranicznie ufa.

– Świetnie, tylko zobacz, co z tego ma.

– Strasznie chcę się przy tobie rano obudzić...

– Ja też strasznie chcę...

Obudzić się... Jak? Skoro nie możemy zasnąć. Świta, a my nadal tulimy się do siebie. O szóstej rano dzwoni jego budzik. Wstaje i robi mi śniadanie. Jemy w pośpiechu, bo on za pół godziny zaczyna pracę. Ale i tak spełnił moje marzenie o porannych bułeczkach z dżemem i wspólnej kawie.

Wychodzę na balkon i widzę wracającą z imprezy Doris. Raz na dwa tygodnie, kiedy Jasio jest u ojca, Doris wychodzi na miasto szukać swojej drugiej połówki.

– Poznałaś kogoś? – krzyczę do niej.

– Tak!

– To super!

– Nie, bo poznałam, ale zapomniałam wziąć od niego numer i zostawić mu swój. Jak się opamiętałam, to byłam już pod domem. Zawróciłam taksówkę i szukałam go po wszystkich klubach, żeby naprawić ten błąd, ale już go nie znalazłam. Idę spać, Beti, jestem beznadziejna!

Ja też idę spać. A potem po Mełę.

Spędzamy weekend razem i jest w miarę spokojnie.

* * *

W poniedziałek Andrzej jest zbulwersowany.

– Moja żona chce tysiąc złotych na wakacje. Przecież wie, że nie mamy kasy i toniemy w długach. Mimo to chce wyjechać nad morze. Strasznie się pokłóciliśmy.

– Daj jej i niech jedzie. Będziemy mieli trochę czasu dla siebie.

– Wiem. Wkurza mnie jednak to, że ona nie potrafi dostosować się do obecnej sytuacji. Kiedyś

mieliśmy pieniądze, stać nas było na wszystko, teraz mamy jedną wielką dziurę w budżecie, a ona dalej chce wyjazdów i butów za dwieście złotych!

– Pożyczę jej ten tysiąc na wyjazd – postanawiam. – Chcę mieć cię tylko dla siebie.

– Jakoś wykombinuję te pieniądze. Też uważam, że powinniśmy pobyć trochę ze sobą na spokojnie. Przekonamy się, czy to naprawdę TO. Teraz przecież nie powiem Kasi: „Słuchaj, przeprowadzam się na miesiąc do Beaty, bo muszę sprawdzić, czy ona jest rzeczywiście taka fajna, jak mi się wydaje”.

– A może by się zgodziła? – śmieję się.

– Tak, jasne. Powiedziałyby: „Spoko, luz. Pomóc ci się spakować? Podwieźć cię może?”.

Zaczynamy się śmiać z naszych absurdalnych wyobrażeń.

– Z jednej strony chcę, żeby pojechała, a z drugiej wkurza mnie jej egoizm! Tylko kasa i kasa, a ja kasy nie mam. Ciebie to nie przeraża?

– Co?

– Że mam takie długi.

– Nie, bo razem damy radę z tego wyjść. Ja jestem zresztą straszną minimalistką. Byle było na bamby dla Meli.

– Dlaczego ja cię nie poznałem dziesięć lat temu? – rozmarza się Andrzej.

– Bo kiedy inne kobiety stały w kolejce po mężów, ja stałam w kolejce po wino – śmieję się.

– Dlaczego nie poznaliśmy się w tej samej kolejce po wino?

– Bo ja stałam w monopolowym w Zamościu, a ty w Warszawie. Poza tym nie spodobałabym ci się wtedy.

– Ja tobie pewnie też nie. Miałem długie włosy. Byłem punkiem.

– Co?! – nie mogę uwierzyć. – Szalałam wtedy za chłopakami, którzy mieli długie włosy. Kiedy ty tak znormalniałeś?

– Jak poznałem moją żonę. Ona jest do bólu normalna. Wtedy to mi się podobało. W moim domu wszystko stało na głowie. Ojciec ciągle się awanturował i bił matkę. Miałem dosyć. Ożeniłem się więc z kobietą, która stworzyła mi ciepły dom. Tak to chyba było.

Pijemy kawę z jednego kubka, bo tylko z jednym się wyprowadziłam. On też pije czarną bez mleka i cukru, tak jak ja. W ogóle jesteśmy tak strasznie do siebie podobni, że mnie to przeraża. Na pozór normalni, poukładani. On – właściciel szkoły jazdy, ojciec, mąż; ja – właścicielka firmy kosmetycznej, matka. A w środku drugie dno. Czyste szaleństwo. Z jednej strony potrzeba normalności, z drugiej chęć i gotowość zrobienia wszystkich głupot świata.

* * *

Wieczorem, strasznie późno, dzwoni telefon.

– Śpisz? – pyta.

– Nie, uśpiłam Mełę, leżę i myślę o nas. A ty co?

– Wracam do domu od siostry. Dobra, kończę, bo już jestem pod domem.

Za chwilę... Pik, pik. „Wpuść mnie”.

Otwieram i już jestem w jego ramionach.

– Pod domem jesteś? Adresy pomyliłeś?

– Zostaję dziś u ciebie na noc.

Przesuwam Mełę na brzeg łóżka i kładziemy się obok niej. Mam jeden kubek i jedno łóżko. Wszystko z nim dzielę. Mam też jedno serce, ale to oddaję mu w całości.

Strasznie się poci w nocy – skutek uboczny leków na łuszczycę. Wstaję i wycieram mu głowę suchym ręcznikiem.

– Lepiej? – pytam.

– Kocham cię.

– Ja ciebie też. Śpij już.

– A ty czemu nie śpisz?

– Ja będę pilnować, żeby nic ci się nie stało, i wycierać cię, jak się spocisz.

– Śpij...

– Nie mogę. Leżę pomiędzy dwiema osobami, które kocham najbardziej na świecie. Pozwól mi się tym nacieszyć.

– Jutro powiem Kasi, że chcę rozwodu.

* * *

Rano pierwsza otwiera oczy Mela.

– Mama – pyta zaspana – czemu Andrzej tu śpi?

– Bo jest zmęczony.

– On jest chory? Dlatego leży w naszym łóżku?

– Mniej więcej...

Mela kładzie się w poprzek na naszych nogach i jeszcze zasypia. Patrzymy na nią z czułością i jesteśmy sparaliżowani powagą tej chwili.

– Jakbyśmy byli rodziną... – wzdycha Andrzej.

Reszta zostaje niedopowiedziana. Na przykład to, że na drugim końcu miasta budzą się teraz jego żona i syn, a jego przy nich nie ma...

* * *

Jedziemy Wisłostradą. Ja prowadzę. Z radia leci piosenka Edyty Bartosiewicz.

Jestem jak każdy inny człowiek. Czasem swych błędów nieświadoma. Przychodzę swym ciepłem się podzielić. Zostawiam zgliszcza.

– Przynajmniej ona nas rozumie...

Czy mógłbyś dla mnie znaleźć czas? Porozmawiać. Laj laj laj laj laj laj. Tak łatwo myślom złym dać się zwieść. Czy mógłbyś do swej piersi przytulić mnie?

Łzy stają mi w oczach.

Jestem jak jeden czuły nerw. Nie mów, że z tobą jest inaczej. Żyję na ostrzu, na krawędzi. Czasem płaczę [1].

– Beata, ja tak właśnie ostatnio żyję! Na krawędzi.

– Ja też.

– Nie wiem, ile jeszcze tak dam radę.

– Andrzej, zobacz, jadę samochodem, po swojej prawej stronie mam Wisłę i ciebie – zmieniam temat.

– Spełniają się moje marzenia. Opowiem ci teraz, dlaczego mieszkam po drugiej stronie Wisły.

– Dlaczego mieszkasz po drugiej stronie Wisły? Przez to wydaję krocie na benzynę, jeżdżąc do ciebie.

– Bo jak rano przejeżdżam przez most i patrzę na rzekę, to robi mi się lepiej, nieważne, jak ciężka była noc. A potem, jak wracam wieczorem i patrzę na rzekę, to znów robi mi się lepiej, nieważne, jak ciężki był dzień. Dlatego. A teraz odwracam głowę i widzę rzekę i ciebie.

– A teraz puszczę ci swoją ulubioną piosenkę.

– Dawaj!

I leci IRA Trochę wolniej:

Ludzie biegną. Pan, co krzyczy, też już o jeden krok przed sobą jest. Modna pani nie chce spóźnić się, bo podwyżkę ma dać jej szef. Młody tata trzeci etat ma, w domu zdąży tylko spać (...).

– Ty jesteś tym młodym tatą, co w domu zdąży tylko spać? – śmieję się.

– Ostatnio nawet spać tam nie zdążam – śmieje się on. – A ty jesteś tą modną panią?

– Tylko że ja nie mam szefa.

Trochę wolniej! Po co gonić tak? W imię czego tracić głowę? Trochę wolniej! Życie ma swój smak. Noga z gazu! Zobacz coś choć raz! [2]

– Nie wiesz przypadkiem, dlaczego jest mi z tobą tak dobrze? – pytam.

– Ale w łóżku? – śmieje się.

– To też.

– Bo jestem młody? I cię kocham?

– OK. To mi wystarczy.

* * *

Kolejny dzień.

Pik, pik. „Czy jesteś w stanie wyjechać z Polski?” „To jak dotąd najpoważniejsze pytanie, jakie mi zadałeś”.

* * *

Kolejny dzień.

– Zamieszkas w Gdańsku? Otworzę tam filię swojej szkoły i będę miesiąc w Warszawie z żoną, a miesiąc z tobą w Gdańsku. Chcę z tobą normalnie żyć, nie chcę się ukrywać.

* * *

Kolejny dzień.

– Ile kosztuje wynajęcie dwupokojowego mieszkania na Wyspowej? Będę się dorzucał do czynszu.

– A jak się rozstaniemy?

– Spiszemy umowę, że nawet wtedy będę się dorzucał.

* * *

Kolejny dzień.

– Urodziłabyś mi dziecko, nawet jeśli nie odejdę od żony?

– Andrzej, dlaczego ty chcesz wszystko jeszcze bardziej skomplikować? – pytam zrozpaczona. – Dlaczego nie rozwiedziesz się i nie ożenisz ze mną tak po prostu?

– Pozwól mi dojrzeć. Nie naciskaj. Ty się wyprowadziłaś z dzieckiem, a ja swoje musiałbym zostawić.

Wychodzi. I zaraz dostaję SMS-a: „Kocham Kasię. Jest dobra i niewinna. Kocham też Ciebie”. Odpisuję: „Gdy wychodzisz z mojego łóżka, to nie wysyłaj mi zaraz potem SMS-ów zaczynających się od słów: «Kocham żonę...»”.

* * *

- Powiedziałem Kasi, że chcę rozwodu.
 - Co ona na to?
 - Zapytała, czy to jest prezent dla niej na dziesiątą rocznicę ślubu.
 - Powiedziałaś jej o mnie?
 - Jeszcze nie.
 - Może nie mów – waham się. – Jeśli rozwód będzie z twojej winy, będziesz musiał jej płacić alimenty. To będzie bardzo skomplikowana sprawa.
- Jestem ekspertem. Romek rozwodził się dwa lata. To był koszmar. Pranie wszystkich brudów. Zanim dostał ten rozwód, ja straciłam najmniejszą ochotę, by za niego wyjść.

* * *

Kolejny dzień.

Pik, pik. „Wszystko jest nie tak. Jesteśmy z synem u lekarza. Na wrzesień wyznaczono mu termin operacji. Wytną mu migdałek, włożą dreny do uszu. Kasia objęła mnie i zaczęła strasznie płakać. Mam wrażenie, że nie tylko przez to”. „Andrzej, to jest tylko migdałek. Dzieci często tak mają”.

Staram się go pocieszyć czy boję się, że ze względu na syna nie odejdzie od żony? Tej żony – dobrej i niewinnej. A jaka ja jestem?

* * *

Kasia wyjeżdża z dzieckiem do rodziców. Oddychamy z ulgą. Żyjemy tak, jakby oprócz nas nie było nikogo na świecie. Prawie nie wychodzimy z łóżka. Mela coraz częściej śpi na Karminowej, Andrzej zapomina o kursantach, którzy dzwonią, że czekają na placu, ja zapominam o swoim biznesie i o tym, że mam zarabiać, bo jestem jedyną żywicielką swoją i swojego dziecka. Oddaję się miłości i wierzę, że znalazłam swoją drugą połówkę.

* * *

Margo.

– Chcesz przymierzyć moją suknię ślubną?

– Dawaj!

Cała aż się trzęsę z emocji. Ale to niemożliwe, żeby była na mnie dobra. Margo jest ode mnie wyższa o głowę i ma zupełnie inną figurę. Oglądam się jednak w tych zwojach białej satyny i nie mogę uwierzyć. Jest idealna. Suknia z moich marzeń. Łzy napływają mi do oczu.

– Pożyczę ci ją na twój ślub – mówi Margo i mocno mnie przytula. – Będiesz szczęśliwa. Wiem, że wszystko się ułoży.

* * *

Przyjeżdża Andrzej i opowiadam mu o sukni.

– Beata, muszę ci coś powiedzieć – zaczyna. – Zbieram się do tego od jakiegoś czasu. Może w ogóle nie będziemy mogli być razem, nie będziesz chciała... Jestem świadkiem Jehowy.

– Co?! – zamieram.

Tu opowiada mi o tym, jak jego ojciec – wzorowy katolik, zajmujący zawsze pierwszą ławkę w kościele – zaraz po mszy lał żonę jak popadnie. Opowiada, jak zbierał się w nim latami bunt przeciwko katolickiej obłudzie. O tym, jak poznał Kasię i okazało się, że dziewczyna jest świadkiem Jehowy, i o tym, jak spodobała mu się ta wiara w Pismo Święte.

– Andrzej, ale twój ojciec nie może być reprezentantem wszystkich katolików – tłumaczę.

– Beata, ja ci chcę powiedzieć, że problem jest dużo poważniejszy. Mnie za zdradę Kasi wykluczą ze zboru. Będę się starał o ponowne przyłączenie i pewnie do czasu naszego ślubu nie będę mógł z tobą mieszkać. U nas przestrzega się czystości przedmałżeńskiej.

– No nie, nic już nie rozumiem! – wybucham. – To z kochanką można spać, ale z narzeczoną nie?! To jest dopiero obłuda!

– Beata, czy moja wiara coś zmieni między

nami? – spuszcza głowę.

– Nie, nic nie zmienia. Nadal cię kocham. Jakoś to ułożymy, chociaż nie wiem jak. Problemy się mnożą z minuty na minutę.

– Ale jak wychowamy ewentualne dziecko? Na katolika czy na świadka? Pewnie będziemy się o to kłócić.

– To będziemy musieli mieć dwójkę – wymyślłam rozwiązanie. – Jedno będzie świadkiem, drugie katolikiem.

No to w sukni ślubnej raczej nie wystąpię, chyba że ubiorę się w nią do cywilnego.

* * *

Rano lecę do Margo.

– Słuchaj mnie i lepiej usiądź – zaczynam. – On jest świadkiem Jehowy.

Margo jak zwykle na to:

– O kurwa!

– No a może rozwiń swoją myśl.

– To jakaś sekta! Od nich gorsi są tylko mormoni! Nie no, jestem załamana!

– Wiesz, mnie oni trochę imponują, bo naprawdę żyją wedle głoszonych zasad.

– Jasne, na przykład patrz na Andrzeja. Wzór przestrzegania zasad. A niech to!

I tak postanawiam, że zniosę to wszystko. Miłość

musi być ponad wyznanie.

* * *

Mela tak przyzwyczaiła się do obecności Andrzeja, że kiedy wchodzimy do domu, a jego nie ma, rozgląda się zdziwiona i pyta:

– A gdzie jest Andrzej?

– W domu – mówię, mając na myśli to, że pojechał na Mokotów.

– Ale przecież nie ma go w domu, mamo. Przecież widzę, że go nie ma. On zaraz wróci?

– Tak.

– Mamo, Mela chce mieć braciszka. Będzie go lulała i mocno przytulała.

– O Boże, dziecko! – Biorę ją w ramiona. – Będziesz miała braciszka, obiecuję.

Gotuję na obiad ziemniaki i kurczaka, ale ona nie chce jeść.

– Gdzie jest Andrzej? On też jest głodny. Mela chce z nim jeść.

Dzwonię do niego i mówię, żeby przyjechał. Dziecko za nim tęskni, a poza tym trzeba dorobić rodzeństwo.

* * *

W mojej szafce w łazience pojawia się jego

szczoteczka do zębów i maszynka do golenia. Na półce w szafie ma swoją koszulkę i bokserki. Wszedł w moje życie i się w nim rozgościł. Planujemy, że jak wrócę z Mazur, a Kasia już wyjedzie nad morze, to zawieziemy Melę do Zamościa i zostawimy ją tam na kilka tygodni. Andrzej już sprawdził w Internecie, co zwiedzimy w okolicy. Chcę go zabrać na Roztocze, pokazać mu wszystkie miejsca, które kocham – Susiec, Guciów, Zwierzyniec. Już nie możemy się doczekać.

– Ale to będzie wyjazd bez obrączki – ostrzegam go.

Patrzy na swoją dłoń i złoty krążek na palcu. Nigdy go jeszcze nie zdejmował.

– Dobrze – zgadza się cicho.

Często też dzwoni mu telefon i na ekranie wyświetla się: KASIA, ale on nie odbiera. Raz przyszedł MMS, a w nim zdjęcie. Ona, on i dziecko. Wszyscy uśmiechnięci i przytuleni do siebie.

GDZIE TE MAZURY?

Wyjeżdżamy. Jeszcze wczoraj błagałam Andrzeja, żeby z nami jechał, ale bez skutku.

– Nie mogę, zrozum – tłumaczył. – Przecież twoi znajomi wiedzą, że mam żonę, że ją zdradzam. Jak ja bym się tam czuł?

Z ciężkim sercem pakuję rzeczy. Cztery dni bez niego... O szóstej rano Mela już jest ubrana i śpi na krześle z plecakiem na plecach. Była taka podekscytowana, że jedzie, że nie mogła w nocy spać. Teraz ją zmogło. Biorę ją na ręce i wynoszę pod blok Margo. Ta już siedzi na schodach i czeka. Zaraz podjedzie Sebastian dodge'em ramem, samochodem swoich marzeń, za którym oglądają się wszyscy przechodnie. Mąż Margo jest właścicielem firmy budowlanej i nie liczy się zbytnio z kasą. Mój minimalistyczny styl życia i bycia trochę się różni od ich stylu. Całą drogę pika mój telefon. Dostaję setki SMS-ów od Andrzeja. Wszyscy pasażerowie mają już tego dosyć i patrzą na mnie wymownie. Pierwsza nie wytrzymuje Margo.

– Kurwa, Beti, mi już w głowie pika!

Ściszam dźwięk.

Zatrzymujemy się na stacji. Kupuję dużą kawę. Taką jak zawsze, gdy byłam z Andrzejem. Piliśmy ją na spółkę. Oddaję się wspomnieniom i wyłączam się z rzeczywistości. Mela krzyczy: „Siku!”, a ja nic. W

końcu Borys bierze ją na ręce i wysadza na trawie. Skąd on wie, jak wysadzić dziecko siku, skoro nie ma swoich dzieci? Zadziwia mnie ten facet.

– Może ja cię zatrudnię jako opiekuna do Meli?
– pytam go.

– Ale wiesz, ja mniej niż trzy tysiące nie wezmę.

– Ale z gotowaniem i praniem?

– Nie, z tym to pięć tysięcy.

– Wiesz co, to już taniej mnie będziesz kosztował, jak za ciebie wyjdę – żartuję.

Jedziemy dalej. Po drodze Mela i Basia gadają jedna przez drugą:

– O, krowa!

– To moja krowa!

– Nie, moja!

– Moja!

I ryczą.

– O, drzewo!

– To Meli drzewo!

– Nie, to Basi drzewo!

– Nie, Meli!

– Ono jest małe.

– Nie, duże!

– Małe!

– Duże!

– Małe – duże!

– Nie mów: „małe – duże”!

– Małe – duże! Małe – duże! Małe – duże!

I ryczą.
Jesteśmy już na Mazurach.
– Koniec podróży, dziewczynki.
– Ale gdzie te Mazury? – Mela się rozgląda.
– Tu.
– To nie są Mazury! – krzyczy. – Mela chce na Mazury!
– Basia też!
I ryczą.

* * *

Rozpakowujemy się w pokojach. W naszym są dwa łóżka i kanapa. Borys zajmuje jedno łóżko, ja drugie. Mam na nim spać z Melą, ta jednak upiera się, że będzie spać z Borysem. Bardzo go polubiła. Moja córka chyba nawet bardziej potrzebuje faceta niż ja.

Idziemy nad jezioro. Mela z Basią rozbierają się i na golasa chlapią się w wodzie, mimo że jest zimno. Borys w gumowych płetwach i okularach nurka bardzo je fascynuje. Ja stoję nad brzegiem i myślę sobie o tym, jakie fajne jest teraz moje życie. Wiem, że Andrzej mnie kocha. Wszystko zmierza we właściwym kierunku. Podnoszę głowę, patrzę w niebo i wybucham radosnym śmiechem. Margo robi mi w tym momencie zdjęcie.

* * *

Wieczorem dojeżdża Bridget z mężem. Wiecznie spóźnieni. Może zatrzymali się po drodze na codzienne bzykanko, żeby wyrobić normę? A dzieci mamy już teraz trójkę, bo dochodzi jeszcze ich Bartek. Teraz ten wyjazd naprawdę zmienia się w koszmar. Bartek zawzięcie leje Melę i Basię po głowach, a te wyją jak opętane. Nie mogę nad tym zapanować, zresztą jestem zbyt pochłonięta pisaniem i czytaniem SMS-ów. W końcu Borys pyta:

- Ty, Esemesica, z kim tak piszesz?
- Z moim instruktorem nauki jazdy.
- Ale co, znaki drogowe ci opisuje czy co?
- Mniej więcej.
- Wiesz, mój brat cioteczny był kiedyś instruktorem...
- I co się stało? – zaciekawiam się.
- Zakochał się w kursantce, zostawił żonę i dziecko i wyjechał z kochanką do Anglii.
- O kurczę!
- Słuchaj, a ty zamierzasz oficjalnie rozwieść się z ojcem Meli?
- Ja, całe szczęście, nie miałam z nim ślubu.

Zasypiamy wykończeni tym dniem. Jutro jedziemy do Ełku, bo Margo widziała, że jest tam Chińskie Centrum Handlowe, w którym koniecznie musimy zrobić zakupy.

* * *

Rano budzę się rozkopana i robi mi się głupio, bo na łóżku obok leży Borys i patrzy na mnie z uśmiechem. Dobrze, że mam majtki, bo moja koszula nocna dziwnie się zawinęła.

Mela nie chce nic jeść na śniadanie, ale Borys opanowuje sytuację. Sadza sobie małą na kolanach i tłumaczy jej, że jeżeli nie zje, to będzie ją trzymał w niewoli do końca pobytu na Mazurach. Ze zdziwieniem i czułością patrzę, jak karmi moje dziecko.

* * *

W Chińskim Centrum Handlowym kupuję trzy sukienki i tym sposobem rozstaję się z całą kasą, jaką miałam. Dobrze, że mam kilka kremów ze sobą. Muszę je sprzedać, bo nawet nie mam jak zapłacić za nocleg. Pada na właścicielkę domku, który wynajmujemy. Pani sporo po pięćdziesiątce, totalnie bez makijażu i jak twierdzi, uczulona na wszelkie kosmetyki. Robię jej taki makijaż, że biedna nie może się poznać w lustrze. Kupuje ode mnie krem i w zasadzie za noclegi jesteśmy rozliczone. Szczęśliwa wracam na grilla, który odbywa się za domkiem. Borys, Sebastian i Kuba, czyli mąż

Bridget, piją nalewki z właścicielem.

– Lepiej by pan poszedł żonę zobaczyć – mówię mu. – Wygląda naprawdę super.

Gość zrywa się z ławki i chwiejnym krokiem rusza w stronę domu. Po chwili wraca.

– No i jak? – pytam zaciekawiona.

– Ślicznie – wzdycha facet.

Bridget i Margo też są ciekawe nowego image'u właścicielki. Lecimy. Ta otwiera nam drzwi w koszuli nocnej. Po makijażu ani śladu.

– Pani Henryko, gdzie makijaż? – dziwię się. – Przecież tak ładnie pani wyglądała. Mąż był zachwycony.

– Tak, zachwycony – mówi kpiąco pani Henryka. – Przyszedł i patrzy na mnie. Patrzy i mówi, że pięknie. Był tak pijany, że nie zauważył nawet, że ja już jestem zmyta.

Ha, ha, ha!

* * *

Na naszym piętrze są cztery pokoje. Trzy zajmuje nasza ekipa, a czwarty jakiś tajemniczy gość. Tak gruby, że ledwo się porusza. Wyłania się z pokoju tylko wieczorem i znika na całą noc. Według doniesień właścicielki obserwuje gwiazdy. Na półce w lodówce ma tylko pół litra wódki i colę. Przyjeżdża tu od jedenastu lat, zawsze sam. Co za dziwoląg! W

ogóle się do nas nie odzywa. Słyszeliśmy tylko, jak rozmawiał z kimś przez telefon i mówił:

– Przyjechałem odpocząć w samotności, a tu, kurwa, trzy rozwrzeszczane bachory w pokojach obok!

Dziś siedzimy sobie w kuchni i nagle wchodzi Gruby. Wyciąga rękę do Sebastiana i mówi:

– Bądźmy po imieniu.

Ja, jako że stoję obok, też wyciągam rękę, a ten:

– Nie, nie, z tobą się nie zapoznaję, bo ty nie jeździsz dodge'em.

Wpadam w osłupienie. Co za bezczelność! Może nie jeżdżę, ale nim przyjechałam.

– Dodge to styl życia – mówi Gruby i patrzy z podziwem na Sebastiana, który zaczyna rosnać w oczach. No i mimo że jest o dwie głowy niższy od Grubego, to już patrzy na niego z góry.

Tak, styl życia! Ten samochód ma wartość połowy ich mieszkania. A pali tyle, że można by było utrzymać drugą rodzinę, oddając im koszty benzyny...

* * *

Dziś jest Dzień Ojca. Patrząc na Melę uczepioną Borysa, mówię:

– Chyba Mela powinna ci dać prezent.

– Z jakiej okazji?

– Dnia Ojca – wyjaśniam.

– Wiesz co, z chęcią przyjmę ten prezent od ciebie. – Uśmiecha się i mruga do mnie znacząco. O, co to to nie!

* * *

Następnego dnia wybieramy się z dziewczynami na zakupy. Zostawiamy dzieci. Borys od razu mówi:

– Jedź, jedź i niczym się nie martw. Ja się zajmę Melą.

No to się nie martwię.

Latamy po sklepach w Ełku, bo Bridget chce sobie kupić kreacje, które upodobniłyby ją do płci pięknej. Doradzamy jej, jak możemy, ale jest ciężko, bo jak tylko coś jest fajne, to Bridget, zamiast to kupić, mówi tylko:

– Może w Warszawie będzie taniej...

Ja za to zatrzymuję się przy czarno–różowych szpilkach. Wyprzedaż. Tylko trzydzieści dziewięć złotych. Nie mam w portfelu ani złotówki do wydania. Głaszczę te buciki czule, a na pożegnanie całuję pudełko. Bridget z Margo patrzą na siebie i nagle obie wyjmują portfele. Dają mi po dwadzieścia złotych. Kochane! Paradoks tkwi w tym, że dwie bezrobotne zrzucają się na buty dla pani dyrektor. Ale co tam!

* * *

Kiedy my szalałyśmy na zakupach, w naszym domku działały się tajemnicze rzeczy. Gruby zaprosił Sebastiana do swojego pokoju i pokazał mu, że ma broń. Zaczynamy się naprawdę bać.

Mela pod opieką Borysa jest przebrana, nakarmiona i szczęśliwa. Właścicielka nie może się nadziwić.

– Fajnego ma pani męża – mówi i wskazuje na Borysa.

– Ach, to nie mój mąż, to opiekunka do dziecka!
– śmieję się.

* * *

Wieczorem mamy grilla. Przysiada się do nas Gruby z wódeczką. Boję się, że jak się napije, to nas wystrzela jak kaczki, ale nic takiego się nie dzieje. Znajduje za to wspólny język z Borysem i gadają o polityce i historii do rana. Zanudzają wszystkich.

Borys wraca do pokoju, kiedy jest już widno. Leżę w łóżku i się śmieję:

– Ty, widzę, że spotkałeś miłość swojego życia. A ja tu czekam całą noc, żeby ci dać ten prezent na Dzień Ojca.

– Esemesico, nie pogrywaj tak ze mną! – ostrzega mnie Borys, ale zaraz słyszę chrapanie.

* * *

Jedziemy pozwiedzać. Borys i Sebastian świrują na widok każdej rozwalającej się stodoły.

– O, z tej bym zrobił hotel!

– A tę widzisz? Ta się nadaje na pensjonat!

I tak jeździmy po mazurskich wsiach i oglądamy te ruiny. Fascynujące. Zabrałabym ich na Zamojszczyznę, tam jest sporo stodół do renowacji, ale jakoś nigdy nie podniecał mnie ich widok, który świadczył zwykle o tym, że gospodarz umarł, a jego dzieci mieszkają w Warszawie. A potem te dzieci, gdy już trochę pomieszkają w stolicy, to jeżdżą na wakacje na Mazury, by tam oglądać stodoły. Tak to się mniej więcej kręci. Jestem tego przykładem.

Nagle Sebastian zatrzymuje dodge'a z piskiem opon, bo zobaczył na jakimś płocie napis „Antyki”. A na podwórku stoją: fiat 126p, syrena, zardzewiały motor itp. Wsiadamy wszyscy i oglądamy te cuda. I wtedy widzimy ogromnego, zapienionego psa, który przeskakuje przez płot i biegnie prosto na nas. Na szczęście omija Basię i Melę, ale atakuje Sabę. Dzieciaki płaczą, psy szczekają, Meksyk na Mazurach! Saba ma raczej marne szanse na przeżycie i Margo dostaje ataku nerwowego, widząc swoją sunię w zębach potwora. Jakby tego było mało, z domku wybiegają dwie zapienione baby, które zamiast zabrać swojego psa i nas przeprosić, niemal

rzucają się nam do gardeł.

– Jak państwo śmieli wjechać na cudzą posesję z psem? – drą mordy.

Ja staję osłupiała, a Margo patrzy wyczekująco na Sebastiana i liczy chyba na to, że ten wyciągnie miecz z pochwy i utnie babom głowy. Ale Sebastian i Borys jakby nigdy nic nadal oglądają motory...

Udaje nam się wyjść cało z tej opresji, ale Sebastian ma przekichane. W samochodzie Margo jest wściekła.

– Dlaczego nas nie broniłeś?! – wrzeszczy.

– Ale o co ci chodzi? Wyluzuj. Stało się coś? – Stoicyzm Sebastiana może wyprowadzić z równowagi każdego.

– Przecież ja jestem w ciąży... – Margo uderza w płacz i wali go pięścią w głowę.

Tu wkracza Borys.

– Dobra, Sebastian, zawracaj, nie masz wyjścia. Powiesz babom, że w związku z tym, że ta awantura nie przebiegła po myśli twojej żony...

– Margo usatysfakcjonowałoby tylko to, gdybym teraz na masce dodge'a wioził skalpy tych bab – ucina Sebastian.

– Nie wybaczę ci tego, że nas nie broniłeś – zaczyna znów Margo. – Rzygać mi się chce.

I już cały wieczór leży w pokoju z miską obok łóżka. Cięża! Ciężki stan...

* * *

A ja i Borys kładziemy się w osobnych łózkach.

– To nasza ostatnia noc... Powiniennem cię porwać pod swoją kołdrę.

– Daj spokój – mówię i zasypiamy.

Za chwilę budzi mnie SMS od Andrzeja: „Jestem zazdrosny. Moja kobieta jest z innym na Mazurach”. Odpisuję: „Daj spokój”. „Ale powiesz mi «tak», jak Ci się oświadczę?” „Najpierw się oświadczy”. „Powiesz «tak»?” „Tak”.

– Esemesico, daj ludziom spać! – Borys przekręca się na łóżku.

* * *

Następnego dnia zbieramy się do odjazdu. Sebastian jeszcze tylko postanawia zwiedzić kilka miejsc. Jedziemy więc do Stańczyk, gdzie są dwa gigantyczne mosty, i do Giżycka. W sumie robimy tego dnia trzysta kilometrów. Moglibyśmy już dojechać do domu. Jestem wściekła, bo gdybym była dziś wcześniej w Warszawie, to jeszcze zdążyłabym się zobaczyć z Andrzejem. No ale nici z tego. Leje straszny deszcz. Co za wakacje! Dobra, przynajmniej już obieramy kierunek na Warszawę.

Pik, pik. „Kochanie, może to nasz ostatni SMS. Nie jestem w stanie teraz odejść od Kasi,

przynajmniej na razie. Przyjmij to, co mogę Ci dać, lub daj po twarzy i wyrzuć z serca”. Zamieram na moment. Co to ma być? Odpisuję: „To nie jest nasz ostatni SMS. Wiem, że teraz od niej nie odejdziesz, ale ja poczekam”. „Dziękuję. Kocham Cię. Pozwól mi dojrzeć do tej decyzji”.

* * *

Ja i Margo siedzimy z przodu, a Borys z dziewczynkami z tyłu. Małe są padnięte. Mela zasypia w jakiejś dziwnej pozycji w foteliku, wciąż opada jej głowa. Borys ciągle ją poprawia, żeby było jej wygodnie. W końcu mówi:

– Beata, ona jest dziwnie rozpalona. Chyba ma gorączkę.

Mela rzeczywiście zaczyna jęczeć przez sen, a z nosa leje jej się katar. Borys tuli ją i co jakiś czas wyciera jej nos. W jego objęciach moje dziecko jest bezpieczne.

Jakoś dojeżdżamy. Daję Meli panadol i modłę się, by jutro była zdrowa. Rano przyjeżdża Andrzej, a jakoś sobie nie wyobrażam, by pomógł mi przy chorym dziecku. Borys tak, ale Andrzej?

Piszę SMS-a do Doris: „Mam dla ciebie rewelacyjnego faceta. Ma na imię Borys i kocha dzieci. Na pewno zaakceptuje twojego Jasia. Doris, musisz go poznać!”. „Ja też mam dla Ciebie

świątecznego faceta – mojego wujka. Na pewno Cię zaakceptuje – jest mało wymagający”. „Oj, spadaj, Doris! Ja zresztą już jestem zajęta”.

* * *

Rano Mela jest zdrowa. Niesamowite. Zawożę ją na Karminową, żeby dziadkowie się nią nacieszyli. A ja muszę się nacieszyć Andrzejem. A, no i nie palę od dziś – tak mu obiecałam.

Wchodzi, robi mi jajecznicę na śniadanie, a potem obiad – pesto. Jestem w jednej z moich nowych sukienek i w czarno-różowych butach. Cudowny dzień. Do czasu...

– Wiesz, kupiłem napój z Tymbarku i na zakrętce jest napis: „Nie oddam Cię nikomu”. Długo nad tym myślałem. Jak mam to rozumieć? Kogo to dotyczy? Ciebie czy mojej żony?

Wkurzam się.

– Jak to? Nie wiesz?! No chyba jasne, że mnie!

– Ale z nią byłem tyle lat... Czy bym zniósł myśl, że będzie z innym?

– Andrzej, ale ty już jesteś z inną! Co to za gadanie? Przecież, skoro ty jesteś ze mną, to i ona może być z kimś innym. Nie możesz mieć nas obu.

– Z drugiej strony szalałem na myśl, że jesteś z Borysem...

– Nie jestem z Borysem i z nim nie byłam!

Chciałam jechać z tobą, ale ty nie chciałeś. Czego ty teraz chcesz?

– Nie wiem, jestem rozdarty.

– Wiesz co, to jak się dowiesz, to daj mi ten korek.

– To będzie nasz zaręczynowy korek – postanawia.

– Zgoda.

Ja chyba zwariowałam. Co to są za rozmowy? Czy my jesteśmy oby na pewno dorośli?

Wieczorem wychodzę na fajkę. Odpalam i zaraz sobie przypominam, że rzuciłam. Wyrzucam prawie pełną paczkę do kosza na śmieci. Koniec z tym. Nie mogę go okłamywać. Jutro jego żona wraca od rodziców. Denerwuję się.

ROMANS ZE ŚWIADKIEM

Następnego dnia siedzimy w knajpie i jemy chińszczyznę. W samym kącie, przy stoliku siedzi samotnie chłopak.

– Zobacz, to mój i Kasi znajomy – mówi Andrzej.

– Co?

– Mało tego, on jest wykluczony ze zboru.

– Boże, za co?

– Rozwiódł się.

Patrzę na tego smutnego, samotnego gościa i jest mi go żal. Wychodzimy. Andrzej i on patrzą na siebie bez słowa. Na ulicy szlag mnie trafia.

– Dlaczego nawet mu nie powiedziałaś „cześć”?
– krzyczę.

– Nie mogłem. Nie wolno nam rozmawiać z wykluczonymi. Muszą czuć odrzucenie.

– Co ty pieprzysz?! – nie wytrzymuję. – Siedzisz sobie z kochanką na obiedzie, robisz dokładnie to, co on zrobił kiedyś, i co? I, kurwa, co?! Akurat ty jesteś ostatnią osobą, która może go potępiać! Rozumiesz?!

– Niedługo mamy kongres świadków Jehowy. Zjadą się z całej Polski. Trzy dni... Jak ja to wytrzymam z tak obciążonym sumieniem?

– Wiesz co, jestem pewna, że po tych trzech dniach mnie rzucisz!

– Jest taka możliwość...

Zatrzymuję się na środku ulicy.

– Co ty powiedziałaś? – Potrząsam nim. – Nie wierzę w to, co usłyszałam! To może już dziś ze mną zerwij! Po co mam czekać na ten cholerny kongres?!

Zaczynam się cała trząść.

– Uspokój się! Przepraszam.

– Ale to nawet nie chodzi o to, że to powiedziałaś, tylko o to, że tak lekko to powiedziałaś. Nie, nie wytrzymam tego!

W końcu się godzimy.

– Andrzej, nawet jeśli cię wykluczą za tę naszą miłość, to i tak będziesz się różnił od tamtego gościa.

– Tak? Czym?

– Ty nie będziesz siedział przy stole sam, tylko ze mną.

– I jakoś to wytrzymam?

– Tak.

* * *

Jedziemy po Mełę na Karminową. Potem wstępuję do sklepu. Mela z Andrzejem czekają na zewnątrz. I słyszę: „Siku!”.

– Andrzej, wysadź ją na trawę – mówię zwyczajnie.

Po chwili Andrzej wchodzi do sklepu.

– Nie wiem jak.

– No nie! – Wychodzę wściekła i wysadzam ją.

Już jest obsikana. – Borys wiedział jak, a ty nie wiesz? Jasna cholera!

– To może bądź sobie z Borysem? Toż to chodzący ideał!

– A żebyś wiedział!

Za dwa dni kongres. Czy dlatego tak się denerwuję?

* * *

Jutro kongres...

– Nie będziemy się widzieć przez trzy dni, wiesz?

– Wiem... Myślę też, że to nasz ostatni dzień razem.

– Beata – Bierze moją twarz w dłonie. – Beata, ja cię naprawdę kocham.

– Ja ciebie też i płakać mi się chce.

* * *

Nie śpię całą noc. Wciąż patrzę na zegarek. O 9.30 się zaczyna. Ruszy go sumienie i mnie rzuci. 9.40. Pik, pik. „Pierwszy wykład jest o świętości rodziny. Nie mogę tego znieść”. Odpisuję: „10 minut wystarczyło, żebyś podjął decyzję i mnie skreślił?”. „Przestań, nie podjąłem jeszcze żadnej decyzji”. „To wielkie, kurwa mać, dzięki! Tylko mnie nie zapomnij

powiadomić, jak podejmiesz!” – tak sobie tylko myślę, ale nic nie piszę.

Mela mnie denerwuje. Wszystko mnie doprowadza do szału.

Wieczorem przyjeżdża.

– Zwiąłem stamtąd. Powiedziałem Kasi, że mam dużo pracy.

– To dobrze, to znaczy, że nie jesteś obłudny. Ulżyło mi.

– Na kolejne dni też nie idę. Nie zniósłbym tego.

– A już myślałam, że będziesz tam siedział, śpiewał „alleluja”, jedną ręką obejmował żonę, a drugą pisał do mnie SMS-y. Nie chciałabym takiego faceta.

– No i nie jestem taki. Nie jestem też w stanie być z dwiema kobietami.

– To wybierz jedną.

– Chyba widzisz, gdzie jestem...

– Andrzej, ja nie chcę z nią rywalizować, nie mam takich narzędzi. Ona jest twoją żoną, urodziła ci dziecko, macie tę samą wiarę. A ja? Mam dziecko – nie twoje, mam wiarę – nie twoją. Co ja mam?

– Gdyby moja żona była taka bezkonkurencyjna, to nie byłbym teraz u ciebie. Ty wygrałaś!

– Nie czuję się wygrana. Żyję w ciągłym zagrożeniu.

– Wariatko, ciebie kocham. Ciebie! – Przytulaj mnie. A potem jedź do domu. Jak zwykle.

* * *

W nocy bardzo boli mnie brzuch. Okres? Wlokę się do łazienki. Siadam na sedesie i nagle słyszę jedno wielkie „chlup!”. Z ciekawości patrzę i widzę krwawy kawałek mięsa. Boże! Jaś czy Małgosia? Wracam do łóżka. Boże! Boże! Strasznie boli.

Rano jestem jak nieżywa. Kładę się w wannie. Wypływa ze mnie drugi kawałek czegoś. Biorę to w dwa palce i patrzę. Wielka krwista wątróbka. To tak wygląda dziecko? Boli mnie. Co się dzieje?

Biorę tabletkę przeciwbólową i szykuję się do pracy. Mam ważne spotkanie. Dzwonię po taksówkę, jakoś dojadę. Dzwoni Andrzej.

– Co robisz?

– Wychodzę zaraz z domu. Mam spotkanie, taksówka już czeka.

– Oddzwoń z taksówki. Musimy pogadać.

Oddzwaniem.

– Beata, nie wiem, jak ci to powiedzieć...

– Mów!

– Ja tak mam... ale to się przekonasz, jak trochę razem pobędziemy... mam tak, że lunatykuję w nocy i czasem nie pamiętam, co się działo.

– A co się działo?

– Ja chyba... chyba przespałem się w nocy z żoną.

– Kurwa mać!
– Beata, ale ja nic nie pamiętam, nic.
– To skąd wiesz?
– Obudziłem się bez koszulki i ona była taka...
szczęśliwa. No i mi powiedziała.

– Może kłamie.
– Chyba nie.
– Andrzej, muszę kończyć.

Siedzę w tej taksówce i nie mogę uwierzyć.
Taksówkarz obserwuje mnie w lusterku. Jestem blada
jak ściana.

– Nic pani nie jest? – pyta.
– Nie, nie...

Wysiadam i stoję przed domem klientki. Nie
jestem w stanie tam wejść. Leje deszcz. Mój makijaż
diabli wzięli. Łzy lecą mi strumieniem. Stoję tam
mokra i załamana. Mój telefon pika jak szalony.
„Wybacz, wybacz, wybacz. Kocham Cię”.

Mam mętlik w głowie. To nic nie znaczyło? Nie
wiem, co gorsze – czy to, że przeleciał żonę
nieświadomie, czy to, że mi o tym powiedział z
samego rana jakby nigdy nic. Głupieję. Dobra.
Wchodzę do klientki i odnoszę biznesowy sukces.
Miłość miłością, zdrada zdradą, ale rachunki muszą
mi się zgadzać!

* * *

Wracam do domu, po drodze kupuję fajki (tak, znowu fajki!) i wychodzę na balkon zapalić. Widzę wracającą do domu, uśmiechniętą Doris.

– Poznałaś kogoś? – krzyczę.

– Tak!

– Wzięłaś chociaż numer tym razem?

– Tak, Beti, mam numer!

– No to gratulacje!

Za chwilę dostaję SMS–a. Doris. „Kot mi uciekł. Nie widziałaś go gdzieś?”. Po minucie przybiega roztrzęsiona.

– Beti, nie ma kota. Zostawiłam otwarty balkon i zwiął. Co ja powiem Jasiowi?

Dobra, ubieram się i idziemy szukać kota. Paranoja! Jakbym nie miała innych problemów!

Chodzimy w strugach deszczu po całym osiedlu i wołamy kota. Ale jak go wołać?

– On ma jakieś imię? – pytam, bo to by ułatwiło sprawę.

Doris myśli.

– Czasem mówię do niego „ty gamoniu”.

No ale zamiast się wydzierać: „Gdzie jesteś, Gamoniu?”, po prostu wołamy: „Kocie!!!”.

Szukamy po śmietnikach. Nie ma go. Znajdujemy za to wielki materac. Prawie nowy.

– Ty, przyda mi się ten materac – mówię. – Bierzemy!

Doris staje na czatach, żeby sąsiedzi nie widzieli,

a ja staram się wyciągnąć tego kolosa ze śmietnika. Nie da rady. Bierzemy się za to obie. Ciągniemy go na drugie piętro. Pot się z nas leje.

– Ty, Doris, my jesteśmy pojebane!

– Nie, nie, to ty jesteś – prostuje moja towarzyszka. – Ja tylko w tym uczestniczę.

Razem z Melą piorę ten materac mokrą gąbką, a potem gotujemy spaghetti. Pukanie do drzwi. Doris.

– Masz coś do jedzenia?

– Siadaj.

Jemy obiad, a ja nie mogę przestać myśleć. Co się właściwie stało? Chyba byłam w ciąży... Chyba Andrzej przespał się z żoną... A teraz pół dnia szukałam kota, a znalazłam materac.

– Mamo, mogę umyć rączki? – pyta Mela już chyba setny raz dziś, doprowadzając mnie do szału.

– Dla mnie to nawet i tyłek możesz sobie umyć!
– mruczę pod nosem.

Doris dostaje napadu histerycznego śmiechu.

– Beti, kocham cię za to, co powiedziałaś – wyznaje.

Śmiejemy się obie jak obłąkane. Mela jest przerażona. Co się dzieje z mamą?

* * *

Wieczorem kładę się na moim nowym nabytku i zasypiam. Budzi mnie ciche pukanie do drzwi.

Andrzej. Wygląda jak zbity pies. Wpuszczam go, ale nie mogę na niego patrzeć. Stoję ze spuszczoną głową.

– Czujesz się zdradzona? – pyta, podnosząc moją brodę do góry.

– A jak mam się czuć? Co to za pytanie?

– Beata, powiedz mi... – mówi łamiącym się głosem. – Powiedz, czy po tym będziemy mogli być razem. Czy ty będziesz mogła...

– Nie wiem tego teraz. Mówię szczerze. Nie wiem, czy będę umiała jeszcze z tobą być. Wiesz, jak człowiek się czuje, kiedy ktoś go postrzeli? Podobno najpierw nie czuć bólu, potem jest pieczenie, a potem ból jest nie do opisanego, ból, który paraliżuje. Ty mnie dziś tak postrzeliłeś.

– O Boże! – krzyczy i wybiega w nocy na deszcz.

Kładę się znów na materacu i patrzę tępo w sufit. „Kiedy leży się na wznak, łzy spływają ci na szyję” [3] – gdzieś to kiedyś przeczytałam.

Drzwi się otwierają i widzę go zmokniętego. Klęka na materacu i wciska mi coś do ręki.

– To nasz korek zaręczynowy. On jest twój, zawsze był twój...

„Nikommu Cię nie oddam” – czytamy.

– Ty wariacie! – Głaszczę go czule po głowie. – Co ja mam z tobą zrobić?

Umawiamy się na jazdy na następny dzień.

* * *

Idę w deszczu i czuję, że mam straszny krwotok.

– Andrzej, ja nie mogę jeździć. Muszę do łazienki. Coś złego się ze mną dzieje.

– Zaraz, tylko podjadę na chwilę do mojej mamy i pojedziemy do mnie.

Dlaczego nie pyta, co mi jest? Jak mu powiedzieć, że nie będzie ani Jasia, ani Małgosi?

Podjeżdżamy pod blok.

– Ten najbardziej ukwiecony balkon to mieszkanie moich rodziców.

Patrzę na piękne kwiaty, którymi wręcz obwisa ten balkon, i zastanawiam się, jak ta maltretowana latami przez męża kobieta mogła stworzyć coś tak pięknego. W jakim stanie psychicznym była, kiedy z podbitymi oczami sadziła i podlewała pelargonie? Kobiety to zagadkowe istoty...

Wchodzi do niej na chwilę i jedziemy do niego. Kasi nie ma, jest u rodziców, a ja siadam na ich sedesie i tam wypadają ze mnie resztki mojej i Andrzeja miłości. Jestem rozbita na kawałki.

– Wiesz, Kasia nie chciała wczoraj jechać do rodziców – zaczyna Andrzej. – Chciała wysłać tam tylko dziecko i zostać ze mną, żeby porozmawiać i naprawić wszystko między nami.

– No i co? – pytam zrezygnowana.

– Nie chciałem, nie byłem w stanie z nią rozmawiać. Jeszcze nie jestem na to gotowy.

– A będziesz kiedyś?

– Muszę to sobie w głowie poukładać. Żal mi jej. Wiadomość o nas ją zabije.

– Nie wierzę, że się nie domyśla.

– Może tak, ale wypiera to ze swej świadomości.

Przychodzi SMS: „Andrzej, ten kryzys wykańcza mnie fizycznie i psychicznie. Ja chcę normalnie żyć”.

– Zobacz, ona mnie kocha.

– Kocha ciebie czy swoje normalne życie? – pytam.

– Już nic nie wiem...

* * *

Następnego dnia spacerujemy po parku, trzymając się za ręce. Nie kryjemy się ze swoim związkiem. Nie boimy się, że ktoś nas zobaczy. Dzięki temu łudzę się, że on już podjął decyzję. Chce być ze mną.

Sielankę przerywa telefon od Kasi. Przyjechała, żeby porozmawiać. Andrzej nie spieszy się do domu. Spędzamy razem cały dzień, a ona tam na niego czeka i chce naprawiać związek. Wieczorem się rozstajemy. Boję się tej ich nocy. Rano jednak dostaję SMS-a: „Nie rozmawialiśmy. Jak wróciłem, to spała,

chyba była na proszkach uspokajających. Rano wyszedłem do pracy”.

* * *

Jesteśmy umówieni na jazdy po południu. Andrzej odbiera mnie z biura, ale ma poplamione spodnie i brudne buty.

- Kosiłem trawę u mamy pod pracą – tłumaczy.
- Muszę jechać do domu się przebrać.
- Kasia jest w domu?
- Nie wiem.

Jedziemy pod ich blok. Na światłach zatrzymujemy się i tuż przed naszym samochodem po pasach przechodzi wolno smutna, przygarbiona kobieta z ciężką torbą w ręku. Bije od niej powalający smutek, tak jakby to on ją pochylał ku ziemi. Dociera do mnie, że to jego żona. Obserwuję ją jak zahipnotyzowana. Nagle ona podnosi głowę, odwraca się i patrzy mi prosto w oczy. To trwa chwilę, ale ja mam wrażenie, że czas się zatrzymał. Ona idzie w swoją stronę, na przystanek, a my odjeżdżamy.

Wchodzimy do ich mieszkania, siadamy na łóżku i czekamy, aż wróci. Jestem przekonana, że wróci. Po pół godzinie beczynnego siedzenia w ciszy zaczynamy się kochać na ich małżeńskim łóżku.

– Zadowolony jesteś? – pytam po wszystkim.
– O co ci chodzi? – rzuca mi wściekłe spojrzenie.

– Bo mam wrażenie, że spełniłeś swoją najbardziej brudną fantazję. Zaciągnąć kochankę do małżeńskiego łóżka. To było bez sensu. Czuję się jak szmata.

Zaczynam płakać. Boże, jacy my jesteśmy beznadziejni!

– Nie płacz – prosi.

– Ja mam wrażenie, że ty reżyserujesz to wszystko, że chcesz doprowadzić nasz związek do granic absurdu, wycisnąć z niego, co się da, żeby potem, kiedy już do niej wrócisz, nie żałować, że czegoś jeszcze nie zrobiliśmy.

– Nie wrócę do niej, nie mów tak. Nie po tym, co przeżyliśmy.

– Chciałabym ci wierzyć.

– To uwierz. Jak mam ci jeszcze udowodnić, że cię kocham? Kiedy w to uwierzysz?

– Jak będziesz moim mężem. Wtedy! Moim, a nie jej. Rozumiesz?

Ubieramy się pośpiesznie i wychodzimy. Nie chcę być tu ani minuty dłużej. To jest ich wspólny dom, tu się kochali, wychowywali dziecko. Co ja tu robię?

* * *

Andrzej wiezie mnie na spotkanie. Zawsze na mnie czekał, a dziś mnie tam zostawia.

– Wrócisz autobusem, dobrze?

– Jak to?

– Muszę jechać do domu.

– Ale po co?

– Pozwól mi pobyc dzisiaj w swojej jaskini.

OK, fajnie. Zostawia mnie tu z dwiema walizkami i z nimi mam potem przemieścić się na drugi koniec miasta, a po drodze odebrać Melę od dziadków. Z dzieckiem i z resztą tobołków mam sobie jechać do domu, bo on chce być dzisiaj w swojej jaskini. Pięknie! Wielka miłość, nie ma co!

Spotkanie jest sztywne, nie jestem sobą. Nie ubijam tam żadnego interesu i powłócząc nogami, idę na tramwaj. Czekam godzinę. Marznę. Szpilki mnie cisną, stopy mam w pęcherzach. Jakaś awaria na torach, bo nic, kompletnie nic nie jeździ. Pięć razy dzwonię do teściów, że będę później po Melę. Już mi głupio ją odbierać. Moje dziecko o tej porze powinno już spać.

SMS od Andrzeja: „Jak biznes?”. „Nie było żadnego biznesu”. „Już w domu?” „Nie, dalej na Mokotowie. Zresztą daj mi spokój!” Jak żona była w domu, to nie mógł się doczekać, kiedy wyjedzie, żeby ze mną pobyc, a jak wyjechała, to on chce pobyc w domu sam, beze mnie. To jakieś chore!

* * *

Z na wpół senną Melą docieram w końcu do domu. Zaraz telefon.

– Beti, stało się coś strasznego – Andrzej jest roztrzęsiony.

– Co znowu? – pytam poirytowana.

– Napisałem do ciebie SMS-a, że przepraszam, że miałem ochotę przyjechać do ciebie i musiałem się aż napić wódki, żeby mnie to zatrzymało w domu. No i tego SMS-a zamiast do ciebie, to przez pomyłkę wysłałem do niej.

– No i...?

– No i zaraz zadzwoniła i zapytała: „Czy ty mnie zdradzasz?”. A ja jej odpowiedziałem: „Tak”. Zaczęła płakać i się rozłączyła.

– No to musisz teraz wypić to piwo, którego naważyłeś. Nie chciałeś jej tego powiedzieć w oczy, to zdecydował głupi przypadek.

– Co teraz?

– Nie wiem, bądź mężczyzną.

Rozłączam się. Po chwili telefon.

– Właśnie mi napisała, że przyjeżdża pociągiem o szóstej rano.

– Andrzej, nie wiem, jak ty to załatwisz, ale pamiętaj, że obiecałeś zawieźć mnie jutro o czternastej do Wyszkowa.

– Będę u ciebie rano.

* * *

Nie śpię całą noc. Rano rzeczywiście przyjeżdża.

– Żona już w domu? – pytam z przekąsem.

– Tak.

– Gadaliście?

– Nie. Właściwie minęliśmy się w progu. Powiedziałem, że muszę iść do pracy.

– Fajnie to rozwiązałeś, nie ma co!

Robię mu śniadanie. Jego telefon dzwoni nieustannie. On nie odbiera, bo to ona. W końcu dzwoni jego matka.

– Andrzej, Kasia jest u mnie. Jest w strasznym stanie, mówi, że ona sobie życie odbierze. Coś ty, synku, narobił? Dziecko moje, czy ty nie masz serca?

W tle słyszę dzikie zawołanie Kasi. Andrzej rozłącza się i biegnie do drzwi. Biorę Melę na ręce i biegnę za nim.

– Poczekaj, jadę z tobą.

– Nie.

– Jadę. Andrzej, razem z nią pogadamy. Czy tego nie da się załatwić normalnie, na spokojnie, bez tragedii?

– Zostań w domu! Porozmawiam z nią i wrócę do ciebie.

– Nie. Jeśli wyjdiesz beze mnie, to już nigdy do

mnie nie wrócisz.

– Dobra, zbieraj się szybko. Zawieziemy Mełę do babci i pojedziemy. Ale ty nie wejdiesz tam, poczekasz na ławce w parku.

– Dobrze.

* * *

Prujemy przez miasto, łamiąc wszelkie istniejące przepisy.

– Andrzej, jest mi jej szkoda – mówię. – Jest mi jej tak szkoda, że mam ochotę tam iść i ją przytulić.

– Przestań już. Nie widzisz, że to jest szantaż emocjonalny? Ona to robi na pokaz.

– Nie, ona cierpi. Przecież to nie jej wina, że się w sobie zakochaliśmy.

Zostawia mnie na ławce i idzie do niej. Wraca po dwudziestu minutach. Jest wściekły. Krzyczy do telefonu:

– Ty byłaś dobrą żoną? Ty?! Ty byłaś dobra, dopóki były pieniądze! Jak ich nie ma, to już taka dobra nie jesteś! W czym ona jest lepsza od ciebie? Ty się lepiej zapytaj, w czym nie jest! O łóżko mi chodzi?! Tak, o to też! Ona jest zajebista w te klocki. I co powiesz?

W takim stanie to ja go jeszcze nie widziałam. Przeraza mnie to. Pierwszy raz dostrzegam tak wyraźnie, że umie być bezwzględny i podły. A ja też

nie lepsza. Kaśka jest bliska samobójstwa, a ja myślę o tym, żeby się nie spóźnić do Wyszkowa. Nie wiem, czy mój pragmatyzm nie jest silniejszy od empatii, czy też przeważa argument, że mam pięć złotych w portfelu i po prostu muszę coś zarobić.

No to jedziemy. Ja prowadzę, bo on nie jest w stanie. Głowę schował w dłonie i milczy. Przypomina mi się stwierdzenie jednej znajomej, żeby nie chować głowy w piasek, bo można dostać kopa w tyłek i nie wiedzieć od kogo, a tak, to przynajmniej będzie się widziało, kto nas kopnął. Andrzej chyba sam siebie kopie, ale że schował głowę, to, biedny, jeszcze tego nie widzi. Za to mnie coś już świta.

* * *

Wychodzę ze spotkania i widzę go obok samochodu z papierosem w ustach. Widzę, jaki jest wyczerpany, szary i wymięty.

– Wyglądasz jak menel – mówię, mijając go, i wsiadam do samochodu.

– Ale nadal mnie kochasz?

– Niestety...

– Gdybyś mnie nie kochała, nie byłoby takiego problemu...

– Nie byłoby problemu, gdybyś nie był takim tchórzem!

– Ona powie ludziom ze zboru, że ją zdradziłem.

Oni mnie wykluczą.

– No i dobrze! Będą mieli rację. Skończ już z tym udawaniem, jaki to jesteś święty. Taki z ciebie świadek Jehowy, jak ze mnie katoliczka!

– Ty nic nie rozumiesz...

– Oj, rozumiem aż za dobrze! Weź ty się w końcu zamknij! Jak wymachiwałeś mi przed nosem swoją fujarką, to nie wyglądało mi to na czytanie Pisma! Jeśli jeszcze raz usłyszę o tym twoim zborze, to nie ręczę za siebie!

– Nie jedź tak szybko – prosi.

– Wal się! – odpowiadam i jadę sobie dalej sto dwadzieścia kilometrów na godzinę.

– Ja nie wiem, co się dzieje, że żadna z moich kobiet mnie już nie słucha – wypała nagle ni stąd, ni zowąd.

Dostaję szału natychmiast.

– Jakich twoich kobiet? – wrzeszczę. – A co to, kurwa, harem sobie założyłeś?! Nie jestem jedną z twoich niewolnic!

W porywie złości zrywam z kostki na nodze bransoletkę, którą dał mi tydzień temu, i wyrzucam za okno.

– Widzisz, kochanie, tak się znosi niewolnictwo.

– Przepraszam – mówi cicho. – Dlaczego my się tak kłócimy?

– Nie wiem... już nic nie wiem. Nie wiem, co będzie ze mną, jak odejdiesz.

– Nie odejdę.

* * *

Dzwoni Kasia.

– Odbiorę.

– Odbierz.

Słyszę, jak obiecuje jej, że o dziewiętnastej będzie w domu.

– Zrozum, pojedę tam i pogadam z nią, tym razem na spokojnie – tłumaczy mi, widząc, że zaczynam się cała trząść. – Zresztą zaprosiła na kolację braci ze zboru. Trzeba też z nimi ustalić, co ma być dalej.

– Jasne! – Zaczynam się śmiać histerycznie. – Zbór wam już powie, co macie robić.

– Pewnie wezmą mnie w krzyżowy ogień pytań – ciągnie dalej swoje.

– A potem cię spalą na stosie – dodaje. – Albo przynajmniej przypalą cię tam, gdzie powinni. A tak na poważnie, to znam cię już na tyle, że wiem, że jutro się mnie po prostu wyprzesz.

– Co ty wygadujesz, Beti? Nigdy się ciebie nie wyprę. Jesteś moją duszą, moją drugą połową. To tak, jakbym się samego siebie wyparł.

– Wiesz co, jedź już sobie na to przesłuchanie. Niech oni słuchają tych bzdur! Ja mam dosyć.

– Proszę cię, nie rozmawiaj tak ze mną. Już i tak

jest mi wystarczająco ciężko.

– A mi to nie?! Wciąż pieprzysz o sobie i o swoim zborze, a ja to co?! Nie jest mi ciężko? A Kaśce nie jest ciężko? Ale nie, liczy się tylko to, czy cię ze zboru nie wykluczą! Masz gdzieś i mnie, i ją. A ona też niezła – boi się, że sama nie da rady cię przekonać, to dzwoni po świadków.

– Będę u ciebie jutro.

– Szykować już miejsce w szafie na twoje rzeczy?

– Tak.

* * *

W domu nie mogę znaleźć sobie miejsca. W końcu biorę do ręki pierwszą z brzegu książkę. Ma wdzięczny tytuł *Kochanka*. Czytam do rana. Facet zaczyna zdradzać swą drętwą, zimną jak ryba żonę z fajną, wesołą dziewczyną. Ta rodzi mu dziecko, zamieszkują razem, a na koniec kochanka zaczyna zachowywać się jak żona. Czar pryska. Facet wraca do żony. Margo pożyczyła mi tę książkę. Kochana przyjaciółka! Ha, ha! Już *Oddział chorych na raka* był bardziej optymistyczny, mimo że na jednej stronie umierało po kilku bohaterów.

Rano jestem nieprzytomna. Miałam jechać na spotkanie o dziewiątej, ale odwołuję je. Deszcz leje, nie mam na nic siły. Kilka razy dzwonię do Andrzeja,

ale on nie odbiera. Chcę włączyć światło, ale nagle rozsadza mi żarówkę i szkło rozsypuje się po całym mieszkaniu. Wywala korki. Apokalipsa jakaś. Nie wiem, co robić. Dzwonię jeszcze raz. Nic. Cisza w eterze. Dobra, biorę krzesło i naprawiam to cholerstwo, które jakiś debil umieścił pod sufitem.

Telefon. Wreszcie Andrzej.

– Dzwoniłaś?

– Tak, kurwa, bo mi wysadziło korki!

– I co?

– I już sobie naprawiłam.

– Widzisz, jaka jesteś zaradna.

– A mam wyjście?

– Słuchaj...

– Już wybrałaś?

– Tak.

– I to nie ja?

– Nie ty... Ale, Beti, nie wyparłem się ciebie.

– Ani słowa więcej!

– Moja żona chce do ciebie dziś zadzwonić.

– I ty myślisz, że ja będę siedziała cały dzień i czekała na jej telefon? Podaj mi numer do niej. To ja zadzwonię.

* * *

Czuję, że już mnie nie ma. Wystukuję numer Kaśki w komórce, ale jeszcze długo nie dzwonię. W

lustrze widzę siebie, ale to już raczej nie jestem ja. Błada, wymęczona, martwa. Nawet nie płaczę. Zaczynam się czesać, żeby jakoś wyglądać w trakcie tej rozmowy, co prawda tylko telefonicznej, i z przerażeniem obserwuję zostające mi w ręku włosy. Dobrze, że nie osiwiąłam. A może po prostu pod farbą tego nie widać? Za to na bank wyłysię!

Dzwonię.

– Cześć!

– Cześć!

– Chciałam już dawno z tobą porozmawiać... –
zaczynam.

– Ja też. A teraz zamknij się i słuchaj, co mówię. Kobiety takie jak ty... jak ty... są gorsze od karaluchów i pcheł. Nie wiem, co ty sobie wyobrażałaś.

– Kasia, ja myślałam, że może to jest ten jedyny, ten właściwy i że jeśli nie spróbuję, to stracę szansę i już zawsze będę sama.

– Rozpieprzyłaś mi małżeństwo, żeby się przekonać, czy to ten jedyny?! No nie, nie mogę tego słuchać! Czy ty w ogóle wiesz, co to jest rodzina?

– Wiem, też ją kiedyś miałam.

– Słuchaj, ja i Andrzej bardzo się kochamy. Ja mu wybaczam. A pani już dziękujemy!

– Jasne, wczoraj o czternastej jeszcze ja byłam jego wielką miłością, a o dziewiętnastej już ty.

– Ale to mój mąż. Ja go nie zmuszałam.

Powiedziałam, żeby wybrał i że zaakceptuję każdy jego wybór, z tym że jeśli wybierze mnie, to z tobą już koniec. Ma skasować twój numer, twój adres e-mailowy i już nigdy się z tobą nie kontaktować. Jeżeli złamie tę obietnicę, to osobiście go spakuję i przywiozę do ciebie. Będiesz miała ode mnie prezent.

– Będę czekała.
– Głupia jesteś.
– Ty jesteś głupia, że mu to wybaczyłaś!
– Może, ale tak zdecydowałam. To już nie twoja sprawa. On wczoraj na kolanach mnie błagał o wybaczenie i przeproszał, że zdradził.

– A pamiętasz tę noc, kiedy się z tobą przespał przez pomyłkę?

– Tak.
– Na drugi dzień mnie też na kolanach błagał o wybaczenie i przeproszał, że zdradził.

Kaśka zaczyna płakać.

– Opanuj się już, obie jesteśmy głupie. Zrobiłybyśmy mu niezły numer, gdyby żadna z nas go teraz nie chciała.

Zaczynamy się śmiać.

– Lepiej ci już? – pytam, gdy już wyśmiałyśmy ten cały stres.

– Lepiej – przyznaje. – Słuchaj, a prezenty ci dawał?

– Dawał. Dostałam bransoletkę na kostkę i

koszulkę nocną.

– To samo dał też mnie, wiesz?

– Tak podejrzewałam. Oglądasz czasem *M jak Miłość*? Tam był taki Marek, co jak kupował wisiorek kochance, to wziął jeszcze jeden dla żony. Może na drugi było pięćdziesiąt procent upustu?

– Ha, ha, ha!

– Chodzi mi o to, że to jest cały proces. Najpierw porządny żonaty facet zakochuje się w innej i zdradza żonę tylko z miłości, co go jeszcze usprawiedliwia. A potem krok po kroku staje się wyrachowanym skurwielem.

– Coś w tym jest. Ale wiesz, co ci jeszcze powiem? Życie z nim wcale nie jest takie słodkie. On w pewnym sensie jest bardzo podobny do swojego ojca, z tym że nie stosuje przemocy fizycznej. On po prostu dzień po dniu wykańcza drugą osobę psychicznie.

– Wiem coś o tym. Mnie już włosy garściami wypadają.

– A ja schudłam dwanaście kilo od czasu tego kryzysu. Ale to akurat plus całej tej sytuacji.

Znowu się śmiejemy.

– On zaraz wróci z pracy i przyjedziemy do ciebie. Ja poczekam w samochodzie, on wejdzie się pożegnać. Odda ci kartę wjazdu na twoje osiedle, powiecie sobie, co tam jeszcze macie do powiedzenia, i to będzie wasze ostatnie spotkanie.

Rozumiesz?

- No to czekam.
- I jeszcze jedno...
- Tak?
- Fajnie się gadało. Nie wybrał kochanki tak głupio, jak myślałam.
- A widzisz? I żona też mu się fajna trafiła. Tak uważam.
- On wybierał dobrze, tylko myśmy źle wybrały. Lepiej się czuję po tej rozmowie. Jestem w stanie nawet się umyć, ubrać i umalować. Następnie zasiadam z paczką fajek na balkonie i wypalam całą.

* * *

Dzwoni Margo.

- Beti, ale mam książkę dla ciebie! Tytuł: *Wykluczony*. O gościu, którego wykluczyli z sekty mormonów.
- Wiesz co, w tyłek ją sobie wsadź!
- Co się stało?
- To już koniec, on zostaje z żoną. Zaraz tu przyjadą.
- O kurwa!
- Ty weź mi powiedz w końcu coś sensownego, bo „o kurwa!” to ja sama sobie wystarczająco dużo razy powtarzam.
- O kurwa! Nie wiem, co mam ci powiedzieć.

– To pa!

* * *

Widzę go. Idzie wolno, jakby szedł na szafot. Otwieram zawczasu drzwi i czekam.

– Jak widzisz, moje drzwi są dla ciebie otwarte – ironizuję.

– Zawsze tak będzie?

– Nie wiem...

– Wypijemy ostatnią kawę?

– Tak.

Nalewam wodę do czajnika i jak zwykle sypię dwie łyżeczki do jednego wspólnego kubka. Nagle słyszę płacz. No tego już za wiele!

– No i czego płaczesz?! – krzyczę. – Podjąłeś decyzję. W końcu. Lepsza taka niż żadna.

Pierwszy raz w życiu widzę płaczącego faceta. Wpadam w panikę.

– Andrzej, czy płaczesz dlatego, że ją zdradziłeś, czy dlatego, że nie możesz być ze mną?

– Z obu tych powodów.

– Dlaczego nie wybrałeś mnie? Powiedz mi.

– Beti, ja nie chcę być wykluczony ze zboru – zaczyna płakać jeszcze bardziej.

W cholerę z tą kawą! Kubek wypada mi z rąk, bo ręce to mi po prostu opadły.

– Opanuj się! Rzygać mi się chce, jak tego

słucham! To jest sekta, nie widzisz tego? Nie wiem, co ci tam wczoraj nakładli do głowy, ale widzę, że powrót do Kaśki to nie twoja decyzja.

Wstaje i bierze w ręce moją głowę. Całuje mnie tak, jakby świat miał się skończyć tu i teraz. I jakby jego żona nie czekała w samochodzie na dole.

– Decyzja podjęta pod przymusem jest nieważna
– szepce mi prosto w usta.

Dobra, już wiem, co mam robić. Wkładam buty i ruszam do drzwi.

– Co ty robisz? – jest przerażony.

– Zaraz zobaczysz. Idziemy!

– Nie!

– Idziesz? Bo jak nie, to pójdę sama i to załatwię.

– Idę.

Przy samochodzie stoi ona. Patrzy na mnie, na niego i znowu na mnie. Czar porannych pogaduszek prysł w jednej chwili.

– Andrzej, dlaczego ty ją tu przyprowadziłeś? Przecież już wszystko ustaliliśmy. – W jej słowach jest tyle cierpienia, że znowu mam ochotę ją przytulić.

– Kaśka, mówiłaś mi, że jeśli on złamie dane ci słowo, to mi go oddasz. Tak?

– Tak.

– Pocałunek wchodzi w ten zakres?

– Andrzej, jak mogłeś?! Co ona mówi? Powiedz,

że to nie jest prawda! Andrzej! – wrzeszczy.

Ale on już siedzi w samochodzie i zatyka uszy rękoma. Kiwa się to w przód, to w tył.

– Widzisz? To twój mąż. Wygląda na bardzo szczęśliwego, że jest z tobą. Takiego go chcesz?

Kaśka chwilę się zastanawia i mówi:

– Weź go sobie. No, zabieraj go! Już! Andrzej, wysiadaj z tego cholernego samochodu!

Zero reakcji.

– Wiesz co, Kasiu – stwierdzam – jednak ty go sobie weź. Ja już go nie chcę.

Odjeżdżają.

Siadam na trawie i sama nie wiem, ile czasu spędzam w tej pozycji.

* * *

– Beti! Co ty, kurwa, wyprawiasz?

Podnoszę głowę. To oczywiście Margo w swoim żółtym mitsubishi (wersja sportowa).

– Jedźmy po Mełę – mówię. – Już dwa dni jest u babci.

– Wsiadaj.

Wsiadam.

– Czyli to już koniec?

– Tak.

– Beti, nie. On nie podjął tej decyzji świadomie. Oni go zmusili. Mam plan. Słuchaj, jedziemy po

niego!

– Co ty wygadujesz?

– Jedziemy! Weźmiemy jego, jego rzeczy i przywieziemy tu. Sebastian zatrudni go u siebie w firmie. Będzie dobrze!

– Margo, kochana, nie będzie dobrze. Skończyło się. Ja już nie mam siły. Chcę do Meli!

Mela wybiega w podskokach.

– Mamunia!

Przytulam ją mocno.

– Melu, mama jest twoją najlepszą przyjaciółką, tak?

– Tak.

– To powtórz. Kto jest twoją najlepszą przyjaciółką?

– Basia.

No i klops.

* * *

Jedziemy na zakupy, bo Margo chce się zaopatrzyć w ciuchy ciążowe. Robi się coraz większa. Sto razy pyta mnie, jak wygląda w tych dzinsach z szeroką gumą w pasie, ale ja jestem totalnie wyłączona. Błąkam się po tym sklepie jak Alicja w Krainie Czarów. Po jakimś czasie wreszcie wracamy do domu.

– Beti, ja się o ciebie boję – mówi Margo na

koniec. – Ty nie rób nic głupiego. To nie jest tego warte. Dasz sobie radę?

– Nie wiem.

Margo dzwoni więc do Doris, żeby ta miała mnie na oku. W końcu ona mieszka dwa bloki dalej, a Doris dwa piętra niżej, więc jej łatwiej.

* * *

Kładę Mełę spać i słyszę pukanie. To Doris przybiegła na ratunek z siatką piw. Obawiam się, że to mi tylko zaszkodzi, ale przecież nie będę się z nią kłócić. Za bardzo ją kocham.

Siedzimy na balkonie.

– On mnie chyba nigdy nie kochał.

– Myślę, że cię kochał, ale nie mógł inaczej wybrać – stwierdza Doris, jak na siebie bardzo filozoficznie.

– Wiesz co? To w takim razie myślę, że od początku wiedział, kogo wybierze, ale wykorzystał mnie do końca.

– Nie wiem, może się pogubił w tym po prostu.

– Słuchaj, a co z tym gościem, którego ostatnio poznałaś? – postanawiam się nagle zainteresować życiem nie tylko swoim. – Widzieliście się jeszcze?

– No tak. Za tydzień zabiera mnie do SPA w Radziejowicach.

– To super.

– A w ogóle gdzie są te Radziejowice?
Postanawiam to sprawdzić w Internecie. Czytam jej:

– „Wieś pod Warszawą. We wsi...”

– Co?! – Doris doznaje szoku. – Ja myślałam, że to jakiś kurort, a to jakaś „we wieś”?

Ha, ha, ha!

– A kot się znalazł?

– Słuchaj, nawet ogłoszenia wywiesiłam na osiedlu, że szukam brązowego kota. Potem sobie przypomniałam, że ten kot był szary, więc latałam i przekreślałam słowo „brązowy” i dopisywałam na górze „szary”. I nic.

– Trzeba było od razu napisać, że szukasz faceta, minimum metr osiemdziesiąt, i dać swoje zdjęcie.

– Cholera, nie pomyślałam!

– Doris – poważnieję nagle – ja nie mogę zostać dziś sama.

– Ale co ty chcesz?

– Śpij ze mną.

– Beti, nie mogę.

– Ale dlaczego?

– Bo ty mi się nie podobasz.

– Ale co ci się we mnie konkretnie nie podoba?

– Twoja fryzura.

– Co?

– No ten przedziałek na środku jest po prostu wieśniacki.

– Coś ty?! Ładny jest.

– Nie! Kurwa, nie i jeszcze raz nie!

To jest rozmowa na poziomie czterech piw dwóch kobiet z wyższym wykształceniem!

– No dobra... – decyduję nagle i zataczając się, idę w stronę szuflady z nożyczkami. – Masz i tnij.

Doris, starając się utrzymać pion, staje nade mną i macha nożycami, co zważywszy na sytuację, idzie jej w miarę sprawnie.

– Teraz jesteś ładna. Idziemy spać.

Przytulamy się do siebie i zasypiamy.

O wydarzeniach tej nocy świadczy moja wycięta na skos z połowy włosów grzywka, bo po Doris, oczywiście, ani śladu. Wymknęła się bladym świtem, uprowadzając moją koszulę nocną, którą miała na sobie. Przyjaciółka!

* * *

Rano zbieram się do kupy i maszeruję na szkolenie „Asertywność w życiu prywatnym i zawodowym”. Tego mi trzeba. Tyle że nie dociera do mnie ani jedno słowo z tego, co słyszę. Pod stołem piszę SMS-a do Andrzeja: „Kończę o 18”. Dostaję zaraz odpowiedź: „Będę”. Jest dwunasta. Jak ja wytrzymam tyle czasu?

Pięć minut przed osiemnastą dostaję SMS-a: „Nie przyjadę”. Wybiegam z budynku jak oszalała.

Dzwonię do niego. Nie odbiera. Piszę: „Proszę. Czekam tu. Będę tu stała, dopóki nie przyjedziesz”. „Nie przyjadę”. „Kochanie, wiem, że przyjedziesz. Czekam”. „Nie czekaj. To nie może tak trwać”. „Czekam”. „Kocham Kasię”.

Stoję tam jeszcze i stoję. Robi się ciemno i zaczyna lać deszcz. Jest przeraźliwie zimno. Ja nadal czekam. Chyba tam umieram, bo jedynie moje zziębnięte, przemoknięte ciało wraca do domu, a dusza gdzieś mi uleciała. To tyle, jeśli chodzi o kurs asertywności i o to, co mi on dał.

* * *

O dwudziestej trzeciej puka do mnie Doris.

– Beti, nie wiem, jak ja to zrobiłam, ale wypłam dzisiaj dziewięć piw – oznajmia mi w progu.

– Jestem z ciebie taka dumna! Gratuluję, kochana! Jak ty tego dokonałaś? Gdzie?

– Na imprezie rodzinnej. Ale zaraz... co ci jest?

Opowiadam jej o dzisiejszym dniu.

– I tak tam stałaś? – nie może uwierzyć.

– I tak tam stałam – potwierdzam.

– Napij się lepiej piwa – mówi, wyciągając z reklamówki dwa browarki.

– No w sumie... przekonałaś mnie. Opowiadaj, co z tym twoim gościem.

– Wiesz co, ja nic do niego nie czuję. A co

ciekawe, on mi mówił, że dwa jego poprzednie związki rozpadły się, bo te kobiety nie były w stanie nic do niego poczuć.

– Ty, a może z jego matką powinnaś pogadać?

– Tak, spotkam się z nią i zapytam: „Czy pani go kochała?”. A ta pewnie po namyśle powie: „A w sumie to nie... Tak był, bo był”.

– Ciekawe, nie ma co! Ha, ha!

– On nawet nie zapytał, jak mój syn ma na imię.

– Doris wpada w zadumę.

– Wiesz, na jedno to dobrze, że nie mieszasz dziecka w te sprawy. Już moje było wystarczająco zamieszane.

– Tak, dobrze. No i patrz, patrz, co mam. – Doris rozkłada ramiona. – Kurwa, nic nie mam.

– To tyle co ja.

– I jakie to ma wszystko znaczenie?

– Nie wiem, za trzeźwa jestem, żeby ci na to mądrze odpowiedzieć.

– No właśnie, chyba musimy iść na stację benzynową – podejmuje męską decyzję Doris.

Idziemy na drugą stronę ulicy, żeby poczynić niezbędne sprawunki. Ja mam na sobie bluzkę od pizamy, a Doris spodnie od pizamy. Obie niemal tworzymy komplet. Stacja jest tak blisko, że naprawdę nie chciało nam się przebierać. Zamierzamy załatwić wszystko tak błyskawicznie, że nikt nawet nie zauważy naszej obecności. Naszą

uwagę przykuwa jednak ekspedientka ze stacji. Patrzę na Doris, Doris na mnie i kiwamy porozumiewawczo głowami.

– Bo my chciałyśmy pani zaproponować... makijaż.

– Słucham? – dziwi się dziewczyna i mierzy nas wzrokiem od stóp do głów.

– To są bardzo fajne kosmetyki – tłumaczy jej Doris. – Niech pani na mnie spojrzy na przykład. Ja używam.

Ta patrzy na totalnie rozmazaną Doris z... ciekawością?

– Ale to może nie jest najlepszy przykład. – Odciągam Doris za siebie. – Proszę pani, my naprawdę na co dzień nie chodzimy w piżamach. Ale dziś jest taki wyjątkowy dzień... noc.

Cholera jasna! Zwiewamy stamtąd.

– Doris – mówię po drodze – czy ty pamiętasz, jak ci kiedyś opowiadałam o Borysie?

– A, o tym niby dla mnie idealnym facecie?

– No. Uważam, że już czas do niego zadzwonić.

– Ale jest dwunasta w nocy.

– I co z tego? Ja cię z nim zapoznam i zobaczysz. Może będziesz miała normalny związek, a Jasio ojca?

– W sumie... A dzwoń! Co mi zależy!

Dobra, dzwonię.

– Halo.

– Hello, Esemesico! – krzyczy podekscytowany Borys. – Co tam?

– Potrzebuję cię.

– Co jest?

– Świadka zabrała żona, a moja sąsiadka jest sama. Opowiadałam ci o Doris?

– No miałaś imprezę zrobić i nas zaprosić, żebyśmy się poznali.

– No i właśnie tę imprezę zrobiłam. To ty przyjeżdżaj zaraz.

– OK.

Siedzimy na balkonie i czekamy. Czekamy i pijemy, z przewagą tej drugiej czynności. W końcu przyjeżdża z wódką. Widząc nasz stan, wstawia ją jednak do lodówki. Nie jesteśmy w stanie przyjąć już ani kropli alkoholu. Doris patrzy na niego zamglonym wzrokiem i zasypia na krześle. Ja opowiadam w telegraficznym skrócie historię swojego romansu.

– Nie da się niczego zbudować na cudzym nieszczęściu – Borys podsumowuje mój związek z żonatym facetem.

Siedzimy długo w milczeniu. Nagle przypominamy sobie o śpiącej Doris.

– A z nią co? – pyta.

– A właśnie! To jest ta cudowna kobieta, z którą cię chciałam zeswatać. Fajna, co?

– Może lepiej położyć ją spać?

– Przecież śpi.

– Ale może wygodniej jej będzie na łóżku.

Dobra. Jeszcze tylko postanawiam zadzwonić do Andrzeja w przypiływie pijackiego nastroju i bezgranicznej tęsknoty. Nie odbiera. Piszę mu SMS–a: „Jeżeli kiedykolwiek coś dla ciebie znaczyłam, to odbierz ten cholerny telefon!”. Po chwili piszę drugiego: „Jest u mnie Borys. Nie daję sobie z tym wszystkim rady. Ty masz mnie w dupie, ktoś musi mnie ratować”. A co tam! Piszę trzeciego: „Boże, Andrzej, ja nie wiem, jak mam dalej żyć”.

Podnoszę Doris i prowadzę ją do jej mieszkania. Ściele jej łóżko bardzo ładnie i układam poduchy na stole, od największej do najmniejszej, tak jak zawsze sama to robi. Wracam do siebie, zakładam koszulkę Andrzeja, którą wygrzebuję z szafy, i kładę się na materacu. Czuję jego zapach i zasypiam. Borys kładzie się obok. Jest mi wszystko jedno. Zasypiam od razu.

* * *

Rano budzi mnie SMS. Co jest? Leżę sobie wygodnie, cały materac przesiąknięty jest zapachem Andrzeja, a jego ręka obejmuje mnie w pasie... Wstaję i szukam telefonu. Jest szósta. SMS jest od Andrzeja: „Szybko się pocieszyłaś. Zrobiliście to na naszym materacu?”. Kurwa mać! Nic z tego nie

rozumieć. Staram się w przyspieszonym tempie wytrzeźwieć i udaje mi się, kiedy widzę śpiącego Borysa. I ja jego pomyliłam z Andrzejem?! To się nazywa fatamorgana. Wychodzę na balkon i dzwonię.

– Zostawiłeś mnie, poleciałeś z podkulonym ogonem do kochanej żony i śmiesz mi robić wymówki?! Lepiej by było, gdybym wczoraj wyskoczyła z balkonu, czy jednak lepiej, że Borys przyjechał?

– Wiesz co, jak pomyślę o was razem w łóżku, to sam mam ochotę skoczyć z balkonu.

– Ty myślisz, kretynie, że ja mogłabym się z nim przespać?! Że o niczym innym nie myślę po naszym rozstaniu, tylko o seksie? Ja jestem załamana, nie chce mi się żyć. Nie jestem nawet w stanie zająć się własnym dzieckiem. Ale co cię to obchodzi?!

– Beti, to nasza ostatnia rozmowa. Ja muszę się odciąć od ciebie.

– Weź mnie nie denerwuj! Nie będzie cię obchodziło, co dalej ze mną? Jak żyję? Czy w ogóle żyję?

– W zborze mi powiedzieli, że jeśli któraś kończyna jest chora, ma gangrenę, to lepiej ją odciąć, żeby uratować cały organizm.

– Ty znowu pieprzysz swoje? Jestem kończyną z gangreną?! Tym dla ciebie jestem? Czy ty i cały twój pieprzony zbór zapomnieliście, że ja też jestem człowiekiem?! Rzygam wami i tą waszą wiarą!

– To nasza ostatnia rozmowa... Jak mam odbudować swoje małżeństwo, skoro cały czas jesteś w mojej głowie? Jadę teraz do Kasi. Jest u rodziców. Naprawdę muszę to wszystko naprawić.

– A mnie naprawdę jest niedobrze.

Rozłączam się i idę do łazienki. Wychodzę, patrzę na moje mieszkanie i nie wierzę. Co za syf! Biorę mopa i zabieram się za sprzątanie.

– Co ty robisz? – pyta zaszokowany Borys, który postanowił nagle się przebudzić.

– Myję podłogę.

– Która godzina?

– Szósta rano.

– Ty jesteś na serio walnięta.

– Na serio, to ja jestem jeszcze pijana.

A w ogóle to jakim prawem ten facet leży pod moją kołdrą? Boże! Wszystko już stoi na głowie.

– Borys, zajmiesz się dzisiaj Melą? Ja nie mogę, nie mam siły.

Siadam na materacu i zaczynam płakać.

– Tak, nic się nie martw.

No to się nie martwię.

– Chcesz kawy?

– A mleko masz?

Jeszcze jakieś wymagania? Co to, kawiarnia?

– Nie, muszę iść do Doris.

Doris otwiera mi po piętnastominutowym oczekiwaniu.

– Ja po mleko – oznajmiam wesoło.
– Daj spać! – warczy.
– A swoją drogą, to nieźle się wczoraj zaprezentowałaś – kontynuuję, wchodząc.
– Co ty, wcale nie byłam taka pijana! Zobacz, jak ładnie poduszki sobie poukładałam.

No nie mogę!

– Doris, ty zasnęłaś mi na balkonie!
– Ty, bo ten cały Borys był tak beznadziejny, że stwierdziłam, że spokojnie mogę iść spać – nic tu się nie wydarzy ani on nic śmiesznego nie powie. Krótko mówiąc, nic mnie nie ominie.

– Jasne, ty śpisz pijana, a on miał co? Dowcipy ci opowiadać? A zresztą... daj to mleko i spadam.

U mnie w domu wojna na poduszki. Szaleństwo! Przynajmniej Mela jest szczęśliwa. Ja idę spać. Nawet nie mam kaca. Boli mnie serce, rozbite na kawałki. Nie wiem, czy kiedykolwiek się zrośnie. A jak wda się gangrena, to po prostu wytnę ten chory organ i będę żyła dalej spokojnie. Bez uczuć.

Przez dalszą część dnia leżę na materacu z wyłączonym myśleniem. Bez życia. Borys w końcu wychodzi. Na pożegnanie mówi mi:

– Beti, spróbowałabyś przynajmniej nawiązać kontakt z własną córką, co?

– Spróbuję.

Mela kładzie się obok mnie i całuje moją twarz, kawałek po kawałku. Zasypiamy obie.

* * *

Jest znowu ranek. Słyszę głos Meli.

– Mamo, mammo, wstawaj!

Nie mogę. Nie żyję chyba.

– Mamusiu, wstań!

Naprawdę się staram. Mela uderza w płacz. Ja też. Ratuje nas Margo.

– Beti, kurwa, wstawaj natychmiast! Jedziemy nad Zegrze. Masz tu ubrania.

Zwlekam się z łóżka i jedziemy. Skład: Margo, Sebastian, Basia, ja, Borys i Mela. Kładę się na plaży, a Borys jak zwykle bawi się z Melą. Przypomina mi się, że nic wczoraj nie jadłam, a nawet więcej – że nie pamiętam, kiedy jadłam.

Borys proponuje pływanie. Ostatnio pływałam chyba z dziesięć lat temu. To było wtedy, kiedy Stefan, mój pierwszy narzeczony, zabrał mnie nad Jezioro Białe, gdzie oglądał się za wszystkimi innymi dupami, a na mnie nie zwracał uwagi.

– Stefan – zapytałam go w końcu – czy gdybyś mnie nie znał i przeszedłabym obok, to obejrzałbyś się za mną?

Spojrzał obojętnie i powiedział:

– Ty nie jesteś typem superlaski, masz inne zalety. Zobacz, nawet nowego stroju kąpielowego sobie nie kupiłaś.

Strasznie się wtedy popłakałam. Pytanie, dlaczego spędziłam z nim sześć długich lat. Bo go kochałam. Ciekawe, dlaczego on spędził te lata ze mną, skoro o tych moich innych zaletach już nigdy więcej nie napomknął. Niczego z tego związku nie wyniosłam oprócz przekonania, że jestem beznadziejna.

No ale idę pływać. Wypływam na środek i nie mam siły ani zawrócić, ani płynąć dalej. Woda przykrywa mnie całą, dostaje mi się do nosa i do ust. Idę na dno. W dodatku mam niejasne poczucie ulgi, że kończą się wszystkie moje troski.

– Jezu, Esemesico, nieźle mnie przestraszyłaś – słyszę głos Borysa.

Kładzie mnie na piasku i wiem już, że nie wymigam się od tego życia tak łatwo.

– Idziemy coś zjeść! Ty jesteś całkiem pozbawiona sił.

Suniemy wszyscy jak w letargu w stronę pizzerii. Na brzegu zalewu widzę faceta rozmawiającego przez telefon.

– Nie jesteś moją kochanką – szepce. – W moim słowniku nie ma takiego słowa jak „kochanka”.

Czuję, jak wzbiera we mnie nienawiść do tego faceta, ba, do wszystkich facetów!

– Zaraz go zepchnę do wody – syczę.

– Kurwa, Beti, daj sobie spokój! – to oczywiście Margo.

Mela nie chce jeść. Nie pomagają prośby i groźby. Poddaje się.

– Beti, ja już nie mogę na to wszystko patrzeć – mówi Margo. – Spójrz na Melę, jaka ona jest chuda i blada. To dziecko ma sińce pod oczami. Weź się w garść! Ty znikasz w oczach, a twoja córka razem z tobą.

– Margo, najlepiej będzie, jeśli ja ją zawiozę do mojej mamy na wakacje. Ja muszę sama dojść do siebie. Nie chcę, żeby ona patrzyła na to, co się ze mną dzieje. Jestem beznadziejną matką, taka jest smutna prawda.

– Wzorową nie jesteś, ale też nie przesadzaj. Może to i dobry pomysł z tą twoją mamą. Mela pobędzie na wsi, odżyje.

– Za tydzień ją zawiozę.

– A świadek się odzywał?

– Nie, cisza. I bardzo dobrze zresztą. Odciał sobie chorą kończynę, czyli mnie.

– Niech no teraz zapuka do mnie jakiś Jehowy z Biblią! Już ja im powiem, co myślę! – podsumowuje Margo.

– Wiesz, on już dwa dni milczy. Ja też. Zaczyna mi to odpowiadać.

– Zapomnisz o nim, zobaczysz.

– Może...

* * *

Wracamy do domu. Jestem w miarę wyluzowana, na tyle, na ile mogę być. Mela zasypia zaraz ze zmęczenia. Odpalam komputer. Od trzech dni nie sprawdzałam poczty. No i proszę – trzy e-maile od Andrzeja. Zamieram przed tym komputerem.

Przepraszam, że Cię pokochałem i pozwoliłem na to, byś Ty pokochała mnie...

Milczysz... Wybacz mi, proszę Cię.

Cały czas płaczę. Kasia mnie wspiera. Ona też mówi o tym, jaka nieszczęśliwa jest nasza trójka. Dlaczego tak się stało?

Nie wiem. Bo jesteś masochistą? Albo sadystą? Bo najpierw mnie sobie odcinasz, a potem, kiedy ja usiłuję się z tym pogodzić, ty nadal mi o sobie przypominasz? Bo lubisz cierpieć, pławić się w swoim nieszczęściu? Bo chcesz, żebym ja cię nadal kochała, mimo że ty mnie nie chcesz?

Nic nie odpisuję. Za to wykręcą numer do Kaśki.

- Śpisz?
- Nie mogę. Przewracam się z boku na bok.
- Kaśka, on nadal do mnie pisze.
- O Boże!
- Ja tego już nie chcę. Nic mu nie odpisałam, ale chcę, żebyś wiedziała. Jego obietnice nic nie znaczą.
- Co ja mam zrobić?

– Ty powinnaś go w dupę dawno kopnąć. Ale ty nadal swoje: „Nie, nie, to mój mąż”. A on może żadnej z nas nie kocha, tylko ma coś z głową po prostu!

– Wiesz co, on ma problemy psychiczne, to fakt. Chodzi nawet na terapię. Kiedyś przez miesiąc nie wychodził z domu, do nikogo się nie odzywał i miał w dupie kredyty, których nabrał, a ja musiałam na to harować. I co mam w podzięce? Propozycję rozwodu w dziesiątą rocznicę ślubu. Teraz jestem u swoich rodziców z małym. Ja też muszę od tego odpocząć.

– Dobra, Kaśka, ty już sobie z tym radź, jak chcesz. Ja się z tego wypisuję. Chciałam tylko, żebyś wiedziała, na czym stoisz, a to są raczej grząskie piaski.

– Dzięki za telefon.

– No pa.

Rozmowy z Kaśką mają na mnie terapeutyczny wpływ. Ma w głosie taki spokój, i to nawet jak jest zdenerwowana.

* * *

Kolejne dni mijają mi na niczym. Zastanawiam się tylko, jak zawiozę Mełę do babci. Czym? Z kim? W końcu dzwonię do mojego brata. Przyjeżdża po nas.

Mama patrzy na mnie, jakby miała rentgen w

oczach.

– Wszystko OK u ciebie?

– Tak.

– A jak prawo jazdy?

– Utknęło w martwym punkcie, mamó.

Patrzę na moją supermamę, na to, jaki prowadzi żywot typu „wsi spokojna, wsi wesoła”, i nie mogę się nadziwić, jak bardzo się od siebie różnimy. Jak inne są nasze losy. Ona była dokładnie w moim wieku, kiedy została wdową z trójką dzieci. Mój brat miał wtedy dwa lata, siostra – dziesięć, a ja – dwanaście. I moja mama wychowywała nas z poświęceniem godnym podziwu. Zawsze wracała po pracy do domu, dokładnie o 15.45, przez lata tym samym autobusem. Dopiero kiedy wszyscy wyprowadziliśmy się z domu, moja mama zaczęła naprawdę żyć. Pamiętam, w jakim byłam szoku, kiedy raz zadzwoniłam do niej wieczorem na stacjonarny i nikt nie podniósł słuchawki. Przecież ona ZAWSZE była o tej porze w domu. Zadzwoniłam do brata:

– Gdzie jest mama?

– Nie wiem. Dziwna sprawa, powiedziała, że idzie do koleżanki.

– Ale przecież...

– Tak, wiem, ona nie ma żadnych koleżanek.

A potem zadzwoniła mama i powiedziała:

– Już dawno chciałam ci powiedzieć...

- Na Boga, o czym?!
- Mam kogoś.
- Kogo? Co ty mi tu pieprzysz?
- Przyjechał księżę na białym koniu...
- Mamo, ty mnie nie denerwuj! Jak go poznałaś?
- Przyszedł.
- Co „przyszedł”?! Czy ty możesz normalnie do mnie mówić? Gdzie przyszedł?
- No do mnie do domu.
- Mamo, ja oszaleję zaraz!
- Dobra, to było tak. Patrzą, a tu jakiś facet idzie przez nasze podwórko. Wyszłam więc na balkon i pytam, o co chodzi. A ten, że szuka pani Krysi. Ja mu na to, że „to ja, a o co chodzi?”. A ten, żebym mu zrobiła kawę, to mi powie. No to zrobiłam. I on mi mówi, że jest rozwiedziony, samotny i chciałby się ze mną spotykać.
- Kurwa mać! A ty co na to?
- Poprosiłam o dwa tygodnie do namysłu. I on zadzwonił po dwóch tygodniach i powiedziałam: „No to spróbujmy”.
- I co? Zobaczył cię pierwszy raz i tak od razu mu się spodobałaś?
- No wiesz, dziecko, chyba nie masz wątpliwości, że ja to się mogę od razu spodobać?
- Jezu, mamo...
- On mi nawet swoje papiery rozwodowe pokazał. A ty, moja droga, na to nie wpadłaś.

No tak, Roman najpierw przysięgał, że jest rozwiedziony, zarezerwowaliśmy datę ślubu, a potem sobie przypomniał, że jednak nie ma rozwodu. No myślał, że to był rozwód, a to była tylko separacja. Jakiś papier z sądu przyszedł...

I tak oto moja mama jest teraz szczęśliwa.

– Ja ci mówiłam zawsze, dziecko, że co tobie przeznaczone, na środkiem drogi rozkraczone!

– Oj, ty i te twoje ludowe mądrości!

– Wiesz co, dobrze, że ta Mela u mnie trochę pobędzie – mama gładko zmienia temat. – Może ją trochę wychowam.

– Mamo, skoro jesteś taką specjalistką od wychowania dzieci, to takie pytanie mi się ciśnie na usta: „Dlaczego ze mną ci tak marnie poszło?”.

– Bo ty jesteś szczególnym przypadkiem... – wzdycha. – Ale ty jakaś przygaszona jesteś teraz, dziecko. Przeżywasz rozstanie z Romkiem?

– Nie.

– Po co ty w ogóle się z nim związałaś?

– Bo chciałam mieć dziecko – wymyślam naprędce odpowiedź.

– To nie mogłaś sobie znaleźć kogoś normalnego, żeby cię zapłodnił? – Mama robi wielkie oczy.

– Nikt normalny mnie nie chciał – stwierdzam oczywisty fakt.

– Kiedy ty w końcu zmądrzejesz? – wzdycha po

raz kolejny.

– Mamo, przypominam ci, że skończyłam studia, przeczytałam prawie wszystkie książki na świecie, mam własną firmę... – mogłabym długo wymieniać, ale nic więcej nie przychodzi mi do głowy, czym mogłabym się jeszcze pochwalić.

– No dobra, inaczej. Kiedy ty spoważniejesz?

– Mam nadzieję, że nigdy. To ja, twoja córka, taka jestem, i koniec.

* * *

Wyjeżdżam. Muszę pozałatwiać sprawy zawodowe, które ostatnio totalnie olałam. Liczę i liczę i wychodzi mi, że jeżeli nie wykombinuję zaraz dziesięciu tysięcy, to mogę już ogłosić bankructwo. Niewiele myśląc, prosto z dworca jadę do teściów.

– Potrzebuję dziesięciu tysięcy – mówię im szczerze.

– My nie mamy – mówią mi równie szczerze.

– Mogą być karty kredytowe – Idę na ustępstwo.

Teściowa wyjmuje swoją. Patrzę wyczekująco na teścia, który usiłuje uciec gdzieś daleko wzrokiem. Siadam więc i czekam. Staje się dla nich jasne, że nie wyjdę, zanim sprawy nie ułożą się po mojej myśli. Teść z bólem serca sięga do portfela.

– Dzięki – Całuję oboje.

– Dziecko... – zaczyna teściowa. – Ja widzę, że

ty sobie nie radzisz. Musisz tu wrócić.

– Nie, ja tu już nigdy nie wrócę. Nigdy!

Wracam do domu i sprawdzam te karty. Jedna jest pusta, a na drugiej jest pięć tysięcy, więc rano znowu jadę do teściów.

– Cholera, zapomniałam, że zapłaciłam za telewizor tą kartą – tłumaczy się teściowa.

– No nie! – jęczę. – I co teraz?

– Trzeba będzie kredyt wziąć.

Teść ubiera się i jedziemy do banku. Pobiera dla mnie pięć tysięcy.

– Jeszcze w życiu się tak nie zadłużyłem...

– Tak? To opowiem panu dowcip. Jedzie sobie facet nowym lexusem, a tu jakiś bezdomny go zatrzymuje. W takich brudnych, obsikanych spodniach, śmierdzi od niego na kilometr. „Podwieź mnie” – mówi. „Nie ma mowy! Nie wsiądziesz, brudasie, do mojego nowego samochodu”. „Dam ci dziesięć tysięcy”. Facet myśli, że dziesięć tysięcy piechotą nie chodzi, więc się zgadza. „Daj mi fajkę” – mówi bezczelnie bezdomny. „Nie ma mowy” – wkurza się facet. „Dam ci dziesięć tysięcy”. „No dobra, masz”. „A teraz zrób mi laskę”. „Co?” „No, zrób, dam ci kolejne dziesięć tysięcy”. „No dobra”. Facet zatrzymuje się na poboczu, przesiada się do tyłu, z obrzydzeniem zdejmuje mu te zasikane spodnie i robi mu laskę. W końcu dziesięć tysięcy piechotą nie chodzi! Bezdomny leży na skórzanym

siedzeniu, zaciąga się fajką i mówi: „Kurwa, jeszcze w życiu się tak nie zadłużyłem!”.

Teść patrzy na mnie z niedowierzaniem. Ja stoję przed bankiem i zaśmiewam się do łez.

– Ten się dopiero zadłużył, a pan... – Macham lekceważąco ręką. – Ha, ha, ha!

* * *

Wracam do domu. Biznes opanowałam, kładę się więc na materacu i patrzę tępo w sufit. Jak tu pusto! Co dalej z tym wszystkim? A, e–maile sobie sprawdzę! Otwieram pocztę i nie wierzę. Andrzej! Tytuł e–maila: *To moje ostatnie słowa!!!* A ileż jeszcze tych ostatnich słów będzie? Kurwa! Już mi się to nudzi! Czytam.

Witaj,

miałem do Ciebie już nie pisać, bo to nie ma sensu, ale gryzie mnie parę spraw. Weszłaś w moje życie tak samo jak ja w Twoje. Cieszę się, że przyjęłaś taktykę szczerzej rozmowy z moją żoną jako formę obrony swojej osoby. Ale nie mówisz jej wszystkiego. Czy to standard u Ciebie? Jeszcze do niedawna miałem do Ciebie ogromny szacunek. Na szczęście mnie z siebie wyleczyłaś. Tak, Ty mnie z siebie wyleczyłaś! Zdradziłaś swoje prawdziwe pobudki, o wszystko mnie obwiniłaś i oskarżyłaś, przedstawiłaś jako psychola, a mój żal wyśmiałaś.

Spotkałaś mnie na jazdach, jako instruktora, służbowo odnoszącego się do Ciebie, jako do kobiety, kursantki. Dodatkowo zatroskanego wieloma sprawami, zamyślonego. Powiedziałaś, że będąc w takim stanie, nie można normalnie żyć, że wtedy ściągamy na siebie dodatkowe problemy. Zaczęłaś opowiadać mi życiowe historie, podawać przykłady z życia sławnych ludzi, którzy też borykali się z problemami. Pokazałaś, że szklanka może być do połowy pełna... Opowiadałaś o swoim życiu i choć to były smutne historie, Ty zawsze się śmiałaś. Następnie to Ty (a nie ja!) zaproponowałaś przejście na ty, co zmniejszyło jeszcze dystans między nami. To Ty pierwsza pocałowałaś mnie w policzek.

Pociągałem Cię, bo byłem niedostępny, więc postanowiłaś o mnie zawalczyć. Jesteś świadoma swojej kobiecej siły i wykorzystujesz ją na każdym kroku. Dlaczego Borys zajmuje się Twoim dzieckiem? Dlaczego wszyscy Cię podwożą? Mówisz, że można mieć wszystko, wystarczy tylko poprosić. Poprosiłaś i zdradziłem żonę. To wtedy okazałem się dupkiem, a nie wtedy, gdy się z Tobą rozstałem. Chciałem zostawić żonę i syna tylko dlatego, że mnie o to prosiłaś. Zakochałem się jak nastolatek, zapominając o zapracowanej, ale kochającej żonie i o zasadach. A Ty po prostu znalazłaś faceta dla siebie i swojego dziecka i postanowiłaś go sobie wziąć. Potem olałaś i wykpiłaś to, że było mi szczerze przykro z powodu

zamieszania, jakie zrobiliśmy. Tak, zrobiliśmy, bo przecież wiedziałaś, że mam żonę i dziecko. Zaryzykowałaś, postawiłaś moją głupotę, zauroczenie, zagubienie, seks i zakochanie przeciwko prawdziwej miłości i dziesięcioletniemu małżeństwu. Wiedziałaś, co robisz, nie masz dwóch lat.

A teraz, gdy Cię rzuciłem, to się wściekasz i nie potrafisz zachować twarzy. Mówisz o miłości, a już następnego dnia zasypiasz przy Borysie. Mówisz o szczerości, a potajemnie paliłaś papierosy. Mówisz, że przeze mnie pada Twój biznes, bo nie masz już taksówkarza. Mówisz, że nie nauczyłem Cię jeździć, a przecież sama umawiałaś spotkania z klientkami w trakcie jazd. Włosy Ci przeze mnie wypadają? Nie jesz warzyw, pijesz kawę za kawą i palisz, to wypadają.

W całej sytuacji widzisz tylko siebie i tak było od początku. Byłem taki głupi i ślepy, jakbym miał piętnaście lat i przeżywał pierwsze zakochanie, a Ty wszystko robiłaś z premedytacją. Widziałaś tylko swoje korzyści, a nie dostrzegłaś krzywdy, jaką wyrządzasz innej kobiecie i jej dziecku. Mówiłaś, że jest jeszcze młoda i spotka kogoś, kto ją pokocha. Już spotkała! To ja ją kocham. Kochałem i kocham.

Byłaś obłudna, mówiąc, że szkoda Ci Kasi, że chcesz ją przytulić. Przecież to Ty jej to zrobiłaś! Przyczyniłaś się do jej płaczu, krzywdy. Straszne! Teraz, widząc, jak mną kręciłaś, wykorzystywałaś,

mam prawo sądzić, że żadne Twoje słowo nie było prawdą. Żegnam!!!

A tak już z dobrego serca, to zajmij się Melą. Jest tego warta. Mało czasu z nią spędzasz, niezdrowo ją odżywasz i nie dyscyplinujesz.

A, i nie dzwoń do Kasi. Wie, że to wysłałem.

Czytam to kilka razy. Czy to jest o mnie? Boże drogi! Jak osoba, która mnie tak kochała, mogła mi przysłać coś takiego? Ubieram się szybko, zamawiam taksówkę i jadę na Mokotów. Deszcz znowu leje niemiłosiernie i już jest dwudziesta druga, ale mam to gdzieś. Nie mogę tego tak zostawić! Czy teraz mamy żyć dalej, nienawidząc się wzajemnie? To w imię czego zraniliśmy tyle osób, skoro to nie była miłość?

* * *

Przed blokiem stoją trzy toyoty Andrzeja i mam pewność, że jest w domu. Dzwonię, pukam. Nic. Zmokłam już tak, że można mnie spokojnie odwirować. W końcu dzwonię do Kaśki.

– Hej, to ja! Jestem u was pod domem. Zadzwoń do Andrzeja i powiedz mu, żeby mnie wpuścił. Moknę.

– Co się stało?

– Dostałam e-mail od niego i muszę wyjaśnić parę spraw. A swoją drogą, wiedziałaś, że do mnie napisał?

- Nie.
- Dzwon do niego.
- Dobra, już dzwonię.
- Dzięki. Kasia...
- Co?
- Nic.

Po pięciu minutach drzwi się otwierają. Andrzej wpuszcza mnie do środka. Patrzy na mnie smutno.

- Po co przyjechałaś?
- Bo dostałam e-mail.
- Nie mogłaś po prostu odpisać?
- Nie.
- Co chcesz mi powiedzieć?

– Andrzej, to wszystko prawda, co napisałeś. Jeżeli odrzucić tę historię ze wszystkich uczuć, to jest to prawda. Ale z taką prawdą ja nie umiem żyć. Przecież my się naprawdę kochaliśmy.

– Wiem. Też nie chcę takiej prawdy o nas. Napisałem to, bo wiedziałem, że cię to zrani. Chciałem cię zranić do żywego.

Przynosi ręcznik z łazienki i wyciera mi włosy. Nie mogę znieść jego bliskości. Przytulamy się do siebie.

- Beti, życie bez ciebie to koszmar.
- Siedzimy tak przytuleni i milczymy.

– Andrzej – mówię w końcu – wiesz, że wilk złapany w sidła jest w stanie odgryźć sobie łapę, żeby tylko przeżyć? Ja chciałam tak przeżyć bez ciebie.

- Ja też.
- Myślałam, że jeśli cię znienawidzę, to będzie mi łatwiej.
- Ale nie jest, prawda?
- Nie jest. Chcę mieć przynajmniej wspomnienia. Mnie nikt nigdy nie kochał...
- Ja cię kocham.
- I to ma mi wystarczyć do życia bez ciebie?
- To ci musi wystarczyć... Powiedz mi, co teraz. Co dalej będzie z tobą, z Melą, z mieszkaniem na Wyspowej? A z Borysem? Jesteście razem?
- Nie, ja nie mogę z nim być. Nie chcę.
- Ale on pewnie chce i będzie o to walczył.
- To nic nie da.
- A czego ty chcesz?
- Chcę żyć. Muszę. Dla Meli. Miałaś rację w tym e-mailu, kiedy o niej pisałaś.
- Daj spokój, napisałem to, bo wiedziałem, że to cię zrani najbardziej. Wiem, że ty ją kochasz i ona ciebie też.
- Wiesz, jak się wyprowadzałam, to Romek mi powiedział: „Odejdź sama i zostaw mi dziecko. Ty przecież nigdy jej nie chciałaś”.
- Co za gnój!
- Tak, ale też wiedział, co powiedzieć, żeby mnie skrzywdzić. Zabolało, mimo że to nie była prawda. Mela to spełnienie moich marzeń. Gdyby nie ona, już dawno podciąłabym sobie żyły. Moje życie

bez niej było puste i nic niewarte.

Kładziemy się na łóżku. Andrzej otula mnie kołdrą.

– Będiesz chora przez te swoje wyprawy w deszczu.

– To najbardziej mokre lato w moim życiu. Mam wrażenie, że z nieba wciąż płyną łzy, które ze mnie nie mogą się wydostać.

– Za dużo emocji dusisz w sobie.

– Gdybym je wypuściła, to musiałabym głośno krzyczeć.

– To krzycz.

Zaczynam krzyczeć i nagle wszystko ze mnie wychodzi. Cały ból. Płaczę i nie mogę się uspokoić. Andrzej trzyma mnie za głowę, bo gdyby nie to, to pękłaby na kawałki.

– No już, wyrzuć to z siebie!

– Andrzej! – wrzeszczę. – Dlaczego ty mnie nie wybrałeś?! Dlaczego?! Boże! Ja już dłużej nie mogę! Dlaczego?! Dlaczego nie ja?!

– Beti, już dobrze. – Tuli mnie. – Już dobrze, ty sobie z tym poradzisz.

– Dlatego mnie zostawiłeś?! Bo ja jestem silna i sobie poradzę, a twoja krucha, eteryczna żona nie przeżyłaby twojego odejścia?

– Tak. Ja wiem, że ty to przeżyjesz. Ona nie. Tylko cholera wie, czy ja to przeżyję. Ty zaraz podniesiesz głowę i pójdziesz dalej. Zawsze tak

robiłaś, cokolwiek by cię nie spotkało. Kobieto, dlatego tak cię pokochałem. Ty się potrafisz uśmiechać mimo wszystko.

Leżymy na łóżku, trzymając się za ręce.

– Andrzej...

– Co?

– Kiedy twój ojciec katował twoją matkę...

Andrzej, dlaczego ty go nie zabiłeś?

– Beti, ja nie byłem na tyle silny. Siedziałem w drugim pokoju i zasłaniałem uszy rękami.

– Ja bym go zabiła!

– Śpij już. Nie myśl.

– Co z nami będzie?

– Dokończymy jazdy. Przygotuję cię do egzaminu. Mamy na to dwa tygodnie. Potem wraca moja żona.

– Lubię ją bardzo, wiesz?

– To dziwne, ale ona też cię lubi. Powiedziała mi ostatnio, że nie umie cię nienawidzić.

– Wycierpiała się przez nas dużo, ale ma wielkie serce.

– No taka jest ta moja żona.

Zasypiamy.

* * *

Rano idę do Margo.

– Nie, Beti! Ja już tego nie zaakceptuję – mówi

smutno po wysłuchaniu mnie. – Nie po to wyciągam cię z tego gówna, żeby on znowu cię w nie wciągnął. A ty oczywiście nie widzisz, że to gówno, i myślisz, że to złoto. Kurwa! Oprzytomniej!

– Ale ja nie mogę inaczej, Margo. Może lepiej będzie mi się żyło, jeśli będę o nim dobrze myślała.

– Tak, jasne. Będiesz w tym gównie grzebała, wachała je i zachwycała się: „Ojej, jakie piękne gówno!”. To cała ty!

– Wiesz co, jak jesteś naprawdę moją przyjaciółką, to zrozum mnie, a jak nie możesz zrozumieć, to przynajmniej zaakceptuj.

– Beti, ja jestem w ciąży. Przypominam ci, bo może o tym zapomniałaś w ferworze własnych poplątanych losów. I od kiedy zaszłam w tę ciążę, to nic innego nie robię, tylko próbuję cię zrozumieć, próbuję ci pomoc, próbuję się tobą zająć. Ja nawet więcej myślę o tobie niż o swoim dziecku! A ty dalej brniesz w swoje problemy i masz mnie w dupie. Ja w końcu poronię przez ciebie! Staram się, naprawdę się staram wyciągnąć cię z tego! A ty po jednym e-mailu od niego jedziesz na Mokotów taksówką w środku nocy...

– Boże, Margo, czy ja naprawdę jestem taka okropna?

– Tak! Już nawet nie wiem, które z was jest gorsze – czy ten chuj złamany, czy ty!

Idę do domu i jest mi bardzo, bardzo źle.

Przyjaciółka ze mnie jak z koziej dupy trąba.

Dzwoni Andrzej.

– Jak się czujesz?

– Źle. Margo mnie opieprzyła.

– A co to Margo obchodzi? To jest twoje życie.

Ona nie może cię stawiać pod ścianą tylko dlatego, że nie zawsze stosujesz się do jej rad.

– Ja zostanę niedługo całkiem sama. Wróci Kaśka i ciebie stracę, a reszta świata będzie mnie miała dosyć. Ja sama mam już siebie dosyć. Muszę kończyć.

– Pamiętaj, że jutro mamy jazdy.

– OK.

Biorę się do pracy, ale idzie mi jak po grudzie. Biorę się za sprzątanie, ale idzie mi równie dobrze. Idę spać.

* * *

Rano wlokę się na jazdy. Nadal robię te same błędy, czyli nie hamuję wtedy, kiedy trzeba, nie widzę czerwonych świateł i innych samochodów na drodze tudzież przechodniów.

– Czy ty mnie kiedykolwiek nauczysz jeździć?

– Jeśli tylko mi pozwolisz, to tak.

– Słuchaj, Kaśka wie, że my mamy te jazdy?

– Nie. I nie może się o tym dowiedzieć.

– Nie rozmawiałam z nią od dawna.

– Nie dzwoń już do niej. Niech to będzie poza nią. Mogę ci ufać w tej kwestii?

– Tak.

– Bo czasem sobie myślę, że ty mnie wystawisz po prostu. Że ustaliłyście sobie coś i teraz mnie wkręcacie. I zaraz nie będę miał ani ciebie, ani żony.

– A wiesz, że rozważaliśmy to nawet? Ha, ha! Ale mamy do siebie jeszcze za mało zaufania.

– To jakieś chore, wiesz? To, że wy tak się dogadałyście ze sobą.

– Myślę, że to dlatego, że nikt z naszej trójki nie jest do końca normalny.

– À propos! Podjedziemy teraz w jedno miejsce.

– Gdzie?

– Mam wizytę u psychiatry.

– Co? No to widzę, że my z Kaśką tylko podejrzewamy u siebie nienormalność, ale ty za to masz pewność.

– Zacząłem do niego chodzić, kiedy załapałem takiego doła, że przez miesiąc nie wychodziłem z domu i nie odbierałem żadnych telefonów.

– Rozumiem...

– I to jest ta subtelna różnica pomiędzy tobą a moją żoną. Ty jesteś w stanie to zrozumieć, a ona nie.

– Andrzej, bo my jesteśmy tacy sami. Ja kiedyś łąpałam takie fazy, że byłam bliska skończenia ze sobą. Ale wyszłam z tego, na szczęście bez pomocy specjalisty. Wielu ludzi mi w tym pomogło. Kiedyś

wynajmowałam mieszkanie z kolegą ze studiów. I pewnej nocy poszłam do niego i powiedziałam, żeby ze mną spał i trzymał mnie w nocy za rękę, bo czuję, że mnie to dopada i nie dam rady sama. I tak spaliśmy razem przez pół roku, i on mnie tak za tę rękę trzymał.

– I nic więcej?

– On był homoseksualistą.

– Ha, ha!

– No, ha, ha! Teraz rozpoznaję u siebie pierwsze objawy i nie dopuszczam do takich załamania. Jak się to zbliża, to na przykład terroryzuję Doris, żeby ze mną spała. Ale wiem, że długa droga przede mną, bo jeszcze nie mam tak zdrowej psychiki, jak bym chciała.

– Beti, po tym, co mi powiedziałaś, podziwiam cię jeszcze bardziej.

– Ty na mnie patrz i się ucz. Fajną rzeczą jest opowiadanie o swoich problemach w sposób, jakby się opowiadało dowcip.

– To masz rzeczywiście opanowane do perfekcji.

– Po alkoholu mi odbijało strasznie. Wszystko widziałam w czarnych barwach.

– Też tak mam, dlatego nie piję. Zresztą świadkom Jehowy nie wolno się upijać.

– Wam to tylu rzeczy nie wolno, że szok. Ale posłuchaj mnie. Ty masz ewidentny problem z ojcem. To on cię zniszczył. Zniszczył twoje poczucie

własnej wartości.

– Masz rację. Potrafił mnie usadzić jednym słowem, kpił ze mnie i wyśmiewał.

– Ale wiedz, że twoje problemy nie znikną tylko dlatego, że świadkowie Jehowy pogłaszczą cię po głowie i powiedzą ci, jaki to ty jesteś wyjątkowy, że jesteś w ich gronie.

– Wiesz, że nie jest łatwo zostać świadkiem. Trzeba się nauczyć Pisma, potem cię egzaminują. W miesiąc przygotowałem się do tego.

– Przestań już o tym pieprzyć, bo się zrzygam!

– Nie wiem, czy teraz nie jestem pod obserwacją. Oni pilnują czystości w swoim gronie i inwigilują po to, żeby nie było u nas byle kogo i żeby nikt nie niszczył wizerunku zboru.

– Jezu, Andrzej! Idź ty już lepiej do tego psychiatry i jemu to powiedz, bo ja naprawdę mam w dupie wizerunek tego zboru. Ale widzę, że wy oszukujecie sami siebie. Nie ma ludzi doskonałych. „Jestem jak każdy inny człowiek”, jak śpiewa Bartosiewicz. Nie ma w was nic wyjątkowego. No może poza tym, że jesteście wyjątkowo obłudni, udając doskonałych. Jadę do domu. Pa!

* * *

W domu włączam komputer i zaraz rozmawiam z Andrzejem na Skype. Ustawiamy sobie kamery i

gadamy. Robię kolację i nalewam do ogromnego kieliszka sok warzywny. On też robi sobie kanapki. Jemy.

– Fajny sposób na wspólną kolację.
– Nawet nie musisz na benzynę wydawać, żeby do mnie przyjechać.

– A ty na taksówkę.
– Ależ jesteśmy oszczędni! Ha, ha!
– Beti, ty wiesz, że ty jesteś megawariatką?
– Powiedz mi coś, czego nie wiem. Zaskocz mnie.

– Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką znam.
– Dalej, dalej próbuj, bo nudne to się robi.
– Ja w ogóle nie wierzę, że ty masz w tym kieliszku sok warzywny.

– Przyjedź, to się przekonasz.
– Kusicielko...
– Kusicielko? Zaledwie przedwczoraj spaliśmy w jednym łóżku i nic!

– I myślisz, że to było dla mnie łatwe?
– Ja jakoś nie myślałam o seksie, kiedy wyłam w tym łóżku jak nienormalna.

– A ja, wyobraź sobie, myślałem.
– Bo ty jesteś facetem. Wy o niczym innym nie myślicie.

– Całe życie byłem porządnym gościem...
– „Byłeś górą powagi, wytrąciłam cię z równowagi (...)” [4]

- Dokładnie.
- Mam jeszcze jeden szalony pomysł.
- Już się boję!
- Śpijmy dziś razem. Weź laptopa do łóżka.
Kładziemy się spać, machając sobie na
pożegnanie do kamer.
- Dobranoc.

* * *

Rano budzę się pierwsza i widzę na ekranie śpiącego jeszcze Andrzeja.

- Hej! – krzyczę. – Wstawaj! Śniadanie robię.
- Beti, jak to miło rano usłyszeć twój głos – mruczy.
- Zmień wyznanie na takie, gdzie jest wielożeństwo, i weź mnie na drugą żonę – proponuję.
- Chyba dogadalibyśmy się wszyscy.
- Nie wiem, jeszcze twój syn musiałby się z moją córką dogadać.
- Mela miałyby upragnionego braciszka...
- Dobra, dobra, wstawaj już i przestań śnić ten sen.
- O cholera, to już tak późno?! Przecież ja za pół godziny muszę być na placu manewrowym! Ty bądź jutro o czternastej na stacji Metro Wierzbno, to cię odbiorę stamtąd, bo musimy parkowanie poćwiczyć.
- Czekaj... Ty masz konto na Allegro?

- Mam. A co?
- Wystawisz mój telefon na aukcji? Muszę coś sprzedać, bo już mi się kasa kończy.
- To weź ten telefon jutro.

* * *

- Schodzę na dół do Doris.
- Beti, co ci to wszystko da?
 - Jeszcze nie wiem. Ale ty mnie rozumiesz choć trochę, Doris?
- Ta przytula mnie i mówi:
- No pewnie, ty kochany wariacie! Ale tylko trochę.
 - Bo Margo już mnie nie rozumie.
 - Margo jest w ciąży i myśli hormonami teraz.
 - Ja nie jestem i też chyba myślę hormonami.
 - Trzymaj się w tym wszystkim, a jakby co, to jestem.
 - Kocham cię, wiesz?
 - Dobra, dobra, bo się zagalopujesz. I uprzedzę twoje kolejne pytanie – nie, nie będę dziś z tobą spała!
 - A co? Masz randkę?
 - Tak. Maciek dziś do mnie przyjeżdża.
 - Ooo, to nieźle! Jak skończy u ciebie, to niech wpadnie do mnie, OK?
 - Oj, przestań pieprzyć! A wiesz co? Kot się

znalazł.

– A to pech!

– Wrócił jakby nigdy nic. Zaskrobał w nocy do drzwi balkonowych. Mało tego, chodź, to ci coś pokażę.

Prowadzi mnie na taras, a tam dzika kaczka siedzi na jajkach.

– Też sobie znalazła miejsce na wysiadywanie jaj! – dziwimy się obie.

* * *

W sobotę jadę na jazdy. Po drodze dostaję SMS–a od Andrzeja: „Nie mogę dziś jeździć. Źle się czuję”. „Ale co ci jest?” „Bardzo źle ze mną. Wyjdę po ciebie na przystanek”.

No to jadę. Idzie po mnie, ale coś dziwnie wygląda.

– Andrzej, ty jesteś totalnie zalany!

– Tak wyszło...

– Jest czternasta, a ty... No nie! Chodź do domu.

Wchodzimy i robię mu kawę. Zaczynam się czuć jak u siebie. To chore.

– No i co? Możesz mi powiedzieć, co takiego się wydarzyło?

– Film oglądałem...

– Po pijaku?

– Nie, wcześniej. I tam była taka para. I ta

kobieta wyglądała zupełnie jak ty. Spotkali się zaledwie trzy razy. Na końcu zabił ich oboje jej mąż.

– No... wzruszyłam się. I dlatego się tak upiłeś?

– Tak, mniej więcej dlatego.

– To ja jadę do domu.

– Nie, zostań! Musisz to obejrzeć. A tu przygotowałem ci coś do picia.

Biorę łyka. Tfu!

– Co to za cholerstwo?

– Żubrówka z sokiem jabłkowym miała być, ale nie miałem soku.

– Mam się tym wstawić przed obejrzeniem tego filmu czy dopiero po?

– Pij, pij.

Oglądam i rzeczywiście – kobieta jak ja, facet jak Andrzej. Spotkanie, miłość, śmierć. Płaczę.

– Już wiem, dlaczego tak się upiłeś. Masz jeszcze tę żubrówkę?

– Mam. Oczywiście zostajesz na noc?

– Oczywiście.

* * *

Rano budzą mnie promyki słońca. Obok on, na pewno on. Tak. Jego ręka na moim brzuchu. To nie żadne moje pijackie zwidy. Chyba, bo kątem oka widzę pustą butlę po żubrówce.

– Która godzina? – pyta mnie.

- Wpół do dziesiątej.
- Nie! – Zrywa się na równe nogi. – Ja muszę być o dziesiątej na zebraniu.
- Zebraniu?
- W zborze.
- Daj sobie z tym spokój, dobra? Pojedziesz tam i co? Będziesz znowu udawał świętego? Weź ty spójrz w końcu w lustro i odpowiedz sobie na pytanie, kim ty jesteś. I ostrzegam, że odpowiedź może cię nie ucieszyć.
- Nic nie rozumiesz.
- Oj, rozumiem, rozumiem! Kłamiesz, zdradzasz, potem znowu przysięgasz i wydaje mi się, że ty to lubisz. Te emocje i podwójną grę. I myślisz sobie: „Jaki ja jestem biedny, jaki rozdarty...”. Wyjdiesz z tego łóżka, wystroisz się w garnitur i pójdziesz nawracać grzesznych katolików? Będziesz mógł?
- Nikt nie wie o moich grzechach. Tylko ja i Bóg.
- Ty już chociaż Boga w to nie mieszaj! Uwierz mi, On już dawno odwrócił się do nas plecami. I wcale się nie dziwię. Ja też źle się z tym wszystkim czuję. Wcześniej tylko ty zdradzałeś Kaśkę. Teraz ja też ją zdradziłam.
- To nasze ostatnie spotkanie...
- A ten znowu swoje!
- Jutro wraca Kasia znad morza i ja zaczynam

nowe życie.

- Zmianę turnusu robisz, tak?
- Nazywaj to, jak chcesz.
- Posłuchaj mnie teraz, bo to moje ostatnie słowa. PIERDOL SIĘ!

* * *

Spotykam się z Martą i Bridget dzisiaj. Bridget wygląda jak zwykle, buty w stylu „zdrowa stopa”, długa, bezkształtna spódnica, szara bluzka. Zero makijażu.

- Jak twój romans? – pyta.
- Zapomnij...
- O, to szybko pozamiatałaś!
- Samo się pozamiatało.
- Ale chociaż masz przygody, bo u nas to się nic nie dzieje.
- À propos! Co u was?
- Ja i Kuba staramy się o drugie dziecko.
- Bridget, po cholere wam to?
- Bo do swojej pracy już nie wrócę, zlikwidowali mój etat, więc jak znajdę w ciężę na urlopie wychowawczym, to będę nadal tam teoretycznie zatrudniona i ubezpieczona.
- Co za wzniosłe pobudki, żeby powołać na świat nowe życie! – mówię z ironią.
- Ale co mam zrobić?

– Nie masz innego pomysłu na siebie? Przecież ty nawet nie lubisz dzieci! Kurwa mać, to tak żałosne, że aż przerażające!

– Nie każdy jest tak przebojowy jak ty, żeby założyć własną firmę!

– Zawsze to mniejsza odpowiedzialność niż za dziecko. Firmę mogę zawsze zamknąć, a Mela jest na stałe.

– A gdzie Mela?

– U babci, w Zamościu.

– Sprytnie.

– Mam wakacje. Ostatnie miesiące mnie wykończyły.

– Ale bardzo ładnie wyglądasz.

– Mój wygląd nie ma nic wspólnego z moim stanem psychicznym. Jestem załamana, ale po co mam jeszcze załamywać innych, paradując rozczochrana i bez makijażu?

Dzwoni komórka Marty.

– Tak, tak, kochanie, zrobię zakupy, wracając – mówi, oczywiście, do męża. – Kiedy będę? No zaraz wracam.

– Marta – postanawiam wejść na minę – a co u ciebie?

– A dobrze, bardzo dobrze.

– Jak dobrze, skoro on gada z tobą jak z podkuchenną?

– Ale naprawdę dobrze.

– Wiesz – mówię, bo już mam dosyć tej gadki – możesz oszukiwać innych, możesz nawet mnie oszukiwać, ale nie oszukuj siebie! On jest teraz w domu?

– Tak.

– I nie może wyjść do sklepu?

– Pewnie mu się nie chce.

– A tobie to się zawsze chce?

– A co ja mam innego do roboty?

– A co on ma?

– On za wszystko płaci.

– To mógł cię jako gosposię zatrudnić, zamiast się żenić.

– Ale ja zawsze chciałam być taką żoną przy mężu.

– Ambitne, nie ma co. Tylko czy wiesz, co kryje się pod słowem „mąż”? Miłość ma się pod tym kryć. Kochasz go?

Marta ma łzy w oczach.

– A jeśli powiem, że „tak, ale...”?

– To będzie oznaczało to samo co „nie”.

– Ja sobie nie poradzę sama z dzieckiem – wzdycha.

– Popatrz na mnie. Powiem ci, jaka jest między nami różnica: ja wierzę, że sobie poradzę, a ty wierzysz, że sobie nie poradzisz. I obie mamy rację. Może jeszcze machnij sobie drugie dziecko, to już całkiem się wpieprzysz! Tylko musiałybyś się z nim

przespać...

– No nie, tak blisko to my nie jesteśmy! – śmieje się Marta.

– Czy to na pewno jest śmieszne?

Bridget też pokłada się ze śmiechu.

Jednak dobrze, że nie jestem mężatką!

* * *

Dzwoni Margo.

– Wkurzasz mnie, że szok, ale szkoda mi ciebie, więc zaraz zabieram cię nad Zegrze.

– Jestem gotowa za pięć minut. Kto jedzie?

– Stały skład: ja, Sebastian, Basia, nasz pies i ty z Borysem.

– Rodzinka w komplecie.

– To szybko, bo po Borysa mamy jechać!

Ten jest bardzo zdziwiony moją obecnością i w ogóle się do mnie nie odzywa.

– Tęsknię za Melą – wzdycham.

– Co ty nie powiesz! – dziwi się Margo.

– Sama jestem zdziwiona własnymi słowami.

Zawsze mogłam się do niej przytulić...

– A jak tam ona w tym Zamościu? Nie płacze?

– Wiesz, że nie! Może też mnie miała dosyć?

Teraz przyjechała tam moja siostra z Anglii z dziećmiakami i Meli jest różniej.

– Dobrze, że od września idzie do tego

przedszkola, co?

– No to wybawienie dla mnie. Szukałam już czegoś takiego jak przedszkole z internatem, ale niestety nie ma.

– Ha, ha!

– A jak się rozwija twój romans ze świadkiem? – wtrąca Borys.

– Chyba raczej zwija – komentuję. – Ale to jest dobre hasło „romans ze świadkiem”. Może taką powieść bym napisała?

– I wydała ją jako literaturę religijną.

– Myślę, że świadkowie Jehowy wykupiliby cały nakład od razu.

– I tym sposobem zostałąbyś milionerką.

– I to jest myśl!

* * *

Dzień mija leniwie i spokojnie, dopóki Saba, pies Margo, nie poznaje nad Zegrzem miłości swojego życia. Na widok jakiegoś kundla dostaje dosłownie wścieku macicy. Zaczyna wyć z taką rozpaczą, że aż mnie przechodzą dreszcze. Margo ciągnie ją na smyczy do samochodu, ale ta zapiera się wszystkimi czterema łapami.

– Margo, może daj się rozwinąć tej miłości – mówię.

– Kurwa, Beti, ona jest jeszcze dziewicą! –

wrzeszczy spocona Margo. – Myślisz, że pozwolę, żeby przeleciał ją byle kundel?

– Ale może to mimo wszystko wartościowy pies? Z dobrej, katolickiej rodziny.

– Weź się, kurwa, zamknij!

Siadam na piasku i zwijam się ze śmiechu. No nie mogę z tą Margo.

W końcu udaje nam się załadować zrozpaczoną Sabę do dodge'a i wyruszyć do domu. Kundel jeszcze długo biegnie za naszym samochodem, a Saba tęsknie wygląda przez okno. Ach, miłość!

* * *

W drodze do domu kupujemy kurki. Chodzi mi po głowie sos kurkowy.

– To ty, Beti, zrobisz ten sos u siebie, a my wpadniemy z winem – planuje Margo.

– OK, to ty, Borys, teraz pójdziesz do mnie i mi pomożesz.

– Już ty mnie w żadne wspólne kolacje nie wkręcaj! – mówi ostro.

– Słuchaj, nie wiem, o co ci chodzi, ale jakoś wyjątkowo jesteś dziś na mnie cięty! Bez łaski! Chcesz, to spadaj do domu, a nie, to chodź ten sos robić.

– No ostatecznie...

– Nie „ostatecznie”, tylko „tak” albo „nie”!

– Tak, tak.

Idzie do mnie. Zabieram się za te kurki, ale ten jak zwykle wie lepiej, jak je zrobić.

– Więcej śmietany. Po co tyle kopru sypiesz?

– Jak jesteś taki mądry, to rób te kurki, a ja idę zapalić. A potem jeszcze ziemniaki obierz i usmaż mięso.

Ładnie z tą kolacją wybrnęłam. Ha, ha!

Margo wpada z rodziną i nieszczęśliwie zakochaną Sabą. Zjadają, co było do zjedzenia, i wychodzą. Ja i Borys zostajemy sami. I co teraz? Zapędziłam się sama w kozi róg. Ten bierze dwa kieliszki i idzie do mnie na kanapę. Nie!

Na szczęście dzwoni telefon. Andrzej.

– CZEGO TY JESZCZE ODE MNIE CHCESZ?

– pytam wolno i bardzo wyraźnie.

– Beti, posłuchaj mnie – mówi jakoś tak dziwnie.

– Jeżeli cokolwiek dla ciebie znaczyłem, to proszę cię, żebyś nikomu po mojej śmierci nie mówiła o tym naszym ostatnim tygodniu. Dbaj o moje dobre imię, żeby mój syn nie wstydził się za ojca. Za chwilę popełnię samobójstwo. To już naprawdę nasza ostatnia rozmowa.

Dramatyzm tych słów sięga zenitu, a przynajmniej on się bardzo stara, żeby tak było. Czeka na moją reakcję, krzyki, płacze, prośby. Więc ja mu na to:

– A przelew za ten mój sprzedany na Allegro

telefon to ty mi już wysłałeś?

– Eee... eee... Nie.

– To ja cię proszę, jeżeli oczywiście kiedykolwiek cokolwiek dla ciebie znaczyłam, zanim połkniesz te tabletki, zarzucisz sobie pętlę na szyję czy co tam jeszcze planujesz, przelej mi przedtem to pięćset złotych. A teraz pa!

– Beti...

– Co, kurwa, Beti?! Jeszcze masz jakieś ostatnie słowa dla mnie? A czy ja chcę tego słuchać? Podcinaj sobie te żyły, o ile masz tyle jaj! I nie zapomnij o przelewie!

Borys zamarł z kieliszkiem wina w ręku. Już był w ogródku, już witał się z gąską, przynajmniej tak mu się wydawało, a tu proszę...

– Co się stało?

– Świadek właśnie popełnia samobójstwo.

– Dlaczego?

– Nie wiem, nie wiem – Łapię się za głowę i staram się powstrzymać eksplozję. – Może go wykluczyli w końcu ze zboru? Może żona go w końcu kopnęła w tyłek? Nie wiem.

Telefon. Kaśka tym razem.

– Beti... – ryczy.

Dlaczego ona podczas każdej rozmowy ze mną płacze?

– Co?

– Andrzej... Bo on...

– No wiem, chce się zabić. Dzwonił przed chwilą.

– A to chuj! Ja wydzwaniam do niego od dwóch godzin i nie odbiera, już myślałam, że nie żyje, a ten przed chwilą dzwonił, powiadasz?

– Przed sekundą. Ale opowiadaj, co tam się wydarzyło.

– Bo ja mu powiedziałam, że chcę rozwodu i żeby się wynosił – szłocha. – Wiem o was wszystko, wiem o jazdach, o tym ostatnim waszym tygodniu. Wszystkie rozmowy na Skypie przeczytałam, bo zostawił włączonego. Nawet nie wykasował historii. Wiem, że nocowałaś. No i mówię mu, żeby się pakował.

– A on co?

– A on siedział i powtarzał w kółko: „Kasiu, kocham ciebie. Kocham ciebie”. A ja mu na to, że kłamie, że ja nie chcę żyć z kłamcą, żeby spierdalał.

– No i?

– No i wyszedł, trzaskając drzwiami, mówiąc, że pożałuję tego i że on się zabije. Zabrał z domu wszystkie leki i wino.

– Kaśka, on się nie zabije, uwierz mi. On tylko taką komedię odstawia, żebyś teraz ty go błagała, żeby on wrócił, i żebyś to ty go przeproszała. Tylko w ten sposób może odwrócić to, co namotał.

– Ty, ja za nim wybiegłam w koszuli nocnej na deszcz, ale to dopiero po chwili.

- Czemu nie od razu?
- Bo właśnie sobie żyły podcinałam w łazience. Beti, ja już głupieję! Ja się cała pocięłam.
- Kaśka, jadę do ciebie!
- No i co dalej? Czekał... I dzwonię do niego od dwóch godzin, a on nie odbiera. Nie mogę nawet jechać go szukać, bo mały śpi.
- Jak jechać? Ty chyba wstawiona jesteś trochę.
- No a jak! Ja chleję non stop, od kiedy on mnie zdradza.
- Czekał, ja muszę się rozłączyć, bo Andrzej do mnie dzwoni.
- Odbieram.
- Z kim tyle rozmawiałaś? – pyta.
- Z twoją żoną.
- Nic jej o nas nie opowiadaj!
- Jeszcze nie doszliśmy do tego tematu. Ale co, mam zaprzeczać? Przecież ona czytała wiadomości ze Skype’a.
- Dbaj o Mełę, tylko o to proszę.
- Ty się odsraj od Meli! Muszę się rozłączyć, bo Kaśka dzwoni. A ty rób mi lepiej ten przelew!
- Łączę się z Kaśką.
- I co, żyje?
- A co, z zaświatów do mnie wydzwania?
- Dlaczego on dzwoni do ciebie, a ode mnie nie odbiera? – znów ryczy.
- Nie wiem. Bo chce cię ukarać za to, że go z

domu wyrzuciłaś?

– Beti, ja już chcę tylko, żeby on żył. Niech nawet będzie twój, tylko żeby żył. Powiedz mu to.

– Ja zaraz do ciebie przyjadę. Siedź tam spokojnie na dupie.

– Nie, ty czekaj u siebie. Może on przyjedzie? I jeszcze cały alkohol mi zabrał i tabletki uspokajające.

– Tabletek nie mam, w ostateczności mogę ci alkohol przywieźć.

– Za ile będziesz?

– Już dzwonię po taksówkę.

Nagle widzę, jak Borys zakłada buty i wychodzi. Wybiegam za nim na schody.

– A ty dokąd?

– Do domu. Nic tu po mnie. Zadzwoń do mnie, jak się już ogarniesz, ale tak naprawdę ogarniesz. Nie wcześniej.

Dzwonię do Margo. Opowiadam jej pokrótce wydarzenia ostatnich chwil.

– Ty nigdzie nie jedź! Jak ty umierałaś z rozpaczy po tym rozstaniu, to żadne z nich nie jechało na sygnale, żeby cię ratować.

– Ja muszę do niej jechać.

– Ale kurwa po co? Po co ona w ogóle do ciebie zadzwoniła? Nie ma innych koleżanek? Ja pierdołę! Będziesz ostatnią idiotką, jak pojedziesz.

– Jadę.

Biorę wódkę do torby i jadę.

SMS od Kaśki: „Jednak nie przyjeżdżaj. To bez sensu”. „Kaśka, ja już na Mokotowie jestem, więc mnie nie denerwuj!”

* * *

Wbijam kod do ich drzwi i wchodzę. Ta patrzy na mnie zaczerwienionymi oczami i pyta:

– No i co? Może jeszcze klucze masz do mojego mieszkania?

– Kieliszki daj!

– Już, zaraz. – Idzie w stronę szafek.

– Pijemy. A teraz mów. Dzwoniłaś na policję?

Na to pytanie odpowiada mi dzwoniący domofon. Wchodzi dwóch policjantów.

– Która z pań to żona? – pytają.

– Ja – mówi Kaśka.

– A pani? – Patrzą na mnie.

– Ja nie żona.

Opowiadamy im w skrócie, naprawdę w wielkim skrócie, całą historię.

– Postaramy się namierzyć jego komórkę przez satelitę – obiecują.

Siedzimy obie na łóżku. Trzymamy się za ręce.

– Przepraszam cię – mówię cicho.

– Ja tylko chcę, żeby on żył. Kocham go.

– A ja już go nie kocham. To, co teraz wywija, wyleczyło mnie ostatecznie.

– To dobrze, że już go nie kochasz.
– Nie wiem, jak ty go możesz kochać.
– To mój mąż...
– I co, wszystko mu wolno z tego tytułu? Wszystko ma mu być wybaczone? Spójrz na siebie teraz. Do jakiego stanu cię doprowadził? Teraz, z tym samobójstwem, to już szczyt wszystkiego. Jak bardzo trzeba być okrutnym, żeby szarpać tak drugim człowiekiem?

– Napisałam mu ze sto SMS-ów teraz: „Andrzej, Kocham cię, wróć tylko do domu”, a on nic. Za to do ciebie wydzwania.

– Więc sama widzisz...
– Jeżeli on się znajdzie, to nie wiem, czy mam go najpierw przytulić czy zabić.
– Lepiej dla niego, jeśli naprawdę się zabije, bo jeśli nie, jeśli to tylko zagrywka, to urwę mu jaja!

Kaśka podrywa się na dźwięk telefonu. SMS od Andrzeja: „Powiedz mojemu synowi, że tata był dobry, tylko szatan go opętał”.

– A ten szatan to niby ja? – zastanawiam się głośno. – On rzeczywiście jest jakiś opętany.

– Czasem myślę, że on ma nas obie gdzieś i chodzi mu tylko o to, żeby być świadkiem.

– Kaśka, ja myślałam o tym chyba z tysiąc razy! On ma obsesję na punkcie zboru.

Domofon. Wchodzą jego rodzice.

Pierwszy raz widzę tę osławioną parę. Sadysta i

masochistka. On niski, totalnie nijaki, zaczyna się na mnie gapić jak sroka w gnat. Mój wzrok mówi mu: „Ani słowa. Wiem o tobie wszystko!”. Działa. Za to matka od razu na mnie napada.

- Ja chcę, żeby ta pani natychmiast stąd wyszła! Kaśka i ja nadal trzymamy się za ręce.
- Kaśka, powiedz jej coś! – mówię.
- Ona zostaje!
- Nie wiem, jak ja zniosę obecność tutaj tej... tej... – zacina się matka Andrzeja.
- Niech pani nawet nie próbuje kończyć! – wkurzam się. – Jestem tu, bo ta historia dotyczy mnie tak samo jak was. I nie ruszę się stąd, dopóki on się nie znajdzie.

Siedzimy bez słowa. Jest czwarta rano.

– Jedźcie do domu – mówi Kaśka do teściów. – To nie ma sensu. Połóżcie się spać. Zadzwonię, jakby coś.

My też się kładziemy. Najpierw spędzałam tu noc z Andrzejem w tajemnicy przed nią, a teraz spędzam noc z nią w tajemnicy przed nim.

* * *

O szóstej dzwoni policja.

– Mamy go. Już jest w szpitalu. Był w samochodzie zaparkowanym na ulicy Kinowej.

– Jak on się czuje?

– Zamroczony, ale już przytomny. Wziął leki, ale chyba niedużo, i popił alkoholem. Proszę przyjechać po samochód.

Kaśka rzuca mi się na szyję.

– On żyje! On żyje!

– Oj, ja ci mówiłam, że on sobie nic nie robi. Wziął pewnie dwie witaminy C i popił red bullem. Wielkie mi to samobójstwo!

Kaśka dzwoni po teściów, żeby nas zawieźli po ten samochód, a potem ją do szpitala. Ktoś też musi zostać z dzieckiem, które śpi słodko, niczego nieświadome.

Przyjeżdżają zaraz. Jedziemy. Jest już widno.

– Kaśka, ty czujesz, że ta sytuacja ciebie dotyczy? Bo ja się czuję tak, jakbym jakiś film oglądała.

– Ja też.

– Jakby to w ogóle nie dotyczyło nas, tylko kogoś innego.

– Mam to samo. Musimy się kiedyś na wino umówić.

– Jestem do dyspozycji.

Ojciec Andrzeja patrzy na nas tak, jakby nas chciał przy okazji w psychiatryku na Sobieskiego umieścić. Zaczynamy się śmiać.

Przy samochodzie policja. Oddają Kaśce kluczyki. Ta stoi, macha nimi chwilę i mówi:

– Ale przecież ja jestem pijana. Ja nie mogę

prowadzić. Bo wiecie co, w nocy wpadła kumpela z wódeczką i... – Tu uderza się znacząco bokiem dłoni w szyję.

Odciągam ją od nich.

– Dobra, dobra, już się nie nakręcaj! Chodź.

Wracamy do samochodu ojca Andrzeja.

– Jednak nie mogłyśmy odebrać toyoty. Przecież piłyśmy całą noc.

Muszę przyznać, że facet zachowuje stoicyzm. Zaczyna mi imponować. Jedziemy pod szpital na Grenadierów. Pod szpitalem postanawiamy się rozstać. Przecież obie do niego nie pójdziemy. Każda z nas idzie w swoją stronę. Nagle zawracamy i padamy sobie w objęcia.

– Dziękuję – szepce Kaśka.

– To ja dziękuję, że mi przebaczyłaś.

– Tylko już nie dzwoń nigdy do niego.

– Obiecuję.

– Jak ci będzie źle, jak kiedykolwiek poczujesz potrzebę, żeby do niego zadzwonić, to zadzwoń zamiast tego do mnie, OK?

– OK.

* * *

Wracam do domu i kładę się na materacu. Co za noc!

Zasypiam skonana, ale zaraz budzi mnie telefon.

– Beti! – krzyczy Kaśka do słuchawki. – Ja już z nim nie mogę! On leży pod tymi wszystkimi aparatami i jeszcze mordę na mnie drze, że po co ja przyjechałam, skoro wczoraj kazałam mu się pakować.

– To widzę, że idzie po całości!

– I jeszcze powiedział, że jak tylko stąd wyjdzie, to i tak sobie coś zrobi, bo teraz już będzie wiedział, ile tabletek łyknąć.

– Oj, nie wierz w to! Jakby miał się zabić, to wczoraj miał niepowtarzalną okazję. On ci tak jeździ po psychice, że szok!

– Doszło do tego, że ja go nawet przeprosiłam za swoje zachowanie – mówi zrezygnowana.

– Posłuchaj mnie, kochana, jeśli chcesz utrzymać to małżeństwo, to musisz go wyleczyć. On ma pierdolca na maksa. Ale mało tego – ty też się musisz zacząć leczyć, żeby nie zwariować.

– Ja nie wiem, jak to dalej będzie. On nie będzie pracował, bo nie jest w stanie teraz. Długi rosną...

– Ale wiesz, że on mi jest winien pięćset złotych? Sprzedał mój telefon na Allegro i nie oddał mi kasy. I jeszcze za jazdy mu zapłaciłam całość, a nie sądzę, żebyśmy dalej jeździli.

– Oddałabym ci, ale mam dziesięć złotych na koncie.

– Nie interesuje mnie to. Załatw to z nim tak, żeby mi przelał kasę. Cholera jasna! Nadwyreżyłam

przez niego stan swojej psychiki, ale nie zamierzam nadwyręzać stanu swojego konta!

– Pogadam z nim.

Skoro już się rozbudziłam, to dzwonię do Margo. Nie wiem po co, bo ta nie ma dla mnie litości.

– Beti, nie wierzę, że tam pojechałaś, po prostu nie wierzę! Już sobie wyobrażam, ile w nocy fajek wypaliłaś, i słabo mi na samą myśl. A wiesz, co mnie najbardziej dobija w tym wszystkim? Że olewasz ludzi, którym na tobie zależy, a spalasz się cała tam, gdzie cię mają w dupie.

– Nie mów tak.

– Ale tak jest. Od tych, którzy cię kochają, bierzesz, co chcesz i kiedy chcesz, a dajesz tym, którym na tobie nie zależy. Ale powiedz, gdzie Borys się w tej sytuacji podział?

– W którymś momencie poszedł sobie do domu. I jeszcze powiedział, żebym zadzwoniła, jak ogarnę swoje sprawy.

– No i?

– No i nie dzwonię. To chyba oczywiste!

– Ty jesteś nie fair nawet w stosunku do niego.

I się rozłącza.

Czy ja mogę już iść spać?

* * *

Wieczorem wpadam do Doris. Ta jest

roztrzęsiona.

– Kwaczory mi się dziś wylęły – mówi.

– Ojej, to cudownie!

– Wcale nie, bo mnie wtedy nie było w domu.

Sąsiedzi zobaczyli to ze swojego tarasu i pomyśleli, że jakieś gniazdo spadło, i zadzwonili po ekopatrol. Ci debile przyjechali i wystraszyli mi kaczkę. Odleciała i zostawiła kwaczorki. I oni zabrali tylko te maluchy.

– Jezu!

– A potem kaczka wróciła, a tu puste gniazdo...

Doris zapala papierosa. Ręce jej drżą. Patrzymy na taras, a tam kaczka bije skrzydłami i rozpaczliwie kwacze.

– Daj mi fajkę. Nie mogę na to patrzeć. A miało być tak pięknie, siedziała na jajach, miała marzenia, plany, chciała mieć rodzinę...

– Tak, miała być rodzina, a wyszło jak zwykle. Chuj!

– Skąd my to znamy, Doris?

– Ale myślałam, że chociaż jej się uda...

* * *

Następnego dnia dostaję przelew na konto. Zaraz też dzwoni Kaśka.

– Wysłał ci pieniądze. Sprawdź, czy dobrze wszystko.

– Chyba tak. Nie wiem, co prawda, dokładnie, za ile ten telefon sprzedał. Mówił, że za pięćset, a przelał czterysta siedemdziesiąt. No ale już trudno.

– To ja jeszcze go zapytam i ci napiszę.

– OK.

Po chwili dostaję SMS-a od Andrzeja: „Trzydzieści złotych przesyłka. Coś jeszcze? Odczep się! Jesteś zwykłą manipulantką, kręcisz wszystkim, a teraz jeszcze moją żoną! Nienawidzę cię!”. Blednę. Piszę do Kaśki: „Nie wiem, jak ty to zrobisz, ale niech on do mnie nie pisze! Ja jestem manipulantką? Jego nie prześcignę! To on urządził sobie całonocną imprezę z wódeczką i tabletkami i postawił wszystkich na nogi! On, nie ja!”. Dostaję odpowiedź: „Beti, skończmy to już. Jestem zmęczona”. Piszę jej: „Zarekwiruj mu telefon. A potem terapia. Ale pamiętaj: on i ty też. Ratuj się jakoś”.

WUJEK BORYS

Przez kolejne dni zajmuję się tylko pracą. Mam zaległości we wszystkim. No i zapisuję się na egzamin z prawa jazdy. Zamierzam tam pójść i powiedzieć: „Dajcie mi to prawko, proszę. Ja chcę tylko dziecko trzy kilometry zawieźć do przedszkola”. A może opowiem egzaminatorowi, jak mi trudno, jako samotnej matce. Może to go wzruszy?

Testy zdaję bez problemu. Egzamin z jazd za dwa tygodnie.

* * *

Stoję w Empiku i szukam książki *Bogaty ojciec, biedny ojciec* Roberta Kiyosakiego. Muszę coś zmienić w swoim myśleniu, żeby zacząć zarabiać pieniądze. Nie mogę znaleźć. Pytam obsługi. Mówią, że nie ma. Nagle za mną odzywa się facet:

- Ja mam tę książkę. Mogę ci pożyczyć.
- Naprawdę? Super!
- O dziwo, ten facet wyjmuje ją z torby!
- Rzadko się z nią rozstaję – śmieje się, widząc moje zaskoczenie.
- Kiedy mam ci oddać?
- Za dwa tygodnie będę w Warszawie, bo jutro jadę do Zamościa.

– Z Zamościa jesteś? Kurczę, nie wierzę! Ja też.

Miłą pogaduszkę, w wyniku której na pewno zaraz przeżyłabym kolejny romans i kolejne życiowe rozczarowanie, przerywa SMS od Margo: „Dziś są urodziny twojego niedoszłego chłopaka. Pewnie będzie mu miło, jak zadzwonisz”. Odpisuję: „Margo, ale którego mojego niedoszłego chłopaka masz na myśli?”. „Nie wkurwiał mnie! Borysa!” Aaa...

Kupuję książkę *Tysiąc przepisów na nalewki* i dzwonię.

– Esemesica! No, no, no...

– Borys, przepraszam za tamto. Wyszło strasznie głupio.

– Ale wszyscy przeżyli w końcu?

– Tak, w ostatecznym rozrachunku tak. Nawet, o dziwo, ja nadal żyję! Ale ja nie o tym chciałam. Najlepsze życzenia z okazji urodzin.

– A, dzięki!

– Kupiłam ci prezent.

– Naprawdę?

– Może wpadniesz dziś, to sobie go zabierzesz?

– Nie, nie mogę. Sebastian i Margo do mnie wpadają.

– Imprezę robisz?

– Raczej spotkanie rodzinne.

– To o której mam przyjechać?

– Eee... yyy... eee... – Słyszę, że się waha. – O dziewiętnastej.

Wprosiłam się? Eee, nie...

Na książce piszę dedykację: „Od Beti – prawie dziewczyny i Meli – prawie córki”. Śmiejemy się z Margo z tego tekstu strasznie.

A swoją drogą ciekawe, ile on tych lat dziś kończy. Włosy ma już siwe, ale może to kwestia traumatycznych przeżyć, a nie wieku. Jeżeli inne kobiety w przeszłości też obarczały go swoimi dziećmi i problemami swoich kochanków i ich zdesperowanych żon, to nic dziwnego, że osiwiiał.

* * *

Jestem pierwszy raz na jego terytorium. Ciekawe, jak mieszka... Boże drogi! Odpowiedź mam natychmiast. Mieszkanie trzypokojowe, co prawda, ale zagracone na maksa. W jednym pokoju mieszka trzydziestoletni brat Borysa i Sebastiana, opóźniony w rozwoju. Nie wiem, w czym jest problem, ale nigdy nie nauczył się pisać i czytać. W jego pokoju jest trzycentymetrowa warstwa kurzu na wszystkim. Wychodzę stamtąd z pajęczyną we włosach i aż się boję dalej zwiedzać.

W drugim pokoju mieszka ich ojciec. Na łóżku stosy skotłowanych ubrań, nie wiem, czy czystych, czy brudnych, nie wnikiem, a pod tymi ubraniami, na tych ubraniach i pomiędzy nimi – on. Kaptur na głowie, różaniec w dłoni. Totalne wyłączenie, za

które odpowiada galopujący alzheimer. Kiedyś Borys opowiadał mi, że jego ojciec był mnichem i w klasztorze poznał atrakcyjną pracownicę Caritasu. Spłodzili razem Borysa i w aurze skandalu opuścili klasztorne mury. Ta historia zrobiła na mnie olbrzymie wrażenie, ale kiedy widzę na żywo bohatera tego iście gotyckiego romansu, pewne rzeczy zaczynają mi się nie mieścić w głowie. Ale nic to! Innym razem to przemyślę, teraz idę dalej.

Kuchnia... Grzyb na ścianie. Spadam stąd, szukam dalej, nie wiem czego. Sterylnego pomieszczenia, w którym usiądę sobie i spokojnie wypiję kawę? Margo, jak widzę, poszukuje tego samego.

Wchodzimy do pokoju Borysa. Chyba ogarnął wszystko z grubsza z okazji naszej wizyty, ale i tak szokują mnie pudła, które ustawione jedne na drugich sięgają sufitu. Widać nie zdążył się jeszcze rozpakować po wyprowadzce od siostry Margo. To było przecież zaledwie pół roku temu...

Wchodzi Borys z tortem, na którym widnieją cyfry trzy i siedem. I zagadka rozwiązana. Zjadamy ten tort szybciotko i mówimy, że musimy lecieć. Chce mi się siku, a Margo szepce:

– Lepiej będzie, jak odpuścisz sobie zwiedzanie łazienki.

– Nie wiem dlaczego, ale ci wierzę – odpowiadam szeptem.

- To co, spadamy?
- I to w podskokach.
- Borys zdziwiony.
- Ale ja wódeczkę kupiłem na dziś.
- To wpadnij z nią jutro do mnie – proponuję.
- OK. Ale ostatnio zostawiłem u ciebie całą, wtedy gdy miałem poznać Doris.
- Oj, Borys! – Macham ręką. – Z tamtą pojechałam wtedy do żony świadka.
- No tego to ci nie daruję – oburza się.
- Daruj, to była sprawa życia i śmierci – śmieję się.
- Dobra, to jutro będę.

* * *

- Jedziemy do domu.
- Margo – zaczynam. – Jestem w ogólnym szoku.
 - Burdel tam, co?
 - I to jaki! Wiesz, że ja nie grzeszę zamiłowaniem do porządku, a mimo to... No nie!
- Patrzę na Margo, jej strój, jakby wyszła przed chwilą z domu mody Ives Saint Laurent, perfekcyjnie pomalowane paznokcie, makijaż i pytam:
- Jak tam weszłaś pierwszy raz, to nie uciekłaś z krzykiem?
 - Jak tam byłam pierwszy raz, to mieli jeszcze

kota, który załatwiał się na podłodze pod wanną, i żółwia, który chodził sobie po domu i załatwiał się, gdzie tylko chciał.

– I nie przyszło ci do głowy, żeby rzucić Sebastiana?

– No wiesz, miłość... Zabrałam go stamtąd dość szybko. Wynajęliśmy mieszkanie. Ale powiem ci, że z rzeczy, które przywiózł, to dosłownie mole wyfrunęły.

– Ludzie!

– Ale, moja droga, od kiedy Borys tam rządzi, to brud i kurz jeszcze się wzmogły. On chyba nigdy tam nie sprzątał.

– A jak mieszkał z twoją siostrą, to jak się zachowywał?

– Moja siostra to pedantka. Jak mieszkał u niej, to nawet pyłku nie wolno mu było upuścić na podłogę. A ty wiesz, że on dalej do niej pisze SMS-y?

– Coś ty?!

– No ale ona mu nie odpisuje. Był czas, że nawet pod jej domem wystawał z kwiatami. Ale ostatni SMS był wczoraj. Napisał jej, że ma wszystkiego dosyć, że ma ochotę ze sobą skończyć. No i że ją kocha...

– Czy ten nastrój samobójczy już się wszystkim udzielił? – zastanawiam się.

– No bo tak: moja siostra go rzuciła, nie ma

pracy, siedzi tam z tym zwariowanym ojcem i bratem. Słuchaj, może ty z nim pogadasz jakoś? Teraz w zasadzie jesteś najbliższą mu osobą. Fajnie, że się zakumplowaliście.

– Dobra, pogadam z nim.

– Powiem ci jeszcze, że on jest o wiele fajniejszy jako kumpel niż jako facet. Oj, w ogóle ma ciężki charakter.

– A mnie się wydaje bardzo miły – zauważam.

– Bo jeszcze go nie znasz – rzuca złowieszczo Margo.

– Margo – postanawiam zmienić temat – boję się sama spać. Wczoraj przeżyłam jakiś horror. Obudziłam się w nocy i miałam wrażenie, że coś mnie dusi. Lodowata łapa ścisnęła mnie za szyję.

– A może przestań pić? – mówi Margo całkiem serio.

– Może obędzie się bez tak drastycznych metod – śmieję się.

– A Doris nie może z tobą spać?

– Doris pojechała nad morze. O, jeszcze mi kota zostawiła pod opieką!

– To dzwoń po Borysa.

– Nie no... A co to, pogotowie ratunkowe? Niedługo będę po niego dzwonić, jak mi się paznokieć złamie.

– Ale on by przyjechał, na serio.

– Wiem, ale nie zadzwonię.

Wpadam za to na inny szalony pomysł. Idę do mieszkania Doris i porywam do siebie na noc jej kota. Przytulam się do niego i zasypiam.

* * *

Rano nigdzie nie mogę go znaleźć. Balkon zostawiłam uchylony. Czyżby wyskoczył z drugiego piętra? Zaledwie po jednej nocy ze mną? Dzwonię do Margo.

– Kot uciekł – oznajmiam.

– Kurwa, jaki kot?

– Kot Doris. Wzięłam go do siebie i po cudownej wspólnej nocy nie zastałam go w łóżku o poranku. Myślałam, że mi kawę zrobi, a on nawet liściku nie zostawił. Wszystko wskazuje na to, że wyskoczył z balkonu. Margo, ratunku! Nawet kot wolał się zabić, niż być ze mną!

– Dobra, idę!

– Ja już schodzę na dół.

Nie znajdujemy jednak jego zwłok pod moim balkonem. Skubany, przeżył! Krążymy po całym osiedlu. Nigdzie go nie ma.

– Gamoń, ty durniu! – krzyczę, ale kot nie odpowiada.

Po całym dniu szukania wracamy do mnie. Otwieram drzwi, a spod łóżka wychodzi... Gamoń.

– Dobra, dosyć tej zabawy w kotka i myszkę! –

mówię do gnoja.

Łapię go za kark, niosę dwa piętra niżej, otwieram drzwi do mieszkania Doris, wrzucam go tam, nawet nie wchodząc, i zamykam drzwi na klucz. Wracam na górę.

– Margo, sorry, że cię fatygowałam. Ale kto wiedział, że on pod łóżkiem jest?

– A daj ty mi już, kurwa, spokój! Ja w ciąży, zamiast leżeć i odpoczywać, to latam po osiedlu jak nienormalna. Co jeszcze, Beti? Ja się pytam, co jeszcze.

– I co ja mogę ci na to odpowiedzieć? Ja sama nie wiem.

Żegnam koleżankę i postanawiam zadzwonić do... mojej córki.

– Melu, to ja, mama – mówię, kiedy już mi ją dali do telefonu.

– Wiesz, mamusiu, dawno, dawno temu byłam trochę większa, jak byłam malusieńka, ale już trochę podrosłam.

– Aha... – Zaczynam się zastanawiać mocno nad metodami wychowawczymi babci Krysi.

– Mamusiu... ale w tej swojej dorosłości jestem trochę nieduża.

– A co poza tym słychać?

– Nic. Tylko tyłek mi się zaciął i nie mogę kupy zrobić.

– No i co tam jeszcze?

– Jeszcze się dzisiaj przewróciłam i z ust zostały mi same wargi.

– Ale dobrze się czujesz?

– Tak, tylko boli mnie kark brzucha.

Nie, ta rozmowa to jednak nie na moje nerwy. Chyba muszę się tam osobiście pofatygować. Może za tydzień?

* * *

Dzwoni Borys:

– To co, wpadać?

– Wpadaj, wpadaj.

Po chwili rzeczywiście wpada. Na plecach czerwony plecak, a w środku wódeczka i fanta. Przez myśl przelatuje mi pytanie: „Dlaczego trzydziestosiedmioletni facet chodzi z czerwonym plecakiem?”. Jeszcze go bez niego nie widziałam. No cóż, nie ma ludzi bez wad.

– Wiesz co? Pierwszy raz cię chyba widzę uśmiechniętą – mówi. – Bez tej depresji w oczach.

– Człowieku, depresja to moje drugie imię. Już się może nauczyłam z nią żyć i uśmiechać mimo to.

– Ogarnęłaś się już po tym romansie?

– Trochę tak, ale został mi jeszcze wielki niesmak do tej sprawy. Dlaczego dałam się w to wszystko wkłęcić?

– Ale powiedz lepiej, co teraz. Zamierzasz się

rozwieść jakoś oficjalnie z ojcem Meli?

– Co?! – dziwię się. – Przecież my nie mieliśmy żadnego ślubu. Już ci to kiedyś mówiłam.

– A, zapomniałem! No to chociaż tyle dobrze.

– I to jeszcze jak dobrze! Gdybym była jego żoną, to teraz spłacałabym wszystkie jego kredyty, których nabrał w tajemnicy przede mną.

– A dlaczego wy się w ogóle rozstaliście?

– To skomplikowane. Po pierwsze, był nałogowym kłamcą, po drugie, nałogowym kredytobiorcą, a po trzecie, to chyba mnie nawet nie lubił.

– Naprawdę?

– No naprawdę. Szlag go trafiał, jak mnie widział i słyszał. W piątki na przykład proponował, że da mi stówę, jeśli tylko nie odezwę się do niego ani słowem przez cały weekend.

– Co ty?!

– Tak, tak. A najlepsze jest to, że gdybym milczała w te weekendy, to może zostałamby milionerką i nie miałabym takich problemów, jakie mam. No bo tak: stowa do stowy...

– Jednak ty jesteś trochę szajbnięta.

Postanawiam zareagować na to stwierdzenie pogardliwym milczeniem... A po chwili pytam:

– A ty dlaczego się rozstałeś z siostrą Margo?

– Sam już nie wiem. Dużo spraw się na to złożyło. Na jesieni mieliśmy brać ślub, a na wiosnę

się rozstaliśmy.

– Dobrze, że nie na odwrót – na wiosnę ślub, a jesienią rozstanie, ha, ha!

– Miała fioła na punkcie sprzątanania, no i pewnie wkurzało ją to, że nie mam pracy...

– Ty, no a kogo by to nie wkurzało, powiedz mi. Ty szukasz w ogóle tej pracy?

– Oj! Tak szukam i nie szukam. Mam trochę kasy z wynajmu swojego mieszkania, więc nie mam takiego stresu, że nie mam za co żyć. Teraz jeszcze mieszkam u ojca, więc nie ponoszę żadnych kosztów.

– No w sumie tak. Ale musisz zacząć coś robić, choćby dla komfortu psychicznego.

– Mam jakiegoś doła ostatnio.

– Właśnie o tym mówię.

Późno się zrobiło, więc idziemy spać. W nocy czuję, jak jego ręka zaczyna błądzić w okolicy mojej piersi.

– Nie – mówię zdecydowanie.

– Ale przecież jesteśmy dorośli...

– I co z tego? To nas zobowiązuje do seksu?

– Wiesz co? Ja czuję się tak, jakbyś jedną ręką mnie przyciągała, a drugą odpychała...

– Lubię cię, możemy się przyjaźnić, ale...

– Nie wierzę w przyjaźń damsko-męską.

– Coś ty?! Miałam kiedyś takiego przyjaciela Jasia, z którym mieszkałam nawet, i nic nie było, a wręcz nikomu to do głowy nie przyszło.

– Ale ja Jasiem nie jestem i nie dam z siebie Jasia zrobić!

– Tak?! – wściekam się. – A jak się mają do tej całej sytuacji twoje SMS-y do siostry Margo? Jej piszesz zaledwie wczoraj, że ją kochasz, a ode mnie chcesz czego? Bzykania?

– Skąd wiesz, że do niej piszę? – zamiera.

– A jak myślisz?

– Margo?

– Tak. Ty myślisz, że coś się ukryje w tym gronie? Nie ma szans. Więc lepiej śpij.

* * *

Rano proszę go, żeby mnie podrzucił do teściowej, bo jakieś listy do mnie przyszły. Prowadzi mnie do swojego samochodu, a ja zastanawiam się, cóż to będzie za cudo. No i jest! Srebrny rover. Tylny zderzak oberwany, dynda niebezpiecznie, w środku pełno pustych butelek po napojach, jakieś reklamówki, a co najlepsze... tony ziemi na podłodze.

– Borys! Co to ma być? Samochód?

– Tak – mówi jakby nigdy nic. – Wyznaję zasadę, że samochód jest do jeżdżenia, a nie do popisywania się nim.

– Kurde, może i jest do jeżdżenia, ale przecież nie do sadzenia w nim ziemniaków! Co to za ziemia?

– Jakbym wiedział, że wsiądziesz dziś do niego,

to bym wczoraj posprzątał – obrusza się.

– No i pewnie to wszystko tłumaczy, co? Muszę sobie jakąś gazetę podłożyć pod tyłek, bo inaczej moja biała spódnica mogłaby to źle znieść.

Jedziemy. Jestem bardzo zaskoczona, że TO w ogóle jedzie.

* * *

Wieczorem telefon. Borys.

– Co robisz?

– Sprzątam, bo właścicielka jutro ma przyjechać na inspekcję.

– I jak ci idzie?

– Źle. Mycie okien mnie przerasta.

– To zostaw te okna. Zaraz przyjadę, to ci pomogę.

Rzeczywiście, zaraz jest.

– Tu masz ścierkę i płyn do okien, a jak skończysz, to tu masz mopa do podłóg. Tylko odsuń też kanapę i powycieraj pod nią, OK?

A ja, korzystając z nadmiaru wolnego czasu, idę sobie zapalić na balkon. A swoją drogą, czyż on nie jest miły? Mógłby tylko trochę schudnąć...

Po wszystkim idziemy na stację benzynową na hot dogi.

– I co zamierzasz z tą pracą? – pytam, bo ten temat mnie bardzo intryguje.

– Może sprzedam mieszkanie i pojedę w podróż dookoła świata?

– A jakie jest to mieszkanie? – pytam.

– Dwa pokoje w Centrum. Wynajmuję je i przynajmniej kredyt, który na nie wziąłem, sam się spłaca. Ale ostatnio przychodzą mi do głowy różne pomysły...

– Podróż dookoła świata?

– Kiedyś pojechałem na miesiąc do Indii. Było super. Najdroższy jest bilet, ale życie tam jest bardzo tanie.

– I gdzie jeszcze byłeś? – zaciekawiam się.

– W Libanie, na wykopaliskach.

– Studiowałeś archeologię, tak?

– Tak, ale wyżyć z tego raczej się nie da.

– Ale chyba lepiej niż z zasiłku dla bezrobotnych?

– Coś ty, mi się żaden zasiłek nie należy przez to, że mam dochód z wynajmu mieszkania.

– Ale co ty byś chciał robić? Tak zawodowo.

– Mam kilka pomysłów. Założyłbym własną knajpę, taką z własnej roboty gulaszem... Sam bym tam gotował.

– To załóż.

– Ale to trzeba dużo kasy włożyć.

– Ale kto nie ryzykuje, ten nie żyje. Borys, ja mam pytanie do ciebie...

– No dawaj.

– Jak obleję to prawo jazdy, to będziesz woził Melę do przedszkola? Przynajmniej przez jakiś czas. To są trzy kilometry, ale też trzy przesiadki autobusem. Jakaś masakra!

– OK.

Znowu nocuje u mnie. Na szczęście obywa się bez seksualnych wycieczek pod moim adresem. Rano przyjmujemy właścicielkę mieszkania, którą zachwyca blask świeżo wymytych okien, a potem Borys odwozi mnie swoim niby–samochodem na dworzec. Jadę do Meli.

* * *

Otwieram furtkę i wchodzę na podwórko. Mela biegnie do mnie, mało nie połamię tych swoich małych, chudych nóżek.

– Mamusiu!!!

– Córusiu!!!

– Mamusiu, Dzidziuś mnie bije!

Dzidziuś to syn mojej siostry. Ma rok.

– Jak cię bije, skoro on nawet chodzić nie umie?

– Normalnie, po głowie.

– Zaraz się z nim rozprawię. Pokaż mi, który to.

Przed domem siedzi cała moja rodzinka. Mama, moja siostra, jej mąż Chińczyk i dwójka jej chińskich dzieci.

Historia z moją siostrą i jej mężem to swego

czasu najbardziej szokujące wydarzenie roku. Podczas gdy ja szalałam na imprezach, ona pilnie się uczyła. Wzorowa uczennica, córka na medal. Spokojna i cicha. Dopóki nie pojechała na studenckie praktyki do Anglii. Co tam robiła, nikt nie wie, ale jak wróciła, to już tylko siedziała na telefonie lub na Skypie i nawijała po angielsku z jakimś Kimem. No i mama nie wytrzymała i zapytała w końcu:

– Kim ten Kim, do cholery, jest?

Okazało się, że to facet, u którego wynajmowała pokój. Chińczyk z pochodzenia, urodzony w Wietnamie, mieszkający w Anglii. A po obronie swojej pracy magisterskiej moja siostra szybko się spakowała i zadzwoniła już z Anglii z wiadomością:

– Mamo, jestem w ciąży!

Mama chyba zemdląła, ale zanim padła, zdążyła jeszcze poinformować mnie o tym niepokalanym, w naszym mniemaniu, poczęciu, po czym ja też zemdląłam. Urodziła się chińska laleczka o imieniu Nini, a po trzech latach – chiński chłopczyk o wiele mówiącym pseudonimie Dzidzius. A dopiero potem moja siostra i Kim, przy asyście dwójki dzieci, wzięli ślub. Miło z ich strony, że przysłali choć zdjęcia.

Dziś uroczysty grill z okazji urodzin Kima. Kupiłam mu na prezent fix do potraw chińskich. Ciekawi mnie, które to urodziny, ale to wszystko jest owiane tajemnicą. Każde moje pytanie jest zbywane kolejnym pytaniem:

– A co, książkę piszesz?

– A tak, właśnie że tak!

Kimowi mogłabym dać zarówno trzydzieści, jak i sześćdziesiąt lat. Poza tym naprawdę zazdroszczę mojej siostrze tego męża. Jest idealny. Gotuje, zajmuje się dziećmi, kocha moją siostrę i umie ją rozśmieszyć, a raz nawet dostałam e–mailem zdjęcie, jak Kim szyje na maszynie zasłony. Pytam moją siostrę, czy on ma jakieś wady.

– Ma – odpowiada o wiele za szybko, by mogło to być prawdą.

– Tak, jasne. Tak tylko mówisz, żeby mnie pocieszyć. Podaj choć jeden przykład – żądam.

– No... no nie wiem. Na przykład denerwuje się, jak ja prowadzę samochód.

– Przyznaj się, że wymyśliłaś to naprędce, żeby mi nie było przykro.

– Dobra, przyznaję. Ostatnio nawet sam skrócił sobie spodnie – poddaje się Dominika.

No idealny! A w dodatku przystojny.

– Chcę, żebyś wiedziała, że cię nienawidzę!

– Widocznie każdy ma takiego faceta, na jakiego zasługuje...

– To ja już na nic nie zasługuję? – zastanawiam się.

– Lepiej dla ciebie i Meli, żebyś nie wkręcała się teraz w żadne związki. Ochłoń, odpocznij, pomyśl – radzi.

Wzorowa żona, córka, matka i siostra... Dobrze, że widujemy się tylko raz w roku.

– Telefon dzwoni – krzyczy mama. – Jakiś Borys do ciebie.

Odchodzę na bok.

– Co tam?

– Chciałem sprawdzić, czy dojechałaś.

– Tak, wszystko dobrze. Mamy naradę rodzinną, polsko–angielską. Zadzwonię, jak wrócę do Warszawy.

– A z Melą wracasz?

– Nie, Mela wraca za dwa tygodnie.

– To pa.

Wszystkie oczy skierowane są na mnie. Nawet Dzidzius patrzy zaintrygowany.

– Co za Borys? – pytają mnie chórem.

– Kolega.

– Jasne... Ty już kombinujesz coś głupiego.

– Wyjątkowo nic – mówię szczerze.

– To za wcześnie dla ciebie na jakikolwiek związek – mówią chórkami mama i siostra.

Patrzę na nie. Są jak sklonowane. Blond włosy, zielone oczy, różowa cera, takie same zatroskane miny. Skąd ja się wzięłam w tej rodzinie ze swoimi brązowymi włosami i oczami? No i z tym charakterem przede wszystkim...

Przez podwórko idzie ciotka Do. Rozwiane czarne włosy, makijaż, szpilki. Mam!

– Ciotka, powiedz mi, czy ja nie jestem przypadkiem twoją córką? – zagajam na powitanie. – To było pewnie tak: urodziłaś mnie, stwierdziłaś, że nie dasz rady mnie wychować na porządnego człowieka, i po namyśle oddałaś mnie swojej siostrze Krysi, wierząc, że ona zrobi to lepiej. Któż by przypuszczał, że nawet jej się to nie uda? Ha, ha!

– Przestań już gadać te swoje głupoty – denerwuje się mama.

– Ty jesteś nienormalna! – sugeruje siostra.

– Coś w tym jest... – zaczyna się zastanawiać ciotka, ale nie wiem nad czym.

Jest takie jedno zdjęcie rodzinne, na którym stoją mama i moja siostra, a całkiem z boku – ja i ciotka Do. Wyglądamy jak obce osoby, które spotkały się przypadkiem i które w dodatku niezbyt się lubią.

– Ciotka, poznałaś kogoś nowego ostatnio?

– Aaa, nic takiego. Facet mieszka w Nowym Jorku, to za daleko dla mnie. Nie polecę chyba jednak do niego.

– Coś ty, leć! Kilometry nie mogą stać wam na przeszkodzie.

– Myślisz?

– No pewnie!

Ciotka zastyga w bezruchu na dłuższą chwilę. Lecieć czy nie lecieć? Oto jest pytanie...

Kiełbaski z grilla są oczywiście suto zakrapiane ukraińskim alkoholem. Za blisko ta Ukraina od

Zamościa, zdecydowanie.

– Ja nie mogę tego pić – mówię, ale oczywiście to są tylko słowa.

– Alkohol jest jak lek, wzmacnia żyły, czyści krew, człowiek czuje się jak lew – wygłasza swoją słynną sentencję nasz sąsiad, zwany przeze mnie wujkiem Cebulą w związku z plantacją cebuli, którą uprawia namiętnie, a także w związku z tym, że jest moim dalekim, bardzo dalekim wujkiem.

– Przetłumacz to Kimowi – proszę siostrę.

Ta coś mu tłumaczy po angielsku i widzę, jak Kim krztusi się kiełbasą pod wpływem nagłego ataku śmiechu.

* * *

Rano widzę wujka Cebulę, jak siedzi pod swoją stodołą.

– Oszukałeś mnie wczoraj! – krzyczę.

– Co? – pyta słabym głosem.

– Wcale nie czuję się jak lew.

– A ja się czuję. Jak zdechły lew.

Koło południa z sypialni wyłania się Kim.

Trzyma się za głowę i wzdycha:

– Duża kac. Bardzo duża kac.

Mama siedzi zmartwiona.

– Jak temu Kimowi wytłumaczyć, że u nas to się prawie nie pije?

– Może ty mu nie tłumacz, tylko po prostu przestań urządzać grille z okazji przyjazdu Kima, drugiego dnia pobytu Kima, urodzin Kima i odjazdu Kima.

– No ale on wtedy pomyśli, że go nie lubimy, a tak, to jest tak jakoś... uroczyście.

– Tak, uroczyście „duża kac”. Mamo, wyjeżdżam dziś. Melę tu jeszcze zostawiam na dwa tygodnie.

– Dobrze, dobrze, ona się tu fajnie bawi.

– Tylko pilnuj, żeby jej Dwidzius nie bił i żeby tego karku brzucha nie skręciła z tego wszystkiego.

Spadam stąd. Na „duża, bardzo duża kac” jadę na dworzec. Busa widzę podwójnie. Śpię całą drogę do Warszawy.

* * *

– Jesteś już? – to oczywiście Borys.

– Jestem, jestem, ale głowa mnie boli od tych rodzinnych pogaduszek.

– Mela przyjechała?

– Oj, przecież ci mówiłam, że za dwa tygodnie mam ją odebrać!

– Zapomniałem.

Czasem się zastanawiam, czy on w ogóle słucha tego, co ja mówię. Tak samo jak z tym rozwodem z Romkiem. Czy alzheimer jest zaraźliwy? I w jakim wieku się zaczyna?

– To może spotkamy się jutro? Pojedziemy sobie popływać.

– OK.

Pływaczka ze mnie żadna, ale może się nauczę.

* * *

Dzwoni Margo.

– Beti, mam takie pytanie do ciebie... – zaczyna, a mnie aż ciarki przechodzą po plecach. – Czy Borys już u ciebie mieszka?

– Nie. Zwariowałaś?!

– Tak się pytam, bo jego ojciec mówi, że ciągle go w domu nie ma.

– Jest u mnie często, ale co ty rozumiesz przez mieszkanie? Bo ja rozumiem, że najpierw jest decyzja o wspólnym mieszkaniu, a potem przywiezienie rzeczy.

– Tak? To uważaj, bo on wprowadza się bez rzeczy, a potem pojedynczo zostawia swoje koszulki, gacie, książki i zanim się obejrzysz, już jest ze wszystkim. Tak było z moją siostrą.

– Nie, nie! – przerażam się. W szafie już widziałam, co prawda, jego jedną koszulkę i ręcznik, ale... – Nie, nie! Żadnego mieszkania! Zresztą gdzie? W tej kawalerce?

– Przespaliście się już ze sobą?

– Nie!!! Choć trzy razy otrzymałam propozycję.

Ha, ha!

– Beti, uważaj, bo to nie jest facet dla ciebie, dla nikogo zresztą. Nawet nie wiesz, jaki on potrafi być wybuchowy w związku. Ja przez dwa lata wysłuchiwałam skarg mojej siostry i jej płaczów. Nie chcę tego przerabiać z tobą.

– Margo, on mnie do płaczu nie doprowadzi na pewno, bo żeby płakać, to musiałabym się zaangażować. Nie chcę być teraz sama, tylko tyle.

– Uważaj, żebyś z deszczu pod rynnę nie wpadła!

– Gorzej niż ze świadkiem już być nie może.

– Żebyś się nie zdziwiła...

Margo – warszawska Kasandra.

Patrzę przez okno i myślę sobie, że mam tego dosyć. Ona zawsze wie lepiej, zawsze ma dla mnie tysiąc rad. Nie wiem jeszcze, do jakich wniosków bym doszła, gdybym nie zobaczyła wracającej z nad morza Doris.

– Jak było?

– Cały czas lało. A jak mój kot?

– Kot?

Cholera jasna! Zupełnie o nim zapomniałam!

– Doris, może być mały problem... Zresztą już lecę do ciebie.

Wita nas smród nie do opisania. Głupi Gamoń w poszukiwaniu czystego miejsca w kuwecie porozrzucił swoje odchody po całym dywanie. Doris

patrzy na mnie ze smutkiem.

– A wystarczyło powiedzieć, że nie masz czasu się nim zająć. Poprosiłabym kogoś innego.

– Słuchaj, to długa historia. Ten twój kot mnie tak wkurzył, że ja się normalnie na niego obraziłam. I stąd te ciche dni. No i zobacz, jak narozrabiał! Sama widzisz.

– Jezu, Beti!

– Powiedz lepiej, co z tym Maćkiem.

– Nic, od dwóch tygodni milczy. Mieliśmy się niby nad tym morzem spotkać, ale nawet nie zadzwonił.

– A ty nie mogłaś zadzwonić?

– Ja nigdy pierwsza nie dzwonię. NIGDY!

– I zobacz, jak na tym wychodzisz – śmieję się. – Zupełnie jak ja, pomimo że dzwonię pierwsza.

– Gdzie tu sens?

– Nie ma!

Załamujemy ręce, ale przecież nie będziemy tak siedziały w tym smrodzie w nieskończoność. Doris bierze więc odkurzacz, a ja wychodzę.

* * *

Przyjeżdża po mnie Borys swoim wehikułem czasu. Jedziemy do Zielonki nad stawy. Pięknie tu. Po co byliśmy aż na Mazurach, skoro równie dobrze tu mogliśmy rozbić sobie namiot? Wypływamy na

środek wielkiego stawu, słońce zachodzi...
Cudownie! Ale...

– Ale, Borys! – wrzeszczę. – Tu już nie ma dna!

– Tu prawie od samego brzegu nie ma dna –
śmieje się.

– Ja się utopię! Tonę! Ratunku!!!

Idę na dno. Ktoś ciągnie mnie za włosy do góry.

– Mam cię! Do głowy mi nie przyszło, że ty nie
umiesz pływać.

– Umieję, tylko muszę mieć dno pod sobą.

– Też mi pływanie! Wskakuj mi na plecy.

Już bezpieczna, na plecach Borysa dobijam do
brzegu.

– Ty wiesz, że wszyscy myślą, że my ze sobą
sypiamy? – mówię mu, kiedy już dochodzę do siebie
po tej niezamierzonej próbie utonięcia.

– Co ty nie powiesz...

– Ale ich wyrolowaliśmy, co?

– To raczej ty mnie wyrolowałaś.

– Głupek!

Leżymy na trawie. Borys obejmuje mnie nagle i
przyciąga do siebie. Nie protestuję.

Nie wiem, ile czasu byśmy tam jeszcze leżeli w
bezruchu, gdyby nie komary. Wracamy.

– Mogę poprowadzić?

– Dobra. Tylko uważaj, bo tu biegi ciężko
wchodzą.

Siadam za kierownicą i ruszam. Jadę, ale jakiś

dziwny ten samochód. Wjeżdżam na rondo.

– Hamuj! – krzyczy Borys blady jak ściana. –
My tu nie mamy pierwszeństwa!

Hamuję. Staczam się jednak na gościa z tyłu. Skąd górka na rondzie? Facet za mną, w nowym, sportowym aucie otwiera ze zdziwienia usta, kiedy przywalam mu w maskę.

– Jedź! – panikuje Borys.

Jadę. Coś się pali.

– Z czwórki ruszyłaś? Ja pierdolę! Myślałem, że to niemożliwe! Spaliłaś sprzęgło! Stój!

Staję. I znów staczam się na tego typa za mną. Jeżeli pierwszy mój wyczyn go zdziwił, to drugie uderzenie w maskę już było dla niego totalnym zaskoczeniem. Ale jest spokojny, tak mi się wydaje. Choć może to szok?

– Dobra, ja wysiadam – mówię, otwierając drzwi.

Facet z drugiego samochodu wpadł na ten sam pomysł. Stał i patrzy na swój piękny do niedawna samochód. Bije od niego bezgraniczny smutek. Przytulić go czy co? Zaczynam dygotać na całym ciele. Co ja narobiłam?

– Niech się pani uspokoi – pociesza mnie. – Nic się nie stało.

– Naprawdę? – nie dowierzam.

– Sto pięćdziesiąt złotych załatwi sprawę.

Facet, dałabym ci i tysiąc pięćset, bylebyś się

tylko na mnie nie gniewał. Albo nie wiem, krem jakiś?

Po chwili siedzę już na miejscu pasażera. Borys ma nieprzeniknioną minę.

– No, powiedz coś – nie wytrzymuję.

– Co?

– Nie wiem, nakrzyycz na mnie czy co. Cokolwiek, tylko nie milcz.

– To moja wina. Nie powinienem był dać ci prowadzić.

Zaczynam płakać.

– Uspokój się, nic się w sumie nie stało.

– Naprawdę? – uspokajam się.

– Nie, żartuję oczywiście!

– Bardzo śmieszne.

– Nie! Ja pierdolę! Nie wierzę, że to się dzieje! Ty jesteś walnięta! Walnięta! Niebezpieczna dla otoczenia!

– Ale tamten gość był sympatyczny, nie uważasz? – staram się zmienić temat. – Za sto pięćdziesiąt złotych to chyba chusteczki higieniczne sobie kupi, żeby otrzeć łzy po tym samochodzie, co nie? Chyba mnie polubił... Mnie się też w sumie spodobał, wiesz?

– Jak ty zaraz nie zamilkiesz...

– Dobra, już nic nie mówię. Chcę do domu. Do domuuuuu!

– Nie wiem, co ty z tym swoim instruktorem

robiłaś, ale to na pewno nie była nauka jazdy – mruczy pod nosem Borys.

Odpowiadam na to minutą ciszy.

* * *

Doris wparowuje do mnie w podskokach.

– Odnalazł się, odnalazł się!

– Kto znowuż?

– Maciek.

– No i dlaczego nie dzwonił tyle czasu?

– Moja droga, bo zgubił swój telefon, a tym samym numer do mnie.

– I jak go odnalazł?

– Przez Gamonia.

– Gamoń dał mu numer do ciebie?

– Głupia ty jesteś, że szok. Wtedy, co rozklejałam te ogłoszenia, że szukam brązowego kota...

– Który notabene był szary...

– No więc właśnie wtedy rozklejałam te ogłoszenia z Maćkiem i jedno takie ogłoszenie wpadło mu pod siedzenie w samochodzie. I teraz je znalazł. A tam, tadadam! Numer do mnie jak byk.

– Cudowna historia – wzruszam się. – Ale ty nadal do niego nic nie czujesz?

– Oj, czepiasz się szczegółów! Ale jest fajny, przystojny w miarę, no i dobry w...

- Pozwól, że ci przerwę...
- Co?
- Po browarku?
- A w sumie... namówiłaś mnie!
Siedzimy na balkonie i pijemy.
- Doris, a może ty tak masz, że nic nie czujesz?
- zastanawiam się. – Nic, do nikogo...
- Nie, Beti, chyba tak nie mam.
- To byłaś kiedyś zakochana?
- I to jak!
- Coś ty?! Opowiadaj!
- Poznałam go w Sopocie. Od razu zaiskrzyło.
Idealnie do siebie pasowaliśmy. On – bardzo bogaty,
przystojny...
- Ty – młoda, piękna...
- On – żonaty, dwójka dzieci...
- Kurwa!
- Romans trwał dwa lata. Spotkania w hotelach,
cudowny seks, szaleństwo...
- No i co?
- No i się zakochałam. Totalnie mi odbiło. Nic
nie robiłam, tylko czekałam na telefon od niego,
całymi dniami gapiałam się na jego zdjęcie. Nie
mogłam sobie z tym poradzić.
- I co?
- I zmieniłam numer telefonu, żeby już więcej
nie czekać. To za bardzo bolało. On nigdy by nie
zostawił dla mnie żony i dzieci, a ja bym się tylko

łudziła, marzyła, czekała i płakała.

– Doris... – Przytulam ją. – Ty jesteś naprawdę dzielna.

– Puszczę ci moją piosenkę. – Wstaje nagle i wchodzi na YouTube. – To Doda, jak jeszcze była Virgin.

Kolejny dzień, kolejny dzień bez ciebie, wieczność bez ciebie (...).

– Doris, mam dreszcze.

– Ja też. Słuchaj, nie gadaj.

Boga klnę, bo On mi cię zabrał. On to wie – gdzie ty, tam ja. Jednak chce, by było inaczej. Obsesję, nie miłość dał [5].

* * *

Idę na egzamin na prawo jazdy. Perfekcyjnie robię łuk, odpowiadam na podchwytliwe pytanie o prawidłową ilość oleju silnikowego i jadę na miasto. Zaraz za rogiem facet każe mi parkować pomiędzy dwoma samochodami. OK, to łatwe. Wjeżdżam i nawet nikt nie doznaje uszczerbku na zdrowiu. Wyjeżdżam.

– Koniec egzaminu! Oblany!

– Ale dlaczego? – nie mogę uwierzyć, wszak tak dobrze mi szło.

– Wyjeżdżając, nawet kątem oka pani nie zerknęła, czy po ulicy jadą jakieś inne samochody!

Nawet kątem oka... Jadąc do tyłu, patrzymy do tyłu!

- No tak, to w sumie logiczne...
- Kurwa! – wyrywa się facetowi.
- Ja bym nawet powiedziała więcej: kurwa mać!
- I trafiłaby pani w sedno!

* * *

Wracam do domu ze spuszczoną głową. Mela za tydzień do przedszkola na piechotę pójdzie? Nie, przecież jest Borys i jego maszyna! Szukam telefonu w torbie.

- No hej – zaczynam neutralnie.
- Hello, Esemesico! – jak zwykle niczym nieuzasadniony entuzjizm Borysa.
- Egzamin miałam na prawko.
- I co? I co?
- A zgadnij! Próbkę moich rajdowych umiejętności miałeś ostatnio.
- Demonstrowałaś je też na egzaminie? No, no...
- Pamiętasz, o co cię prosiłam w związku z oblanym egzaminem? – dochodzę do sedna.
- Nie ma sprawy, ja będę zawoził Melę do przedszkola – udziela mi odpowiedzi, jakiej się spodziewałam. – A co dziś robisz? Popływamy?
- Popływamy.

W domu wskakuję w strój kąpielowy i jedziemy do Zielonki. Płynę na środek i wracam. Sama. I

jeszcze raz, i jeszcze... Jestem totalnie wyluzowana.

– Tu jest pięknie! – krzyczę do Borysa.

– Co?

– PIĘKNIE JEST!!! – krzyczę znów i odbija się to echem po całym stawie i powiecie wołomińskim pewnie też.

* * *

Wracając, spotykam Doris.

– A ty skąd? – pyta.

– Z Borysem pływałam.

– Ty wiesz... on tak chodzi, chodzi, aż wychodzi.

– Co wychodzi?

– No ciebie wychodzi.

– Jakoś tego nie widzę oczami wyobraźni nawet, a uwierz mi, że mam bujną.

– Ty, no w zasadzie chciałam z tobą wreszcie poważnie porozmawiać...

– Żarty sobie stroisz? Ty? Ze mną? Poważnie?

– No o tym moim wujku.

– Co ty do mnie mówisz?

– Mam tego wujka i wy byście tak do siebie pasowali, że szok.

– A ile on ma lat?

– Czterdzieści trzy chyba, albo pięćdziesiąt trzy... A jakie to ma, kurwa, znaczenie? Bylibyście idealną parą. On też taki zwariowany. No i ma

jaguara.

– Wziął sobie z zoo i trzyma go w klatce? To rzeczywiście zwariowany!

– Nie z zoo, tylko z komisji samochodowego, ty postrzeleńcu!

– Ale on wolny czy żonaty? Tak pytam, nie to, żeby miało to aż takie znaczenie...

– No tak, żonaty nie znaczy, że nieżywy. Ale, wyobraź sobie, wolny!

– Doris, rozważę to, ale pod jednym warunkiem...

– No?

– Będziesz mówiła do mnie „ciociu”?

– Tak, jasne: „Ciociu, wypijemy piwko?”. Czujesz ten klimat?

– No właśnie nie i długo, długo nie! A tak na poważnie to głupia sytuacja by była – Borys ma mi dziecko do przedszkola wozić, a ja z twoim wujkiem będę się spotykać? No chyba że on, tymże jaguarem, do tego przedszkola...

– Nie licz na to!

– To pa!

– A co wieczorem robisz?

– Borys przyjeżdża.

– Chodzi, chodzi, aż...

– Zamknij się!

– Ha, ha!

– Doris?

- Co?
- Mój dziadek jest wolny. Rozważyłabyś jego kandydaturę? Naprawdę całkiem fajny facet. Tylko jest jeden problem – on nie ma komórki. Trzeba by było do sołtysa dzwonić i go prosić. No a zanim on by dojechał na tym wózku inwalidzkim... Wspominałam już, że nie ma jednej nogi?
- Pod jednym warunkiem...
- No?
- Będziesz mówiła do mnie „babciu”?

* * *

Przyjeżdża do mnie Borys. Gadamy i jakoś tak jest... fajnie. Puszczam mu piosenki.

– Słuchaj tej. To o mnie.

Już w szkole ciągle pytali, czy ze mną wszystko w porządku jest (...) [6].

– Wiesz co? Gdybyś ty słuchała normalnej muzyki, a nie tych wariactw, to może i byłoby z tobą wszystko w porządku.

– A co masz do Bartosiewicz? Zresztą to bez znaczenia. Czego według ciebie miałabym słuchać, żebym była normalna?

Borys długo grzebie na YouTube i nagle puszcza *Kołysankę dla nieznanjomej*.

Bosa do mnie przyjdź i od progu bezwstydnie powiedz mi, czego chcesz. Spytaj siebie, czego

pragniesz (...) [7].

– Wiesz co, tego to słuchałam, jak miałam piętnaście lat.

– No i co?

– No i bez skutku, powiem ci, że bez skutku.

Po tym koncercie życzeń staramy się iść spać, jednak Borys znów zapędza się w swoich zapędach.

– Słuchaj mnie! – mówię w końcu. – Przecież my nawet się nie całowaliśmy. Jasna cholera! My nawet za ręce się nigdy nie trzymaliśmy!

Szuka po ciemku mojej dłoni. Ściska ją mocno.

– Tak? – pyta. – Tak ma być?

– Tak.

Do trzeciej jeszcze nie śpimy.

– Wiesz co? – pyta.

– Nie wiem już nic – odpowiadam zgodnie z prawdą. – Nie wiem, czego chcę.

– To jedźmy po Mełę.

– Teraz?

– Tak.

Pakuje rzeczy do torby i jedziemy do Zamościa.

* * *

O ósmej jesteśmy na miejscu. Witają nas moja mama w papilotach na głowie i moja siostra w koszuli nocnej. Mają identycznie rozchylone ze zdziwienia usta. Szukają odpowiednich słów, ale

nawet „dzień dobry” nie przychodzi im w tym momencie do głowy. I wtedy wybiega Mela.

– Wujek! Wujek Borys! – krzyczy rozradowana i rzuca mu się w ramiona. – Zobaczcie, to mój wujek! Mój własny!

– A to ja, jej mama – Macham do wszystkich ręką. – Macie coś do jedzenia?

– No wiesz co?! – Mama odciąga mnie na bok. – Nie mogłaś chociaż zadzwonić?

– Nie, bo o trzeciej w nocy, jak zapadła ta decyzja, to ty jeszcze spałaś, a jak się obudziłaś i zakręciłaś te loki, to właśnie na podwórko wjeżdżaliśmy.

– A kto to w ogóle jest?

– Borys, najlepszy przyjaciel Meli.

– Obcego faceta mi tu przywozi o świcie! No ty nie jesteś poważna!

– No już nie bulwersuj się tak, bo ci się ten baranek na głowie rozprostuje – staram się ją uspokoić. – Ponawiam propozycję wspólnego śniadania.

– To sobie je zrób!

– Zwariowałaś? Ja tu gościem jestem!

W tym czasie Borys już zajął się trójką dzieci, stanowiąc tym samym ostrą konkurencję dla Kima. Chociaż i tego zajął zaraz rozmową po angielsku. No po prostu człowiek orkiestra. I jeszcze mówi mojej mamie, że nie jest głodny.

Kiedy wychodzę na podwórko z talerzem kanapek, ten już siedzi z Melą na kolanach, wpatrzoną w niego jak w obrazek. Wzruszam się. Borys patrzy na mnie jakoś tak dziwnie. No co? Włożyłam spodnie, zdjęłam buty i zmyłam makijaż.

– Taką cię lubię. Chodzącą bosą po trawie, bez makijażu... – rozmarza się.

– To się przypatrz i zapomnij, bo to nie jestem ja.

– Nie lubię umalowanych kobiet.

– To mamy problem!

– Ale ja rozumiem, że ty tak musisz do pracy...

– Nie, ja tak muszę zawsze! I skończ o tym gadać, bo zaraz pójdę się umalować! Dobra, Melu, co u ciebie?

– Dobrze, tylko Dzidziuś...

– Tak, wiem, bije cię. Coś nowego poza tym?

– U babci na polu są malinki.

– To idziemy po nie.

– Mamusiu...

– Co, kochanie?

– Płakałam za tobą tutaj. Długo cię nie było.

Bałam się, że jak wrócisz, to mnie nie poznasz.

– Dlaczego miałabym cię nie poznać?

– Bo mi bardzo urosła grzywka.

– A właśnie! Czy to na pewno ty?

– Ja, mamó. To ja, twoja córka.

– Nie, moja córka była trochę ładniejsza.

– Ale zobacz, jaka jestem ładna. To naprawdę ja.

- No dobra, może to rzeczywiście ty.
- Mamusiu...
- No co?
- Ile ja znam języków?
- Co?
- Bo Nini zna dwa. Polski i angielski.
- Ty, niestety, nawet polskiego dobrze nie znasz.
- Nie, ty się pomyliłaś! Słuchaj teraz: kot, pies, płot, drabina... – wylicza mi na palcach. – No i ile znam języków? Liczyłaś?

* * *

Wieczorem jak zwykle grill. Z okazji naszego przyjazdu i pożegnania Meli. Znowu to ukraińskie świętowanie!

– W Warszawie też tak popijasz? – pyta mnie zbulwersowana mama, kiedy widzi, że sięgam po kieliszek.

– Co ty?! Zwariowałaś? Ja się przeprowadziłam do Warszawy, żeby tutaj w alkoholizm nie wpaść.

– A kto tutaj tak pije? – dziwi się.

– Ja, mamó, tylko ja, jak przyjeżdżam. Nikt więcej!

To cała moja mama. Sama nie pije, ale jak tylko ktoś przyjeżdża, to wódeczka na stół i klepanie całą imprezę po rękach, kiedy ktoś chce się jej napić. Nic dziwnego, że ona jedną flaszką potrafi kilka imprez

obsłużyć.

Kiedyś spędzałam z nią w domu sylwestra. Nie spodziewając się wiele, o 23.30 już byłam w łóżku. Wtedy mama, wyluzowana wielce, wparowała z flaszeczką i śledziami i mówi:

– Wstawaj, przecież to sylwester!

Ubrałam się, umalowałam znów, ta poląła po kieliszeczku, zagryzłyśmy śledziem i siedzimy. Podnoszę butelkę, polewam po jeszcze jednym, a ona do mnie oburzona:

– A co ty tak pijesz?! W alkoholizm popadniesz, ja ci to mówię!

I butelkę do barku z powrotem. I koniec imprezy o 23.50 nastąpił.

Dobra, grill trwa, zabawa na maksa. Borys i Kim od kilku godzin rozprawiają o czymś po angielsku. Nikt ich nie rozumie, więc konsternacja jakaś nastąpiła. Sama już mam tego dosyć, kiedy moja mama, wskazując głową na Borysa, dramatycznie szepce:

– A ileż można gadać?

Nie wiem, mamo, on tak może długo. Przypominają mi się Mazury. Do rana z tym Grubym rozmawiał. Już mi w głowie szumi od tego jego głosu. Ale przecież nie pójdę spać i go nie zostawię. A może jednak? Chyba wszystkim już szumi w głowie, bo nagle narzeczony mojej mamy wypala:

– A ty tak zamierzasz co i rusz nowego wujka

Meli przywozić?

– Jak na razie ten jest pierwszym, którego przywiozłam – oburzam się.

– Ale czy ostatnim?

– Sławek, nie denerwuj mnie! – napadam na niego, bo jestem już tak wstawiona, że mi wszystko jedno. – Odpowiedz mi lepiej na pytanie: „Czy ty się z moją mamą w ogóle zamierzasz ożenić?”

Mama blednie. Sławek milczy.

– Bo kobiecina żyła sobie spokojnie bez ciebie, pierwszą ławkę miała w kościele zarezerwowaną, a teraz co? – w zasadzie pytam ich oboje.

Milczą. Pierwsza odzywa się mama.

– Ty już może nie pij więcej.

– Oj, do cholery, przestań mnie strofować! – wrzeszczę. – Wszyscy tylko mi rad udzielają. A ty taka jesteś idealna? Krysia idealna. Nananananana...

Borys przestaje wreszcie pieprzyć po angielsku i podchodzi do mnie.

– Uspokój się – mówi, zakładając mi kaptur mojej własnej bluzy na głowę.

Siadam mu na kolanach. Mam w dupie to, co wszyscy myślą, czy to mój kolega, czy nie tylko.

– Idź spać – radzi mama.

– A żebyś wiedziała, że pójdę, bo już mam dosyć was wszystkich! Ale w zasadzie to gdzie my mamy spać? Przecież tu nie ma tylu łóżek.

Ciotka daje mi klucze od domu.

– Idźcie do mnie, tam całe piętro jest wolne.
Biorę Borysa za rękę i jeszcze tylko mówię na
pożegnanie:

– Data ślubu, mamó! Data!

* * *

Rano czuję się fatalnie. „Duża kac moralny”, oj, „duża”! Napadłam na Sławka, nakrzyczałam na mamę, a co najgorsze, wspaniale zaprezentowałam im swoją relację z Borysem (kolegą Meli), kładąc się z nim spać. Kurczę! Kurczę! Kurczę! Muszę stąd wyjechać jak najprędzej! Wrócę może za rok lub za dwa. Może powinnam zapuścić grzywkę, żeby nikt mnie nie poznał? Siadam przed domem w swojej bluzie z kapturem naciągniętym na głowę i zastanawiam się, co dalej. Na podwórko wychodzi Kim.

– Beata?

– Co?

– Nikt cię nie kocha.

A od kiedy to on zna polski? Znajdę i zabiję gnoja, który nauczył go tego zdania!

– Kim?

– *What?*

– Odpieprz się! A teraz leć po moją siostrę, żeby ci to przetłumaczyła. Albo w sumie nie... *Fuck you!*

* * *

Zabieram moje dziecko i mojego / nie mojego kolegę / nie–kolegę Borysa do Warszawy.

– I ja już pójdę do przedszkola? – podnieca się Mela.

– Tak.

– A Basia?

– Basia też.

– A Jasio?

– Tak. I jeszcze Bartek.

– Ojej, to super! Mamusiu...

– Słucham.

– Ale po co ja mam do tego przedszkola iść? Ja już przecież wszystko umiem. Języki nawet różne znam, telewizję umiem oglądać i prawie już czytam.

– Idziesz po to, żeby właśnie to „prawie” zlikwidować.

– A tam będę miała dużo kolegów i koleżanek?

– Bardzo dużo.

– I tam nie wolno sikać w majtki?

– Absolutnie nie!

– A może choć kupę?

– Nie!

– Mamusiu...

– Co?! – wybucham. – To znaczy słucham cię, skarbie.

– To ja nie chcę chodzić do żadnego durnego

przedszkola! Ja chcę normalnie żyć!

* * *

Borys znów zostaje na noc.

– Chciałabyś mieć drugie dziecko? – pyta mnie przed zaśnięciem.

– Ale z tobą czy w ogóle?

– Skoro pytam, to chyba mam na myśli... no wiesz, że ze mną.

– Chyba tak. Byłbyś dobrym ojcem.

– Uwielbiam Mełę, ale chciałbym też, żeby ktoś mówił do mnie „tato”.

– Rozumiem, tylko że ja nie chcę mieć drugiego nieślubnego dziecka. Jeśli już, to wszystko musi być normalnie. Ślub, potem dziecko, no wiesz...

– Ja też chciałbym, żeby wszystko było normalnie. Czuję, że mam teraz motywację, żeby znaleźć pracę. Dzięki tobie.

– Chcę pierwszy raz w życiu zrobić coś normalnie...

Z tą myślą zasypiam.

* * *

Idę na egzamin z prawa jazdy. Robię łuk. To mój popisowy numer.

– Dziękuję, oblany.

– Dlaczego?! – dostaję hysterii. – Jechałam ładnie według linii!

– Ale nie tej, co trzeba.

Nie, zwariuję!

* * *

Margo pisze mi SMS-a: „Mogłabyś mi oddać czerwony pasek?”. O, brzmi poważnie! Zrywamy ze sobą, że oddajemy sobie swoje rzeczy? Zostawiam Borysa z Melą i lecę z tym paskiem. Margo leży na kanapie w salonie i wygląda bardzo groźnie.

– Kochasz mnie jeszcze? – pytam, żeby przełamać lody.

– A myślisz, że dlaczego tak się o ciebie martwię, idiotko?

– Ale o co konkretnie teraz?

– O to, że znów mnie nie słuchasz. Już wplątujesz się w coś, z czego nic dobrego nie wyniknie.

– Ale co ty masz mu do zarzucenia? Ja nic z tego już nie rozumiem.

– Wiesz o jego długach? Kurwa, że też muszę ci takie rzeczy mówić! On już dwa lata nie pracuje! Czy ty nie widzisz, że to leń śmierdzący? Chcesz zapieprzać na niego?

– On się zaraz weźmie w garść. Mówi, że teraz ma motywację dzięki mnie.

– Jasne! On to powtarza jak mantrę od dwóch lat. Już ma iść do pracy, tylko dotknąć!

Wchodzi Sebastian.

– Margo, czy ty możesz zostawić ich w spokoju? Niech robią, co chcą, są dorośli. Czy ty musisz się we wszystko wtrącać?

W Margo jakby piorun strzelił.

– Sebastian, weź mnie nie wkurwiał!

– Ale o co ci chodzi?

– Zamknij się, dobrze?! Potem ona mnie się będzie wyplakiwać na ramieniu, a nie tobie.

– Nie będę się nikomu wyplakiwać, jasne?! – wkurzam się.

– Nie, ja już nie mam siły! – Margo zaczyna płakać.

– Idę do domu – postanawiam.

– Nie zostawiaj mnie z nią samego – rzuca rozpaczliwie Sebastian.

– Wychodzę.

– Czekał, odprowadzę cię – chlipie Margo.

Przytulam ją w progu.

– Nie płacz, proszę cię – mówię, bo już nie wiem, co mam powiedzieć.

– Kurwa! Już nie mam siły, żeby to wszystko przeżywać!

– To może nie przeżywał? Nie możesz za mnie przeżyć życia.

– Idź już.

Lecę do swojego bloku. Na zewnątrz rozpętała się jakaś burza z piorunami. Kiedy docieram do siebie, jestem doszczętnie przemoczona. Od razu idę do łazienki i leję wodę do wanny. Zanurzam się cała. Mam dość.

Wchodzi Borys. Czy ja nie mogę mieć chwili spokoju?

– Co się stało? – Klęka obok wanny.

– Wyjdź stąd!

– Co się stało?

– Nic, po prostu nienawidzę, kiedy ktoś mi wchodzi do łazienki! I jeszcze jedno: jeśli kiedykolwiek okaże się, że Margo ma co do ciebie rację, nie wybaczę ci! Sobie też nie!

Dlaczego ten zamek od łazienki jest popsuty? Powiem jak Margo: KURWA!

* * *

Mela rysuje.

– Mamo, mamo, zobacz, co narysowałam! – woła.

Na kartce trzy buzie.

– Kto to jest?

– Ty, ja i Borys. Cała rodzinka Meli.

Borys jest przeszcześliwy i gapi się na ten rysunek, jakby to były co najmniej papiery adopcyjne, które ma podpisać, a ja podejmuję nagłą i

niczym nieuzasadnioną decyzję o zawiezieniu Meli do Romka. Może przypomni sobie, że ma ojca? A on może przypomni sobie o alimentach? Ale nie, chyba się zagalopowałam... On i alimenty? To już przesada!

– Mela, jedziesz na Karminową!

– Do babci? Super!

– Nie, do taty. To taki koleś z czarnymi jak heban włosami, którego nazwisko widnieje na twoim akcie urodzenia. Mieszka tam u babci na górze i zajmuje się głównie oglądaniem telewizji.

– Tata! – Mela radośnie podskakuje, a więc sobie przypomniała.

Wiozę ją i zostawiam tam. Idę dla odmiany do pracy.

Po trzech godzinach włączam telefon. Dziesięć nieodebranych połączeń. Romek? A co tam się stało? Oddzwaniam natychmiast. Ręce mi drżą.

– Powiedz, coś ty z dzieciakiem zrobiła?! – drze się.

– Nic nie zrobiłam. – Jestem w szoku. – Co się dzieje?

– Dzieciak nic się nie odzywa, tylko płacze.

– Dlaczego?

– Jadę z nią do psychologa! Doigrałaś się!

– Zaraz będę.

Lecę tam, jakby mi ktoś zainstalował motorek w tyłku albo skrzydła na placach. Walę do drzwi. Otwiera teściowa. Mijam ją i lecę na górę. Mela stoi

u szczytu schodów, mówiąc jak zwykle:

– Cześć, mamó!

Romek ostentacyjnie ogląda telewizję. Też jak zwykle...

– No i co tu się stało? – pytam go.

Milczy.

– No co się stało, do cholery?!

Milczy.

– Wiesz co?! – wybucham w końcu. – Masz pretensje, że Mela się nie odzywa?! Może ma to po tobie? A do psychologa idź, owszem, ale ze sobą! Tylko naucz się najpierw komunikować z kimkolwiek, żeby móc opowiedzieć, co ci jest.

Odpowiada mi milczenie.

– Człowieku, nawet nie wiesz... nawet nie wiesz, jak bardzo mnie rozczarowujesz! Jak bardzo żałuję, że jesteś ojcem mojego dziecka!

Cisza.

– Dlaczego nie zadzwoniłeś przez dwa miesiące, żeby zapytać, co u niej słychać?

Cisza.

– Dlaczego nigdy nawet nie zapytałeś, gdzie ona mieszka?

Cisza.

– Czy wiesz, że ona jutro idzie pierwszy raz do przedszkola?

Cisza.

– Nienawidzę cię! Ty nie masz serca! Nie masz

żadnych ludzkich odruchów!

I stoję tam, i płacę. I nic mi po tym, bo tego głazu to nie zmiękczy.

Mela jest już na dole gotowa do wyjścia. Schodzę po schodach i mówię do teściowej:

– Jednego nie mogę zrozumieć: jak ja mogłam kiedykolwiek się z nim przespać? Musiałam na jakichś prochach być!

– Dziecko, ty i tak miałaś do niego cierpliwość. Cztery lata tu wytrzymałaś. Ja nie wytrzymałabym z nim dwudziestu pięciu minut.

– Tu się coś działo w ogóle? Po co on do mnie wydzwaniał?

– Bo Mela strasznie płakała, że ją tam u babci bili.

– Co ona bredzi? Kto ją tam bił?

– Jakiś Dzidzius.

– Oj, dajcie już wszyscy spokój z tym Dzidziusiem! Przecież to tylko roczne dziecko jest.

Zabieram Melę i wychodzę. Nie mogę ochłonać.

– Mamo?

– Co?

– A pamiętasz, jak mieszkałaś z tatusiem i on się tak na ciebie cały czas denerwował?

– Pewnie, że pamiętam.

– A pamiętasz, jak z nim mieszkałaś i on się na ciebie NIE denerwował?

– Jak przez mgłę, dziecko, jak przez mgłę...

* * *

Rano jesteśmy wszyscy zvarci i gotowi. Pierwszy dzień w przedszkolu. Ja, Borys i pośrodku Mela trzymająca nas za ręce. Czuję się, jakbym co najmniej do ołtarza ją prowadziła. Ręce mi się poca. Za to ona nie stresuje się niczym. Z dumnie podniesioną głową wchodzi na salę, gdzie siedzi dwadzieścioro zapłakanych dzieci.

– Pa, mammo! – mówi. – To ja się tu będę bawiła. Tylko mnie potem odbierz.

– Ale chociaż buziaka mi daj – mówię zaszokowana jej luzem.

Podbiega do mnie.

– I jeszcze tatusia pocałuj – sugeruje przedszkolanka.

Mela zastanawia się przez chwilę, co robić, ale zaraz podbiega do Borysa i też go całuje. Stoimy tam jeszcze jak wryci, trzymając się za ręce. Czuję, jak po policzkach płyną mi łzy.

– Moje dziecko poszło do przedszkola... – mówię do Borysa i ściskam do bólu jego dłoń.

(KU)RWA KULSZOWA I SPRAWA CHIŃSKA

– No i co? Jaki masz teraz gry plan? – pyta Borys.

– Teraz to jadę na spotkanie z klientką.

– To ja cię zawiozę. Tylko zatankuj samochód.

– No dobra. A ty nie masz nic do roboty?

– Nie. A co na przykład?

– Na przykład... szukanie pracy?

– Nie, to nie dzisiaj. Do tego to trzeba przysiąść na spokojnie.

– To kiedy przysiądziesz?

– Jak będzie jakiś wolniejszy dzień.

– Bo wiesz, to jest ważne, jeśli mamy być razem.

– Ale jak pójde do pracy, to jak będziesz wozila Melę do przedszkola?

– Zastanowię się nad tym, jak znajdziesz pracę.

– A kiedy masz teraz egzamin na prawko?

– Za dwa tygodnie.

– Tylko zdaj tym razem. Może chcesz poćwiczyć moim samochodem?

– Nie, w życiu! – przerażam się. – Chyba pamiętasz ostatni raz, kiedy nim ćwiczyłam?

* * *

Po południu odbieramy Melę z przedszkola.

- No i jak było? – pytam.
 - Ładnie się bawiłam, byłam grzeczna, wszystko bardzo ładnie zjadłam – zeznaje Mela.
 - Nie poznaję własnego dziecka. Naprawdę wszystko zjadłaś?
 - Tak. A Bartek zrobił kupę w majtki.
 - Coś ty?!
 - A tak się nie robi, mamusiu, prawda?
 - Prawda.
 - I jeszcze mam tam koleżankę Patrycję.
 - To świetnie.
- Spotykamy na schodach sfrustrowaną Doris.
- Beti, co za dzień! – jęczy.
 - A co się stało?
 - Jasio w tym przedszkolu był jak opętany. Musiałam się z pracy zwolnić, żeby po niego jechać. A jak Mela?
 - No widzisz, cała roześmiana.
 - Ty już mnie zaczynasz wkurzać. U mnie pod górę, u tej jak po maśle wszystko. Ja na dodatek sama Jasia muszę wozić, a ta już sobie pomocnika znalazła!
- Nagle patrzy na mnie i Borysa i świta jej coś jeszcze.
- A u was, widzę, relacje się zmieniły?
 - No trochę...
 - To trzeba to oblać. Po browarku wieczorem?
 - To wpadnij.

Wpada. Pijemy po jednym i lecimy na stację po kolejne.

– Słuchaj, a ty go kochasz? – pyta mnie Doris.

– Nie wiem.

– Bo on cię kocha. To widać.

– Jak widać? Po czym?

– Po tym, jak na ciebie patrzy.

– Ja jakoś nie jestem mu w stanie tego wyznać.

Przez gardło by mi nie przeszło.

– To może poćwicz?

– Jak?

– No na mnie.

– No dobra, czekaj – Przelykam ślinę. – Kocham cię.

– Widzisz, jak ci ładnie poszło. To jeszcze raz powiedz.

– Kocham cię, Doris.

– Oj, ja ciebie też, wariatko!

Padamy sobie w objęcia.

* * *

– No i jaki jest gry plan na dziś? – pyta z rana Borys.

Cholera, jak mnie ten tekst drażni! Jak my mamy tak każdy dzień zaczynać, to ja eksploduję któregoś razu o poranku. Biorę głęboki wdech i odpowiadam:

– Mela do przedszkola, a ja mam trzy spotkania.

– Tylko trzy? Ty powinnaś mieć pięć spotkań! Wtedy byłaby kasiorka. Ku, ku, ku! – Pociera palcem wskazującym o kciuk.

– Ja widzę, że ty lepiej wiesz, jak zarabiać kasę ode mnie. To może sam się za to weź?

– Czemu jesteś taka niemiła dla mnie?

– Nie jestem niemiła.

– Jesteś. Jak cię wkurzam, to powiedz, to się wyprowadzę.

A właśnie! Kiedy to ty się wprowadziłaś? Patrzę na to mikroskopijne mieszkanie, gdzie wszędzie już leżą jego rzeczy i czuję, że...

– Muszę zapalić – mówię i idę na balkon.

– Za dużo palisz, wiesz?

Nie, nie wiem!

– Mela, powiedz mamie, że za dużo pali.

– Mamo!

A dajcie mi wszyscy święty spokój!

– Spóźnimy się! – to Borys. – Ja jestem już gotowy, a ty jak zwykle nie.

– Muszę jeszcze gdzieś zadzwonić.

– Gdzie?

– Oj, do klientki!

– Której?

– A co, znasz?

Gdzie ja mogę w spokoju porozmawiać? Może w łazience? Siadam na sedesie i wykręcam numer.

– Siku! – to Mela.

– To i ja jeszcze siknę przed wyjściem – to Borys.

Ratunku!

– Spóźnimy się do przedszkola przez ciebie – to Borys.

– I co się stanie? – to ja.

– Czemu jesteś taka opryskliwa? – to Borys.

– Ja? – dziwię się. – Jestem już gotowa.

Wychodzimy?

– Ale miałaś gdzieś zadzwonić.

– Rozmyślałam się. Wychodzimy!

– Czekał, jeszcze zęby umyję!

– Mówiłaś, że jesteś już gotowy.

– I byłbym, gdybyś nie zajęła łazienki.

– Ja jeszcze kupę! – woła Mela.

Czy ktoś może sprawić, żeby oni zamilkli choć na chwilę?

* * *

– Masz jakieś pieniądze? – pyta Borys.

– A co?

– Trzeba zatankować.

– Mam czterdzieści złotych – wyznaję.

– Ja nie wiem, jak ty ten biznes prowadzisz. Ja, jak pracowałem, to zawsze tankowałem do pełna.

– Ale teraz pracuję ja i tankuję ja. Za tyle, ile mam.

– Trzeba będzie ten samochód naprawić niedługo, bo biegi nie wchodzą. I ubezpieczenie wygasa z końcem października.

– Dobra, pomyślimy.

– Szykuj się na wydatek.

– Ja nie wiem, czy ja dam radę sama z tym wszystkim...

– Jak sama? Chyba jesteśmy razem?

– Ale tylko ja pracuję.

– A ja to nie? – oburza się święcie Borys. – A kto wstaje rano i wozi to dziecko? Kto cię wozi do klientek?

– A kto płaci za mieszkanie?

– Właśnie! To mieszkanie jest totalnie niefunkcjonalne dla rodziny.

To może się wyprowadź? Hi, hi! Borys nie czyta mi w myślach, na szczęście, zresztą jest zbyt zasłuchany w swoje własne. Kontynuuje wywód:

– Powinniśmy spać pośladki i przeprowadzić się na jakiś rok do mojego ojca.

– Ty chyba zwariowałaś!

– Zaoszczędzilibyśmy kupę kasy.

– Nie chcę o tym więcej słyszeć! Gdzie niby byśmy tam mieszkali? W tym twoim pokoju we trójkę?

– Tu też przecież mamy jeden pokój.

– Ale nie mamy w drugim pokoju twojego ojca za sąsiada.

- A co masz do mojego ojca?
 - Nic – wycofuję się. – Borys, przecież tam nie ma warunków dla dziecka! Czyś ty oszalał?
 - Księżniczka od siedmiu boleści! – To o mnie chyba. – Warunki jej nie odpowiadają. A teraz to co, w Wersalu mieszkasz?!
 - Może nocowałbyś dziś u ojca, co?
 - Dlaczego?
 - Bo tak!
 - A ty co będziesz robiła?
 - Muszę przemyśleć parę rzeczy w spokoju.
 - To ja będę sobie czytał na łóżku i nie będę ci przeszkadzał.
 - Nie!
 - Ale ja naprawdę nie będę ci przeszkadzał...
 - Powiedziałam chyba, że chcę zostać sama! – eksploduję w końcu.
 - OK, to ja to pierdolę! Jak masz mnie w dupie, to ja spadam! – Łapie swój czerwony plecak i spada.
- Uff!
- Mela przenosi wzrok z telewizora, w którym leci jakiś film dokumentalny o chińskim przedszkolu sportowym, na mnie i pyta:
- A gdzie wujek poszedł?
 - Nie mów już nic! – Padam wykończona na łóżko.
 - Mamusiu...
 - Co?

– Może zamieszkałybyś znowu z tatą?
– Nigdy w życiu!
– Mamo, on już się na ciebie w ogóle nie denerwuje. Wróćmy do niego. Nawet nie musiałabyś z nim spać. Mogłabyś spać na przykład z... babcią.

Wybucham śmiechem.

– No nie wiem, co dziadek by na to powiedział.

– To z dziadkiem byś spała!

Ha, ha, ha!

– Mamusiu...

– Co tam jeszcze?

– Jutro rezygnuję z przedszkola i jadę do Chin.

A zabierzesz ze sobą wujka Borysa? A ja tu posiedzę sobie w ciszy i spokoju...

W nocy, targana wyrzutami sumienia, piszę SMS-a: „Przepraszam”, bo przecież on taki dla nas dobry, a ja taka niewdzięczna.

O ósmej rano przyjeżdża po Melę i wszystko wraca do normy. Nawet już mnie tak nie wkurza.

* * *

Spotykam Doris.

– I jak Jasio w przedszkolu? Zaaklimatyzował się?

– Wiesz, już w sumie tak.

– To dobrze.

– A Mela nadal zachwycona przedszkolem?

– No właśnie nie wiem, bo coś ostatnio przebąkiwała, że rezygnuje z przedszkola i wyjeżdża do Chin.

– I jak ty się na to zapatrujesz? – śmieje się Doris.

– Jej życie, jej decyzje.

– A jak tam z Borysem?

– A, nic mi nie mów. Wczoraj była awantura.

– Kłopoty w raju? No, no!

– A jak Maciek?

– Idę z nim w sobotę na wesele do mojej koleżanki.

– A! To już jako para się pokażecie? Pierwszy publiczny występ. Ho, ho, ho! Zmiany, zmiany, zmiany!

– No zobaczymy, jak to będzie.

– Ty, wiesz co, a co w niedzielę robicie?

– Kaca chyba będziemy leczyli, a co?

– Bo możemy jechać nad Świder razem. Ognisko, te sprawy...

– W sumie...

– To fajnie, poznam gościa wreszcie. Ciekawe, co to za typ. Doris, taki test zrobimy – jeżeli nawet ja nic do niego nie poczuję, to powiem ci, że rzeczywiście coś z nim nie tak.

* * *

Jadę dziś do pracy autobusem. Borys zostaje w domu z Melą. Mają oglądać bajki, a ja mam mieć święty spokój przez chwilę. Idę ulicą i oddycham pełną piersią. Cudownie! Przeciagam spotkanie z godziny do czterech, do tego stopnia nie chce mi się wracać do tego domowego kotła. Spokoju, ludzie! Tylko tyle chcę. No ale nic, trzeba wracać. Już w bramie osiedla słyszę te dzikie odgłosy. Muzyka na full, i to, o zgrozo, dobiegająca z mojego mieszkania! Nie! Wchodzę, a tam jakieś tańce, śpiewy. Borys z Melą oszaleli.

– Stop! – wrzeszczę, wyłączając wieżę.

Borys zraniony do żywego mówi:

– Ty jednak nie jesteś ani tak wesoła, ani tak wyluzowana, jak mi się wydawało.

– Co ty nie powiesz?! A nie przyszło ci do głowy, że ja pracuję, staram się to jakoś ogarnąć i potrzebuję skupienia?! Odrobiny, kurwa, ciszy!

Zamykam się w łazience, siadam na podłodze i otwieram swój kalendarz spotkań. Po mniej więcej trzech sekundach otwierają się drzwi.

– Mogę siknąć? – pyta Borys.

– Mamusiu, ja chcę kupę! – to już Mela.

– Nie! – Wybiegam jak szalona z łazienki, z mieszkania i lecę do Doris.

– Nie, Doris! Ja już tego nie wytrzymam!

– Ale co masz mu do zarzucenia?

– Nic i to jest najgorsze. Jest dobry, uczynny,

kocha moje dziecko, mają świetny kontakt.

– No i co od niego chcesz?

– Po prostu jestem cały czas wkurwiona...

– Beti, na twoim miejscu bym jednak z nim była, ale podkreślam: na twoim. Kto inny z tobą wytrzyma?

– No mówiłaś, że ten twój wujek dałby może radę.

– A! No właśnie zapomniałam ci powiedzieć, że on już ma dziewczynę.

– Jeszcze i to! – załamuję się. – Jakby mało było nieszczęść.

– Nie słuchałaś mnie, to okazja przemknęła koło nosa. – Doris rozkłada ręce.

– Niepowtarzalna szansa, żeby być twoją ciotką... – wzdycham.

– To tak, jak wygrać w totka i zgubić kupon, moja miła.

– Dobra, wracam już na górę, do tego pierdolnika. Może poszli spać w cholerę.

– Ale nerwy przeszły trochę po wizycie u mnie? Lepiej ci już?

– Niebiańsko wprost.

Borys już leży w łóżku, ale nie śpi.

– Wiesz – mówi smutno – nie zaprosiłem cię wtedy na swoje urodziny, bo chciałem zakończyć naszą znajomość.

– Słucham? – dziwię się.

Przyzwyczaiałam się do myśli, że on zawsze chciał ze mną być, a to ja się wahałam.

– Ani ja nie byłem gotowy na związek, ani tym bardziej ty.

– A to musiałeś się zdziwić, jak zadzwoniłam z życzeniami.

– Ty jeszcze byłaś wkręcona w tego Andrzeja, ja miałem jeszcze nadzieję, że pogodzę się z siostrą Margo, a mimo to niebezpiecznie się do siebie zbliżaliśmy. Przewidywałem, że nic dobrego w przyszłości z tego nie wyjdzie.

– Ty może jako wróżka powinieneś się zatrudnić gdzieś?

– Ja nie mogę z tobą normalnie gadać! – Odwraca się ode mnie i po chwili słyszę chrapanie.

Ja jeszcze długo nie mogę spać...

* * *

W sobotę mam pięć spotkań. Przejęłam się sugestią Borysa, że muszę robić kasiorkę. Wyliczył, że potrzebujemy dziewięciu tysięcy miesięcznie, żeby przeżyć we trójkę z moich zarobków.

Wychodzimy wszyscy z domu o ósmej rano. Mela do babci, ja na spotkania, a Borys jako mój szofer rusza tam, gdzie ja.

– Zobaczysz, że się spóźnimy – kracze.

– Przecież mamy jeszcze godzinę do spotkania.

- Ale na pewno będą korki.
 - I co? Mam się już teraz przejmować, że się spóźnię?
 - A kiedy będziesz się przejmować?
 - Dziesięć minut przed spotkaniem, jeżeli będę pewna spóźnienia. A nawet wtedy nie, bo zadzwonię do klientki, że zaraz będę.
 - Ty jesteś nieprofesjonalna. Wszystko masz w dupie!
 - Takie pierdoły na pewno tak. A poza tym jeszcze się nie spóźniłam nigdzie.
 - A wystarczyło wyjść piętnaście minut wcześniej...
 - Może i bym wyszła, ale ty musiałeś jeszcze siknąć, Mela musiała kupę. Dzień jak co dzień, kurwa!
- Nie odzywam się już do niego przez resztę drogi. Na miejscu jesteśmy przed czasem. Postanawiam jeszcze zapalić.
- Nie pal przed spotkaniem – zaczyna swoje porady biznesowe Borys. – To nieprofesjonalne.
- Ciekawe, jak by zareagował, gdybym zgasła mu fajkę na czole.
- Jakaś podminowana jesteś od rana czy mi się zdaje? – dolewa jeszcze oliwy do ognia.
 - Zdaje ci się.

* * *

Wracamy o dwudziestej drugiej. Jestem wykończona. Wyciągamy walizki z moimi akcesoriami z samochodu.

– Kręgosłup mnie boli od tych ciężarów – jęczy Borys, łapiąc się za plecy.

– To sama mam to nieść?

– Nie, nie, daj. – Łapie za torby. – Kurwaaaa! Coś mi strzeliło.

– Może dysk ci wypadł?

– Może to lumbago?

– Że co?

– No rwa kulszowa. Gdybym był ubezpieczony, to bym poszedł do lekarza.

– Ale nie jesteś.

– Mój kredyt mieszkaniowy trzeba zapłacić – zmienia temat. – Tysiąc pięćset złotych.

– To zapłać. Przecież wzięłaś kasę z wynajmu.

– Ale spłaciłem za to swoją kartę kredytową.

– Jezu! Mam kasę, ale muszę mieszkanie opłacić.

– Tak, ty myślisz tylko o swoich rachunkach, a moje masz gdzieś.

– W tym mieszkaniu nie mieszkam sama, chciałabym zauważyć.

– Ja tu wcale nie muszę mieszkać. W każdej chwili mogę jechać do ojca, a ty sobie dymaj na piechotę.

– Borys, ty musisz iść do pracy – załamuję się. – Tak się dłużej nie da!

– Tak, teraz, jak mnie kręgosłup boli, to ty mnie do pracy wysyłasz. Pięknie!

Kładę się spać. Chcę zakończyć ten dzień wreszcie. Borys jednak ma inne plany.

– Mmmm, bromba... – Łapie mnie za pierś.

– Co? Jaka „bromba”? – Odsuwam się zdegustowana na drugi koniec łóżka.

– Nie masz ochoty?

– Jeśli ta „bromba” miała mnie zachęcić, to nie tędy droga.

– Jakoś moim byłym to nie przeszkadzało.

– To przemyśl jeszcze raz, dlaczego są już tylko byłymi. Może jednak im przeszkadzało?

– Pamiętaj, że czego się nie dostanie w domu, to się poszuka na mieście – grozi.

– Jeśli nie zgłębisz tajników gry wstępnej, to uwierz mi, że i na mieście nic nie znajdziesz. Jakoś nie wyobrażam sobie kobiety, która rozkłada nogi na dźwięk słowa „bromba”. A poza tym rwa kulszowa już ci nie dokucza?

– Oj, nie, to nie! – obrusza się na dobre. – Myślisz, że cię będę błagał?

– Chcę spać, OK? Jasne to jest?! – wściekam się.

– Mam zapieprzać czternaście godzin na dobę i jeszcze nie mam prawa zasnąć w spokoju?

* * *

Rano mam wyrzuty sumienia i oczywiście przelewam mu to tysiąc pięćset złotych na konto. Potem schodzimy na dół do Doris, żeby zabrać ją i jej lubego nad Świder. Dobijamy się kilka minut do drzwi. Otwiera mi rozczochrana.

– Czego? – jak zwykle przemiała.

– Jesteś w trakcie spania czy bzykania? – pytam.
– Zresztą przerwij, cokolwiek to jest, i ubieraj się. Jedziemy nad Świder!

– Ludzie, zapomniałam o tym totalnie! Maciek jeszcze śpi.

– Wstawać, ubierać się, bo nie ma czasu! – pokrzykuje Borys.

– Nie, ja chyba nie jadę – jęczy postać spod kołdry. – Kac!

– My o piątej rano wróciliśmy z tego wesela – jęczy Doris.

Rozsiadamy się u nich wygodnie i czekamy, aż się pozbierają do kupy. Obserwuję bacznie owego Maćka. No niczego sobie. Przystojny, tyle że taki jakiś... niewzbudzający emocji. Doris patrzy na mnie, ja na nią. Wzrok ma pytający. Wzruszam ramionami i mówię bezgłośnie:

– Nic nie czuję, sorry!

Jedziemy jeszcze po Melę.

– A ta Mela to czyją jest córką? – pyta Maciek.

- Doris – żartuję.
- Naprawdę?
- Nie, jaja sobie robię. To moja córka.
- I Borysa?
- Nie – prostuje Borys.
- Moje dziecko ma na imię Jaś – wtrąca Doris.
- Dobra, już nic nie chcę wiedzieć. Łeb mi pęka.

Wstępujemy jeszcze do sklepu po prowiant na ognisko. Przy kasie Maciek dyskretnie się odsuwa. Doris płaci. Nasze zakupy sponsoruje Borys swoją świeżo spłaconą kartą kredytową. Pokazał, jak zachowują się prawdziwi mężczyźni, a co!

Nad Świdrem Borys jest w swoim żywiole. Razem z Melą zbiera drewno na ognisko i pieką nam kiełbaski.

– Jak tak na nich patrzę, to głowę bym sobie dał uciąć, że to ojciec i córka – komentuje Maciek.

– A ja, jak tak na nich patrzę, to chcę ci powiedzieć, że... namyśliłam się – wypala Doris.

– Zapomnij! On jest mój. Miałaś swoją szansę.

– O czym wy mówicie? – zaciekawia się Maciek.

– Borys miał być chłopakiem Doris, ale przespała pierwszą randkę i ja go sobie wzięłam – tłumaczę.

– To wcale nie było tak – broni się Doris.

– Już się nie tłumacz.

Obserwuję Borysa i ogarnia mnie spokój. Gdybyśmy nie mieli gdzie mieszkać, to zbudowałby

nam szalas i upolował dzika, żebyśmy mieli co jeść. Taki jest zaradny. Nie to, co ten trzymający browara w swojej wypiełgnowanej rączce koleś Doris.

* * *

Wieczorem wracamy. Borys odwozi Maćka, a my idziemy do Doris.

– No i co sądzisz? – pyta mnie.

– Kompletnie do ciebie nie pasuje. Ty musisz mieć faceta z jajami, który by cię utrzymał w ryzach.

– On nie był dziś w formie. Przecież całą noc balowaliśmy.

– A jak na tym weselu?

– Wszyscy stwierdzili, że on zakochany we mnie i że pasujemy do siebie.

– Pijani byli chyba.

– Tak, no przecież to wesele. Ale wiesz, co mnie wkurza?

– Co?

– Na wesele dałam sześć stów w kopercie. Nawet nie zapytał, czy się dołożyć. I dziś jeszcze te zakupy. Cholera! Przecież ja jestem samotną matką! To były moje ostatnie pieniądze!

– A chcesz wiedzieć, na co ja wydałam ostatnie pieniądze? Na kredyt Borysa.

– Ale przynajmniej masz z niego pożytek. Dziecko ci bawi.

– A nie taniej wyniosłaby mnie zwykła opiekunka do dziecka? I jeszcze tankowanie non stop tego grata, ciągle naprawy.

– Beti, ty sobie nie poradzisz bez niego. Sama? Przy twoim trybie pracy? Masz w nim wsparcie.

– Mam, ale ma to swoją cenę. A poza tym on jest bardziej z Melą niż ze mną.

– Lubi dzieci.

– Aż za bardzo. Teraz męczy mnie o drugie.

– Nie, nie! W waszej sytuacji to wariactwo.

– Wiem, jestem tym przerażona. On nie widzi, że tylko ja pracuję? Kiedy miałabym je urodzić? Kto by się nim zajął? Powiedziałam mu, że dziecko dopiero po ślubie, a on o ślubie ani słowa, za to próby z płodzeniem podejmuje każdego dnia. Mam wrażenie, że ja się w tym w ogóle nie liczę, on tylko myśli o tym, żeby wystrzelić swoje geny w kosmos. Chyba myśli, że takie zajebiste są.

– Co za koleś!

– Może jednak weźmiesz go sobie?

– Nie, kurwa, dzięki!

– Taka z ciebie przyjaciółka?

– Ty, á propos! Co z Margo?

– Nie odzywa się. Ja do niej też. Smutne to.

* * *

– Mela, wstawaj! – Szarpię ją za ramię. – Do

przedszkola idziesz.

– Nie idę.

– Jak to?

– Mówiłam ci już. Zrezygnowaliśmy razem z Patrycją w piątek. Znalazłyśmy sobie inne przedszkole.

– Tak? A gdzie to nowe przedszkole?

– Oj, mam, w Chinach! Ile razy mam ci to mówić?

– Wstawaj!

– Daj mi spokój! – Odwraca się do mnie plecami i jeszcze słyszę, jak coś mruczy pod nosem: – Ja chcę żyć normalnie, nie tak jak ty...

I już śpi. Bezczelna!

Borys idzie do sklepu po „Wyborczą”. No nie! Nie wierzę! Czyżby szukał pracy? Wraca dumny z siebie i kładzie się z gazetą i długopisem na materacu. Po chwili słyszę chrapanie. Śpi. Trącam go delikatnie nogą i pytam:

– No i co? Jest coś ciekawego?

– Daj pospać... – Przewraca się na drugi bok. – Jutro to przejrę.

– Jutro te wszystkie ogłoszenia będą nieaktualne. Ty jesteś poważny?

– Dobra, dobra, już się za to biorę.

Przegląda. Jest przynajmniej jakiś postęp, choć przyznaję, że kupno tej gazety już zakrawa na wydarzenie roku.

– Ty, patrz! Jest zajebiste ogłoszenie. Pomocnika mechanika szukają.

– Borys, uwierz mi, jak ten mechanik zobaczy twój samochód, to umrze ze śmiechu.

– Gdybym miał swój garaż, to bym tam sobie dłubał spokojnie i powoli go robił.

– Jasne! Ponoć plecy cię tak bolą, że się nie możesz schylić. A poza tym w ogóle się na tym nie znasz.

– U tego mechanika bym się przyuczył.

– Weź ty zejź na ziemię!

– Ty do wszystkiego jesteś negatywnie nastawiona! Do wszystkiego!

Po chwili.

– O, jest zajebista oferta!

– Jaka?

– Rozwoziciel zakupów w supermarkecie. Dostarczałbym towar do domu klienta.

– No to jest fajna oferta. Wysyłaj CV.

– Zwariowałaś? Z moim kręgosłupem miałbym torby nosić? Za tysiąc pięćset złotych?

– Wiesz co? – wkurzam się. – Może ty idź na rentę, skoro do niczego się nie nadajesz?

– Jaką rentę? Ja chcę coś działać, tworzyć!

Borys jest oburzony i nie odzywa się przez pół godziny. Ale potrzeba gadania jest jednak silniejsza od niego.

– Kiedyś chciałem napisać książkę.

- Jaką? – zaciekawiam się.
- Fantastycznonaukową, o Jezusie.
- I co?
- I nic.
- Aha.

Tak, już miał pisać, już nawet miał iść kupić papier i długopis, ale usnął. A jak wstał, to już kiosk był zamknięty. A na drugi dzień to już zapomniał, o czym miał napisać. I wyszło jak zwykle...

- A ty wiesz, że ja kiedyś napisałam książkę?
 - Jasne! Ty – książkę? Ha, ha, ha!
 - Tak, siedem lat temu. O mnie i moim przyjacielu Jasiu. Chcesz przeczytać? – Rzucam się do szuflady i szukam mojego arcydzieła.
 - Może kiedyś. Teraz zmęczony jestem.
- Zastygam z wydrukiem w dłoni. Jego zainteresowanie moją osobą czasem mnie poraża.

* * *

- Wpada Doris.
- A co, Mela nie w przedszkolu?
 - Nie. Wiesz, ma sporo do załatwienia w związku z wyjazdem do Chin.
 - Co ona z tymi Chinami?
 - A bo ja wiem? Chce, niech jedzie. A ty nie w pracy?
 - Nie, Jasio ma szkarlatynę. Cały język w

krostach. Ludzie! Same problemy!

– A Maciek się odzywał?

– Nie, tylko koszula, w której był na weselu, po nim została.

– Dobrze i to. Będziesz mogła ją sprzedać, jakby co.

– Co ty, to jakieś badziewie. Nawet nie znam tej firmy. Ty, a co to jest? – Bierze moją książkę do ręki.

– Kiedyś napisałam książkę.

– Wysłałaś ją do jakiegoś wydawnictwa?

– Nie. Napisałam i schowałam do szuflady.

– Nienormalna jesteś – kwituje. – A Borys ją czytał?

– Już prawie miał czytać, ale zasnął.

– Dobra, biorę ją i lecę. Siedzę teraz w domu, to poczytam.

– Leć.

Znów trącam nogą śpiącego Borysa.

– Ja jadę do pracy, a wy tu sobie posiedźcie w domu razem.

– OK.

– Pilnuj, żeby Mela nie wyjechała do Chin przed moim powrotem. Chociaż „do widzenia” jej powiem.

* * *

Wracam wieczorem. Mela podskakuje podekscytowana (więc jeszcze nie wyjechała, uff!).

– Mamo, mamo! Borys narysował dom i tam jest mój pokój. Różowy!

Co się dzieje? Jaki dom?

Borys pokazuje mi z dumą plan domu.

– Zobacz.

No widzę tych kilka kwadratów, jakieś cyfry. No i?

– Chcesz mieć dom? – pyta, obejmując mnie czule.

A jak powiem, że tak, to co? Wręczy mi tę kartkę?

– Co to jest?

– Nasz dom. Postawimy go nad Świdrem.

– Borys... – wzruszam się.

– No co?

– A to, że nie mamy nawet na jednego pustaka!

– Można by tam na razie postawić taki kontener, mieszkać tam i powoli się budować.

– Jasne! Znając życie, to w tym kontenerze już byśmy zostali.

– Kurwa! – Borys podrywa się z materaca. Ojej, żeby tylko rwa go znów nie dopadła od tych nagłych ruchów! – Ty jesteś negatywnie nastawiona do wszystkiego! Ja przynajmniej mam jakieś marzenia, plany! Ty nic!

– Sęk w tym, że ty masz same marzenia i plany! Różnica między nami jest taka, że kiedy ty planujesz dopiero iść do pracy, ja właśnie z niej wracam. Kiedy

ty planujesz dopiero napisać książkę, ja już mam swoją napisaną. Kiedy ty dopiero planujesz mieć dziecko, moje już idzie do przedszkola. Czujesz tego bluesa czy jeszcze bardziej obrazowo mam ci wytłumaczyć?

– Załamujesz mnie...

– Ja ciebie?! Kurwa! Miałeś dziś pracy szukać! Cały dzień siedzisz w domu i jak ten czas wykorzystasteś? Domek narysowałeś zamiast wysłać CV.

– Bo z twojego komputera nie lubię korzystać. Muszę mieć swój, ale ty oczywiście nie pozwalasz mi go tu przywieźć.

– A widzisz tu dla niego miejsce? Chyba że na suficie go zawieszisz!

– Jadę do ojca!

– Szerokiej drogi!

– Ale jeszcze ci powiem tyle: taka jesteś z siebie dumna, że masz pracę, że masz tę swoją firmę, a prawda jest taka, że beze mnie zbankrutowałabyś w ciągu pięciu miesięcy.

– A z tobą zbankrutuję w dwa miesiące, bo nie zarabiam tyle, żeby nas wszystkich utrzymać! Rozumiesz?

Bierze ten swój czerwony plecaczek i wychodzi. W cholerę z nim!

– Mamusiu... – zaczyna Mela. – Ja chciałabym mieć ten różowy pokój.

– Mela, przestań, bo mnie do szafu zaraz doprowadzisz!

– Mamusiu...

– No co?

– Czy już ciebie doprowadził szaf?

Kładę ją spać, ale sama jeszcze długo rzucam się w pościeli. Około drugiej zasypiam jak kamień. Słyszę jakiś dzwonek. Zrywam się na równe nogi i lecę do telefonu. Potykam się o jakąś zabawkę Meli i padam jak długa. Cholera! Która to godzina? Trzecia. Na czworakach, poobijana docieram do telefonu.

– Co? – odbieram w końcu.

– Beti? – pyta retorycznie Doris. – Słuchaj, jakie jaja! Oglądam właśnie *Rozmowy w toku* i jest o facetach, którzy są na utrzymaniu swoich żon, bo nie opłaca im się iść do pracy za tysiąc pięćset złotych. Włącz telewizor.

– Dobra.

Po omacku szukam pilota. Przewracam się znowu, zahaczywszy o jakiś kabel. Dobra, mam go. Był pod łóżkiem. Włączam. Zawyło coś. Cholera, ustawiona była maksymalna głośność. Ściszam. Szukam tego programu. Nic nie ma. Jakaś wróżka tylko coś bredzi. Wracam skonana na materac. Zasypiam. Dzwonek telefonu. Zrywam się i znów przewracam o tę samą zabawkę Meli. Znów na czworakach docieram do telefonu.

– Co znowu?

- Beti, to ja, Doris.
 - Co ty nie powiesz...
 - To jednak tylko reklama tego programu była.
- Zajawka. Całość będzie w piątek o siedemnastej.
Czołgam się z powrotem w stronę materaca.
- Mamo, co ty robisz? – pyta rozbudzona Mela.
 - Właśnie nie wiem, dziecko. Właśnie nie wiem...

* * *

Punkt ósma rano Borys się stawia i jedziemy do przedszkola.

- I wysłałeś jakieś CV ze swojego komputera?
 - Nie, trochę grałem, a potem usnąłem.
 - Kurczę, przecież specjalnie pojechałeś do ojca, żeby CV wysyłać! Ja już nic nie rozumiem!
 - Ty myślisz, że takie proste to wysyłanie? Do każdej oferty trzeba pisać inne CV, żeby pasowało. To trzeba przysiąc.
 - I co ci stanęło na przeszkodzie, żeby przysiąc?
 - Powiedz lepiej, jaki jest gry plan na dziś?
 - Pięć spotkań.
 - I to mi się podoba!
- No pewnie! Przecież to ja muszę je odbębnić, nie ty...
- Beti, wiesz, że Basia jest w szpitalu? Sebastian dzwonił. Ma zapalenie płuc.

– Jezu!

Piszę SMS-a do Margo: „Jeżeli czegokolwiek będziesz potrzebowała, pamiętaj, że możesz na mnie liczyć”. „Dzięki, wszystko mam, tylko jestem wykończona”.

Do końca dnia o niej myślę. W ciąży, non stop w szpitalu przy Basi.

* * *

Wieczorem dzwoni Doris.

– Beti, czytałam książkę.

– I jak?

– Jak ty czegoś w tym kierunku nie zrobisz, to będziesz frajerką. To jest rewelacja! Nawet moja mama to czytała. Nie wierzyła, że ty to napisałaś.

– Wiesz, ile lat temu to było?

– Dlaczego ty nadal nie piszesz?

– A o czym mam pisać? Nic się nie dzieje. Proza życia.

– Beti, wiesz, jak ja bym chciała mieć jakikolwiek talent? A ty go masz i co? Jak zwykle masz wszystko w dupie!

– Dobra, może kiedyś się za to wezmę. Wyślę gdzieś, zarobię te miliony tylko po to, żebyś się ode mnie odczepiła. Ale na dzień dzisiejszy walczę z prozą życia z Borysem.

– No rzeczywiście, romantyzm w waszym

związku jest powalający.

Kończę. Mela odrywa się od telewizora.

– Mamusiu, a Jasio już nie ma krost na języku?

– Chyba już nie, a co?

– To super! Może ze mną jechać do Chin!

– Możesz już zapomnieć o tych Chinach? Jutro maszerujesz do przedszkola na Targówek, jasne?

– Nie, mamu. W piątek był u nas w przedszkolu lekarz, zbadał mnie i powiedział, że jestem duża, mądra i nie muszę chodzić do przedszkola. I ja jutro idę, ale do zerówki.

– Może cię od razu na Uniwersytet Warszawski zawieźć?

– A czy on jest w Chinach?

* * *

Borys dziś jest u ojca, a ja idę z Melą do Jasia. Zostawiam ją tam i jadę do pracy na chwilę.

Wracam, a Doris podekscytowana jak nigdy.

– Beti!

– Co znowu?

– Poznałam nową koleżankę na placu zabaw.

– Doris, czy ja już do roboty nie mogę iść spokojnie, żebyś ty zaraz nie szlajała się po osiedlu i mnie nie zdradzała?

– Oj, Beti, wyluzuj! Powiedziałam jej od razu, że mam ciebie.

– No ulżyło mi!
– Ale jakie jaja! Słuchaj, ona też jest samotną matką, też tu mieszka.
– Ile punktów stycznych, no nie!
– No! Więc idąc za ciosem, pytam, czy lubi piwo.

– I co ona na to?
– Że tak!
– Alleluja!
Idziemy sprawdzić, co robią dzieci w pokoju.
Mela siedzi i miętosi jakąś białą szmatę w rękę.

– Co robisz, córko?
– Szyję sobie suknię ślubną.
– Aha, a po co?
– Wychodzę za mąż za Jasia.
– A gdzie będziecie mieszkali? Z czego żyli?
– Będziemy pracowali.
– Tak? Jako kto?
– Ja będę wojownikiem ninja! – oznajmia z dumą Jasio.
– A ja królową! – oznajmia tym samym tonem Mela.

Zostawiam więc zakochaną parę i idę do domu.
Po dwóch godzinach Doris pisze: „Ratunku!”.
Lecę. Już w korytarzu słyszę wrzaski.

– Ja ciebie, Melu, nie lubię! – krzyczy Jasio. – Jesteś niefajna!
– A właśnie że jestem fajna! – krzyczy Mela. –

W przedszkolu mnie chwala, wszystko zjadam!

– Nie! I ja się z tobą rozwodzę!

– No i dobra!

– I zabieram ci wszystkie zabawki!

– A ja tobie wszystkie zabawki i... pieniądze!

Idziemy z Doris do kuchni i tam wręcz turlamy się ze śmiechu.

– Ty słyszałaś to, co ja? – pytam przez łyżę.

– Ty, ale w dorosłym życiu te rozmowy nadal są takie same, prawda?

– Takie same, tylko już nikt się z tego nie śmieje.

I momentalnie poważniejemy obie. Uczcijmy to chwilą ciszy.

* * *

– Mamo, mam, chcę ogurt! – woła Mela.

– Co chcesz? – nie mogę załapać.

– Ogurt.

– Chyba jogurt?

Doris łapie mnie za ramię.

– Ty słyszysz? Mamy pomysł na biznes. Zrobimy tak „Ogórt – polskie tzatziki”.

– Ale będzie kasa! – napalam się. – No jasne, „ogórt” od ogórków! Ogórkowy jogurt.

– Mamusiu, a co ty pijesz? – pyta Mela nieświadoma jeszcze, że potrzęsnęła przed chwilą polskim rynkiem spożywczym.

- Kawę.
- Rozpuszczarną?
- Kamienieję.
- Doris, a to słyszysz? „Kawa rozpuszczarna”, czyli czarna kawa rozpuszczalna.
- No załapałam. Ta twoja córka to kopalnia złota.
- Po mamusi to ma – pękam z dumy.
- Ty, wpadnij wieczorem. Omówimy strategię marketingową.
- Dobra, odstawię Melę do ojca i będę. Coś wypijemy?
- Pytanie!

* * *

Po trzech piwach, zmęczone zakładaniem potencjalnej agencji reklamowej, zasypiamy.

Rano budzę się jakaś taka szczęśliwa, w ciepłym łóżeczku, obok mnie jakieś rozgrzane ciało, w które jestem wtulona. O cholera! Kto to? Nie chcę wiedzieć. Wstanę i wyjdę, nie oglądając się za siebie. Czyżbym zdradziła Borysa? Dobra, zerknę choć kątem oka z kim. Otwieram jedno oko, Doris w tym samym momencie otwiera swoje i rozczarowane mówimy:

- A, to ty...

* * *

Przyjeżdża Borys.

– Mela gdzie?

– U ojca.

– Jedziemy po nią?

A pan to do mnie czy do mojej córki?

– Nie, jeszcze. Muszę się wykąpać.

– A ty gdzie byłeś wczoraj, że taka jesteś padnięta?

– Gdzie miałabym być? Przysięgam, że z bloku nie wychodziłam. Ha, ha!

– Musimy pogadać.

– O czym?

Rzuca mi kopertę na stół. „Przedsądowe wezwanie do zapłaty”. Dwadzieścia tysięcy.

– Co to? – zamieram.

– Rok temu był remont w bloku, gdzie mam mieszkanie. Nie zapłaciłem za niego.

– Ale co ty chcesz? Ja nie mam takiej kasy.

– Czy ty rozumiesz? Komornik zabierze mi to mieszkanie, jeśli nie zapłacę.

– Borys, czy ty naprawdę myślisz, że ja zaraz wyciągnę dwadzieścia tysięcy z portfela?

– Za kogo ty mnie masz? Nie znasz mnie, jeśli myślisz, że wziąłbym od ciebie chociaż złotówkę!

– Nie no, w życiu byś nie wziął. Jak mogłabym tak myśleć?

– Pomyślałem, że mogłabyś mnie zatrudnić, wystawić mi zaświadczenie o zarobkach i wtedy dostałbym kredyt i spłacił długi.

– Jako kogo miałabym cię zatrudnić? Wizażystę?

– Proszę...

– Jest prostszy sposób.

– Jaki?

– Idź do pracy!

– A ta swoje! Idź do pracy i idź do pracy! Ja ledwo co łażę. Plecy mnie bolą, astma męczy i jeszcze mi się krosta na języku zrobiła. Może to szkarlatyna? Zobacz, o!

– Oj, nie chcę tego jężora oglądać! To obrzydliwe! Idę się kąpać. Telewizję w tym czasie pooglądaj.

Leję wodę do wanny i zanurzam się w pianie. Idealnie. Chwilo ciszy, trwaj! Dupa! Drzwi się otwierają i podniecony Borys wrzeszczy:

– Kapitan się znalazł! Mówili w wiadomościach.

Mało co, a bym się utopiła. Wypluwam wodę. Co by mu na to powiedzieć? Mam!

– Spierdalaj!

– Co?

– Spierdalaj! Sto razy mówiłam, że nienawidzę, jak ktoś mi wchodzi do łazienki! A kapitana mam w dupie! Najpierw musiałabym wiedzieć, że się zgubił, żeby mnie interesowało, że się znalazł! I zamknij drzwi za sobą!

Słyszę trzaśnięcie. No dobra, poszedł!

Telefon. Doris.

– Sama jesteś czy z Borysem?

– Sama. Był, ale już się obraził i wyszedł.

– A ty co robisz?

– Idę zaraz po Mełę.

– Aha.

– Doris, mam ważną wiadomość dla ciebie.

– No?

– Kapitan się znalazł.

– Odbiło ci?

– Nie mnie odbiło, moja droga, nie mnie...

Zaśmiewam się jeszcze długo, a potem idę po dziecko.

* * *

– Mamusiu, mogę pobawić się na placu zabaw?

– Tak.

Na placu zabaw siadam na ławce, obok mnie siedzi jeszcze jedna dziewczyna z dzieckiem przy piersi. Drugie bawi się w piaskownicy.

– Twoja córka chodzi do przedszkola? – pyta mnie w końcu.

– Tak, a twoja?

– Moja się nie dostała.

– Moja na początku też nie, bo nie składałam jeszcze wtedy podania jako samotna matka. Ale

potem koleżanka znalazła mi miejsce.

– Czekaaj, czekaaj, to ty sama jesteś z dzieckiem?

– Tak.

– Ja też jestem sama.

– Żartujesz? Przecież to jedno to takie malutkie.

– Zostawił mnie, jak byłam w ciąży z drugim dzieckiem – mówi łamiącym się głosem. – Zdradził i zostawił.

– Słuchaj, ja się zapytam u Meli w przedszkolu, czy tam są jeszcze miejsca. Nic się nie martw.

Gadamy jeszcze chwilę i lecę do Doris.

– Ja też mam nową koleżankę – oznajmiam z satysfakcją.

– Co? No nie!

– A co ty sobie myślisz? Że jak jedną noc u ciebie spałam, to już nikogo innego nie mogę poznać?

– I jaka ona jest? Mów.

– Też samotna matka, tyle że dwójki dzieci.

– A piwo lubi?

– Chyba nie, bo karmi piersią.

– I myślisz, że jak ona piwa nie lubi, to ta wasza przyjaźń przetrwa próbę czasu?

Śmiejemy się chwilę z własnej głupoty, ale nagle Doris mówi:

– Ty, Beti, co to jest za osiedle przekłete? Same samotne matki.

– Powinnyśmy tu obok placu zabaw taki pomnik

postawić. Kobieta z dzieckiem przy piersi.

- I z browarem w dłoni...
- A pod spodem tablica, a na niej napis...
- „Hop, hop, hop! Po chuj nam chłop?”
- Albo pomnik ostatniego ojca, który stąd uciekł.
- Genialne!
- Doris, zsikałam się ze śmiechu.
- Hop, hop, hop...
- Nie kończ, błagam. Ja muszę do łazienki.
- Ty, a co z Borysem?
- Nie rozmawiajmy o nim, OK? Powiedz lepiej, co z Maćkiem.

– Nic mi nie mów. Cisza. Tylko tę jego koszulę przekładam z kąta w kąt. Ale tobie powiem, że jak jesteś bez Borysa, to jesteś zabawna, wyluzowana, a jak z nim...

– ...to jestem kłębkim nerwów, wiem. Ale co ja mogę? Dla Meli jest jak ojciec.

Podsluchujemy jeszcze, o czym nasze dzieci gadają w pokoju.

– Wiesz, Jasiu, u mojej babci był taki kot, co żył, żył, aż w końcu zdechł.

– Wiesz, Melu, a moja babcia tak żyła, żyła, aż w końcu została babcią.

– Jasiu, dlaczego ty leżysz?

– Odpoczywam, Melu.

– Co odpoczywasz? Przecież dom miałeś budować!

* * *

– Borys, ja dziś wychodzę wieczorem – informuję go.

– Gdzie? – pyta zdziwiony.

– Do Doris, a gdzie myślałeś?

– To ja też wychodzę. Na piwo z kolegami. Tylko daj mi jakąś kasę.

– Nie mam – Wzruszam ramionami.

– Jak to nie masz? – oburza się.

– A ty nie masz?

– Nie mam.

– Jak to nie masz? – oburzam się.

Ostatecznie daję mu dziesięć złotych i lecę do Doris.

* * *

Następnego dnia opowiadamy Borysowi o wydarzeniach wczorajszej nocy. Poszliśmy na stację benzynową po piwo, tam była akurat godzinna przerwa na podliczenie kasy. Poszliśmy do nocnego kilometr dalej – remanent. Poszliśmy do kolejnego – nie ma fajek. Skonane wróciliśmy do domu i poszliśmy spać. Przerywamy opowieść salwami śmiechu. Ten słucha niewzruszony, nawet kącik warg mu nie drgnie. W końcu mówi:

– Nie mogliście kupić sobie piwa i fajek wcześniej niż o dwunastej w nocy?

– Nie, nie mogliśmy – zaśmiewamy się.

– Dlaczego?

Znów dostajemy ataku śmiechu, a Borys patrzy na nas jak na kosmitki.

– Wiesz co, ty nie masz za grosz poczucia humoru – mówię mu.

– Moja droga, ja nie mam? Ja jestem znany z tego, że jestem zabawny!

– Tak, jasne. Ty jesteś może znany z tego, że UWAŻASZ, że jesteś zabawny. Tylko tyle.

Borys się obraża, a Doris wychodzi.

– Kłóćcie się beze mnie – mówi na pożegnanie. I zostawia mnie na tonącym statku.

Mela, która jak dotąd bawiła się grzecznie w kącie lalkami, nagle zabiera głos:

– Mamusiu, ja skończę niedługo przedszkole, potem szkołę, gimnazjum, a potem to już zostanę matką.

Po namyśle pytam:

– A nie możesz trochę później?

– Mamo, a może ty mi urodzisz siostrzyczkę, a ja będę jej matką? – wpada na genialny pomysł.

– Wolę jednak, żebyś sama urodziła swoje dziecko.

– Ale, mamo, ja jestem jeszcze za malutka!

– To poczekaj, aż dorośniesz.

- Ale Basia już będzie miała rodzeństwo!
 - Tak, ale ciocia Margo ma męża!
 - Ty też masz!
 - Co ty opowiadasz? Nie mam.
 - Masz, mam. Romek z Karminowej. Nie pamiętasz?
 - Twój tata nie jest moim mężem. Żeby być małżeństwem, trzeba iść do kościoła – tłumaczę cierpliwie.
 - No przecież byliście w kościele. Jajka święciliście – upiera się.
 - Melu, idź lepiej spać – ucina dyskusję Borys. Zabieram ją do kąpieli.
 - Mamo, ja jestem tym Borysem po prostu zmęczona – wzdycha moja córka.
 - Ja też.
- W nocy, kiedy już śpią, wysyłam swoją książkę do wydawnictwa. Niech się dzieje, co chce!

* * *

- Doris, wysłałam swoją książkę do wydawnictwa.
- No wreszcie! Ale ja też dokonałam odważnego czynu.
- Co zrobiłaś? Ogoliłaś sobie nogi elektrycznym depilatorem?
- Kretynka! Oddałam koszulę Maćka do

ciucholandu.

– Ty nie masz serca, kobieto!

– Przerzucałam ją z kąta w kąt i za każdym razem, kiedy brałam ją do ręki, przypominałam sobie o nim. Dlaczego nie dzwoni? Skąd to milczenie? A teraz problem z głowy! Teraz muszę się zająć przygotowaniem do rozprawy z ojcem Jasia.

– Kiedy ta rozprawa?

– Nie wiem. Najpierw zrobią nam wszystkim badania psychologiczne i na podstawie opinii psychologów będzie wydany wyrok.

– Doris, na pewno to tobie przydzielą opiekę nad Jasiem. Jesteś wspaniałą matką.

– Naprawdę tak myślisz?

– Tak.

* * *

Obsługuję właśnie dziesiątą klientkę tego dnia, kiedy przychodzi SMS od Doris: „Maciek napisał. Pyta, kiedy może wpaść po koszulę”. Przepraszam miłą klientkę i wychodzę zadzwonić.

– I co teraz? – pytam.

– Zadzwoniłam w panice do tego ciucholandu, a gość, który tam pracuje, czyli mój cioteczny brat, mówi, że koszulę wziął dla siebie. Ponoć to jakaś markowa, w normalnym sklepie kosztuje czterysta euro. I on mi jej nie odda.

- A ty myślałaś, że to jakieś badziewie, ha, ha!
- Odpisałam Maćkowi, że jego koszula wylądowała w ciucholandzie i pewnie teraz jakiś pruszkowianin, który kupił ją za pięć złotych, w niej chodzi. A ten odpisuje: „Bardzo, kurwa, śmieszne!”.
- Zemsta jest słodka, co?
- A faceci beznadziejni... – dodaje Doris. – Ale to nie koniec. Napisał mi po chwili, że wszyscy u niego w pracy są oburzeni moim czynem, a on mnie już nie chce znać.
- Twoim czynem są oburzeni?! – bulwersuję się.
- A jego czyn? Wyszedł po angielsku z twojego mieszkania, dwa miesiące milczał, a teraz o koszuli sobie przypomniał? Nie no, Doris, wracam do pracy, bo wiesz, muszę kasiorkę zarabiać, bo Borys ma coraz to większe wymagania.
- Ty, ja na początku myślałam, że on jest dla ciebie wsparciem, ale teraz widzę, że to taki pasożyt...
- Ale ja nie mam pojęcia, jak się z tego wycofać. Już nie mogę słuchać o tej jego rwie, astmie, kroście na języku, bólu w małym palcu u stopy i innych przeszkodach, które nie pozwalają mu zaistnieć na rynku pracy.
- Widziałam go ostatnio na osiedlu. Maszerował dziarsko, a jak mnie zobaczył, to zaczął kuleć.
- Jak ja mu w domu zrobię rwę, to się momentalnie u ojca znajdzie!

* * *

Wieczorem szykuję pranie w łazience. Borys z Melą oglądają bajki.

– Ałaaaa, kurwaaaaaaa!!! – słyszę ryk Borysa.

Nie reaguję. Za nic w świecie nie dam sobie zakłócić łazienkowej sielanki. A jak się wkurzę, to zamontuję zamek, a najlepiej drzwi pancerne, i tyle mnie będą widzieli!

– Dzwon na pogotowie! Rwa! Nie mogę się ruszyć!

Segreguję dalej ubrania. Białe do białych, czarne do czarnych. Spokojnie, tylko spokojnie. Równowaga psychiczna przede wszystkim. Wychodzę, biorę książkę i zagłębiam się w lekturze.

– Dzwon na pogotowie – powtarza Borys.

Przerzucam kolejną stronę. Bardzo ciekawa książka.

– Dlaczego nie dzwonisz?

Główna bohaterka jest pisarką i właśnie rozwodzi się z mężem, który miał parcie na dziecko. Ona tego nie czuła, on nalegał, ona chciała pisać, on chciał dziecka, no i...

– Skoro tak, to ja zabieram swoje zabawki i odchodzę!

Borys nadzwyczaj zwinnie jak na osobę, która jeszcze minutę temu nie mogła się ruszać, zaczyna

się pakować. Ja czytam.

– Wujku, gdzie ty idziesz? – przeraża się Mela. – Przecież mieliśmy oglądać bajki.

– Przykro mi, Melu. Miej pretensje do mamy.

– Mamusiu! – zaczyna płakać.

Borys patrzy mi w oczy i syczy:

– Jeszcze tego pożałujesz! Będiesz to dziecko suchymi bułkami karmić, jak się wyprowadzę.

– A ty to niby codziennie jej świeże piekłeś?

– Straciłem przez ciebie tyle czasu. Już dawno mógłbym pracować jako pomocnik mechanika i zarabiać kasę, ale chciałem tobie pomóc najpierw, żebyś rozkręciła interes.

– Ty nawet CV nie wysłałeś do tego mechanika. Ocknij się wreszcie!

Ale już go nie ma.

Mela siada zrezygnowana na łóżku.

– No i co teraz? – pyta. – Muszę sobie poszukać nowego wujka...

Nie wytrzymuję i biegnę do łazienki. Wylewam z siebie tyle łez, że mogę nimi napełnić wannę. Wypływa ze mnie cały stres ostatnich miesięcy, przemęczenie, rozczarowanie, frustracja. Zostaje poczucie ulgi. Już nie muszę prać jego skarpetek, spłacać kredytu za mieszkanie, w którym nawet nie mieszkam, potykać się o jego buty, słuchać o jego długach i o tym, jakie on ma plany. W ogóle już nie muszę go słuchać. I przede wszystkim mam łazienkę

dla siebie. Chociaż nie, tak pięknie to nie jest.

– Mamusiu?

Otwierają się drzwi do łazienki i wchodzi Mela w założonych na plecy różowych skrzydłach wrózki.

– Co, kochanie?

– Wszystko gra?

– Tak. Tylko boję się, że odlecisz.

– Mamo, czy ty zwariowałaś? – śmieje się. – Ty naprawdę myślisz, że to są prawdziwe skrzydła?

– Melu, obiecaj mi coś.

– Co?

– Nie wyjedziesz do tych Chin?

– Nie, mammo. Przecież beze mnie ty się zaraz zgubisz.

– Pewnie, że się zgubię. – Przytulam ją mocno.

– Mamusiu, czy ty mnie urodziłaś po to, żeby ktoś cię wreszcie lubił?

– Dokładnie tak.

Ale skąd ona o tym wie?

Siadamy do stołu. Nalewam nam soku do szklanek i wpatruję się w nią długo.

– I co ty o tym wszystkim sądzisz, dziecko? – pytam poważnie.

– Sądzę, eee... – zacina się. – Ja sądzę, mammo, że wy się tak naprawdę nie kochaliście.

Moja czteroletnia, dorosła córka. Kiedy ona posiadała tę całą mądrość?

– Ale jestem zła, mammo. Bo... bo... bo... – myśli.

– Bo myślałam, że wujek zostanie ze mną dłużej, na przykład na zawsze...

– Meluniu – Przytulam ją. – Meluniu, jemu będzie lepiej bez nas.

– A nam?

– A jak ci się wydaje?

– Damy radę, mamó – mówi. – A teraz chcę spać. Zmęczyłam się tym wszystkim.

* * *

Siedzę jeszcze długo, gapiąc się tępo w ścianę, aż w końcu dzwonię do Doris.

– Kapitan odpłynął – informuję ją.

– I jak się czujesz?

– Źle.

– Zaraz będę. Jasio przed chwilą pojechał do ojca, to mam wolne.

Otwieramy wino i znów zbiera mi się na płacz.

– Ale czego ty płaczesz? – pyta Doris. – Powinnaś się cieszyć. Borys wysysał z ciebie całą radość życia.

– Ale był dobry dla Meli – chlapię. – Właściwie nie miałam mu nic konkretnego do zarzucenia.

– Ty amnezję masz? – wkurza się Doris. – Nic do zarzucenia? Odświeżę ci pamięć. Raz, że za dużo gadał, dwa, że za mało robił, trzy, że był po prostu wkurwiający... Wymieniać dalej czy już załapałaś?

– Jeszcze choć z jedną wadę wymień.
– Cztery, że był hipochondrykiem. Wystarczy?
– Tak. Już mi lepiej.
– To mogę już dzwonić do tego swojego wujka i was umówić?
– Doris! Ale mówiłaś ostatnio, że on ma dziewczynę.
– Już zerwali. Zobacz, jak się świetnie składa.
– Nie, nie dzwoń... Dobra, dzwoń. Albo nie... Nie wiem.
– Dzwonię.
– Sąsiadka jest już wolna – mówi mu krótko.
– I co? – pytam.
– Zadzwoń do ciebie w tygodniu.
– Nie, ja jestem nienormalna! – Walę się pięścią w głowę. – Tego jeszcze nie grali.
– Będzie OK, zobaczysz. Miłość puka do drzwi.
– Doris, ale ja jestem tak wypompowana, że nie mam siły tych drzwi otworzyć. Ja jestem zmęczona, wypluta, bez życia. Nic nikomu już nie mogę z siebie dać. A miłość już miałam – Andrzeja. Co z tego wyszło, to wiesz. Najpierw czułam się jak w niebie, a potem jak w piekle. Czyśca zaznałam z Borysem.
– Daj sobie jeszcze raz szansę.
Przerywa nam SMS od Margo: „Urodziłam. Syn”.

DWA MIESIĄCE PÓŹNIEJ...

Zbiegam na dół do Doris i walę do drzwi.

– Beti, nie mam czasu gadać – jak zwykle przemiła.

– Ja nie przyszłam gadać, tylko cię przytulić – mówię.

– Dzięki! – Pada mi w ramiona.

– Trzymaj się i pamiętaj, że jesteś najlepszą matką na świecie. I niech żaden psycholog nie ośmiela się podważyć mojej opinii.

– A ty gdzie lecisz?

– Do przedszkola na Dzień Mamy i Taty. Mela ma śpiewać. Pa, pa! Odezwij się po wszystkim.

* * *

W przedszkolu dzikie tłumy. Wszyscy rodzice stoją stłoczeni na korytarzu. W torebce zaczyna mi dzwonić telefon.

– No co tam?

– Gdzie to przedszkole? – denerwuje się Romek.

– Ten najbardziej odrapany budynek. Wiedziałbyś, gdybyś choć raz tu zaprowadził swoje dziecko lub odebrał je stąd. Dawaj szybciej, bo zaraz się zaczyna.

Wchodzimy na salę. Mela na widok ojca rozpromienia się w uśmiechach. Dobrze jednak, że

po niego zadzwoniłam. Zaczyna się. Dwadzieścioro dzieci w przebraniach żabek śpiewa *Była sobie żabka mała*, a potem tańczą cza–czę. Na koniec Mela wychodzi na środek sceny i śpiewa: „Kocham cię! Kocham, mam, wiem, że ty czujesz to samo”.

Patrzę w jej niebieskie oczy. Nie widzę innych dzieci, innych ludzi, tylko ją. Moją dzielną córeczkę, która niczego się nie boi, wszystko rozumie i zawsze pilnuje, żebym się nie zgubiła. Córeczkę, która swoim dodatkowym zmysłem wyczuła, że urodziłam ją, żeby mieć pewność, że choć jedna osoba na świecie mnie prawdziwie kocha. Córeczkę, która z nas obu dorosła szybciej, bo wiedziała, że jedna z nas musi. Twarz mam już mokną, makijaż diabli wzięli.

* * *

Po wszystkim Romek bierze Melę za rękę i zabiera ją na Karminową. Wracam dziś do pustego mieszkania. Na przystanku spotykam Martę.

- Co u ciebie? – pytam.
- Nic. Bez zmian – odpowiada cicho.
- A jak mąż? – wkładam kij w mrowisko.
- W porządku. Nie kłóćmy się, bo praktycznie się nie widzimy.
- Marta! I to nazywasz „w porządku”? – dziwię się.
- Zawsze może być gorzej.

– A nie myślałaś, żeby coś zmienić w swoim życiu?

– Na przykład co?

– Na przykład wszystko?

– Mów lepiej, co u ciebie – gładko zmienia temat.

– Zmiany, same zmiany. Wydaję książkę.

– No coś ty?! – Marta doznaje szoku.

– No wysłałam do jednego wydawnictwa i przyjęli.

– Beti, to cudownie!

– A co u Bridget?

– W ciąży jest.

* * *

Pod blokiem spotykam Margo z wózkiem. Wygląda jak zwykle pięknie.

– Poznaj Maksia – mówi.

Okrągłutki bobas patrzy na mnie czujnie. Nie, nie – nie wzbudzisz we mnie żadnych uczuć macierzyńskich, chłopcze!

– Margo, strasznie za tobą tęskniłam. – Przytulam ją. – Jak ci powiem, że miałaś rację co do Borysa, to będzie to miało jakieś znaczenie?

– Beti, kurwa, nie denerwuj mnie nawet! Ale powiedz lepiej, co z twoim prawem jazdy.

– Ja się chyba do tego nie nadaję. Ostatnio

znowu oblałam. Mam uraz psychiczny.

– Pieprzysz! Dam ci numer do mojego instruktora. To porządny człowiek, szczęśliwie żonaty. Zaraz cię umówię na jazdy.

Wyciąga telefon i dzwoni.

– Cześć, co u ciebie? – pyta go. – Aaaaa, rozwodzisz się. Co?! Żona przyłapała cię na romansie z kursantką? No, no! Nie, to zadzwonię innym razem. Nie, nic nie chciałam.

– No sama widzisz, Margo. – Wzruszam ramionami.

Nadjeżdża Doris. Przez okno macha nam jakąś kartką.

– Jestem najlepszą matką na świecie!

– Myślałam, że ja nią jestem – dziwi się Margo.

– Tak, ale Doris już ma to na piśmie – tłumaczę.

– Jasio zostaje z nią.

– Co jutro robicie? – pyta Doris. – Musimy to uczcić!

– Moja droga, ja jutro wreszcie mam randkę z twoim wujkiem.

– Żartujesz?! Miłość puka do drzwi. No, no, no.

– Puka. I może nawet będzie otwarte...

– Ale gdyby i tam razem nie wyszło, to pamiętaj: zawsze mamy siebie.

[1] Słowa pochodzą z piosenki Edyty Bartosiewicz pt. *Na krawędzi*, tekst: Edyta Bartosiewicz.

[2] Słowa pochodzą z piosenki zespołu Ira pt. *Trochę wolniej*, tekst: Wojciech Byrski.

[3] Cytat pochodzi z książki Krystyny Nepomuckiej pt. *Dusza na skalpeli*, Wydawnictwo Akapit Press 2010.

[4] Parafraza słów piosenki zespołu Elektryczne Gitary pt. *Wytrąciłaś*, tekst: Jakub Sienkiewicz.

[5] Słowa pochodzą z piosenki zespołu Virgin pt. *Kolejny raz*, tekst: Dorota Rabczewska.

[6] Słowa pochodzą z piosenki Edyty Bartosiewicz pt. *Jenny*, tekst: Edyta Bartosiewicz.

[7] Słowa pochodzą z piosenki zespołu Perfect pt. *Kotysanka dla nieznajomej*, tekst: Bogdan Olewicz.